TAJEMNICA DALABUSZEK

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 14 (1008)
3 KWIETNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

KATAKLIZMY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NARASTAŁO GŁUCHE DUDNIENIE...

24 listopada 1976 roku trzęsienie ziemi o sile 7,6 stopnia w skali Richtera nawiedziło rejony tureckiego miasta Wan odległego o 1 200 km na wschód od Stambułu. Zniszczyło ono — jak podano oficjalnie — 142 wsie. Akcję ratunkową utrudniały złe warunki atmosferyczne — mróz i śnieg. Ziemia trzęsła się w tym rejonie jeszcze przez kilka dni.

Tak zakończył się rok 1976, który trudno byłoby uznać za rok spokojnej ziemi. Ziemia nie była spokojna. Pod koniec lipca 1976 roku silne trzęsienie ziemi nawiedziło Chiny. Jak się oblicza zginęło wtedy około 700 tys. ludzi. Według doniesień agencji zagranicznych miasto Tangszan zostało całkowicie zniszczone. W połowie listopada 1976 roku rejon Tiencin - Tangszan został ponownie nawiedzony trzęsieniem ziemi, a miało ono siłę 7,5 stopnia w skali Richtera.

Na początku grudnia 1976 roku napłynęły doniesienia z Chile i Peru, gdzie odnotowano silne ruchy tektoniczne. Ruchy te zaobserwowano także w Boliwii i Argentynie, a zarejestrowały je sejsmografy w Kalifornii i Hongkongu.

Ziemia trzęsie się nieustannie

Pytanie można sformułować następująco: czy wkroczyliśmy w okres intensywnych ruchów skorupy ziemskiej, czy też rejestracja wielkiej ilości wstrzasów jest wynikiem dokładności obserwacji i dobrej apa-

Dalszy ciąg na str. 10

LOTNICTWO

WIESŁAW MACHEJKO

NIE SPÓŹNIĆ SIĘ ANI RAZU

Czytaj na stronie 6

RELACJE

TOMASZ JAWORSKI

ŻEGNAJ DANIO! BĘDĘ CIĘ DŁUGO PAMIĘTAŁ...

Spędziłem z nim parę wieczorów na ciągnących się do późna rozmowach. To za mało aby go dobrze poznać, ale też i zbyt dużo, by tylko skwitować — nazywa się tak i tak, robi to i to. Zresztą nie chciał, by podawać jego prawdziwe nazwisko — **Wystarczy jeśli nazwiesz mnie bezrobotnym.** Obruszyłem się. — **Czy tych parę tygodni jakie spędziłeś w Danii upoważnia Cię do takiego określenia? Bezrobotny, to zbyt wiele powiedziane. Przecież miałeś w kieszeni 130 dolarów, bilet powrotny do kraju. A bezrobotny to człowiek wyzuty z szans, pozbawiony nadziei, odsunięty na boczny tor.**

No dobrze — z pozoru zgodził się z mymi wątpliwościami — **może faktycznie nie byłem tak bezrobotnym, jak ci miejscowi plączący się po urzędach pracy. Ale zważ, że i oni mają w kieszeni zasiłki oraz mniej lub bardziej mglistą perspektywę pracy. Nie w swoim zawodzie, gorzej płatną, ale... No, ale w gruncie rzeczy przecież nie o to chodzi.**

Pozostaliśmy przy bezrobotnym. W nieregularnym łańcuchu jego opowiadań układały się obrazy, wspomnienia, refleksje, które złożyły się na swoisty pamiętnik.

Dalszy ciąg na str. 5

TRADYCJE

JERZY WILMAŃSKI

MUZEUM LITERATURY

Kiedy powstało w Łodzi **Muzeum Historii Miasta** sceptycy zastanawiali się jaki może być profil takiej placówki — i dochodzili do wniosku, że... żaden. Bo przecież wszystkie ważniejsze dla dziejów miasta tematy są od dawna „zaklepane".

Ruch robotniczy i rewolucyjny — wiadomo — Muzeum przy Gdańskiej. Tradycje sztuki nowoczesnej — Muzeum przy Więckowskiego. Przemysł — Muzeum Włókiennictwa przy Piotrkowskiej... Więc co pozostało dla Muzeum przy Ogrodowej? Nic, kompletnie nic.

Okazało się jednak, że sceptycy byli ludźmi małej wiary i niewielkiej wyobraźni. Muzeum Historii Miasta bez trudu zarysowało swój własny oryginalny profil, nie wchodząc nikomu w paradę. Ostatnio powstał tu bardzo interesujący projekt stałej ekspozycji pod nazwą **„Z dziejów kultury literackiej Łodzi".**

Autorem scenariusza jest pisarz — poeta i krytyk **Mieczysław Kucner,** który opracował bardzo szeroką i ambitną koncepcję całego właściwie działu muzealnego. Nie chodzi tu bowiem tylko o ekspozycję ale i stworzenie warsztatu pracy do badań nad współczesnością literacką miasta. Zadaniem owego działu muzeum będzie inwentaryzacja, zabezpieczanie i udostępnianie trwałych wartości oraz dorobku pisarskiego Łodzi.

Ekspozycje podzielono na pięć zasadniczych części — od okresu Łodzi rolniczej i rzemieślniczej aż do współczesności.

W okresie pierwszym — do roku 1857 ani w Łodzi ani w regionie łódzkim nie wykształcił się jakikolwiek stały ośrodek literacki. Ale przecież na tej ziemi żyli i działali, bądź byli sporadycznie z tą ziemią związani — **Marcin Bielski** — autor słynnej „Kroniki", **Jędrzej Kitowicz, Jan Chryzostom Pasek, Andrzej Frycz Modrzewski** — że wymienię tylko największych.

Oczywiście nie chodzi tu wcale o to, żebyśmy poprawiali historyczne samopoczucie poprzez przylepianie „łódzkich" etykietek znanym postaciom z historii literatury. **Mieczysław Kucner** proponując rozpoczęcie ekspozycji literackiej od tamtej zamierzchłej epoki, kiedy jeszcze Łodzi w ogóle nie było — wpisuje automatycznie historię miasta w szeroką polską panoramę. Tym sposobem łódzka ekspozycja literacka przestaje być partykularnym ołtarzykiem — staje się natomiast obrazem dziejów Ziemi Łódzkiej na tle ogólnonarodowej kultury.

Mogą sobie co poniektórzy ironizować, że w Łodzi Paska i Kitowicza nazywają „pisarzami łódzkimi", ale przecież chodzi tu o ukazanie ciągłości kulturowej i literackiej tradycji. Ciągłości, która jest cechą całej narodowej kultury.

Lata 1857 aż do wybuchu I wojny światowej otrzymały w scenariuszu **Mieczysława Kucnera nazwę** „Miasteczko". W istocie była Łódź wówczas niewielkim miasteczkiem, ale to właśnie w tym okresie szczególnie silnie rozwinęły się literackie inicjatywy, powstały znaczące dzieła i tworzyli wybitni pisarze.

Dzieje literatury łódzkiej we właściwym tego słowa znaczeniu otwiera **Wiktor Dłużniewski** poematem **„Paweł Łodzia Kubowicz"**, wydanym w 1857 roku. Autor — jak zresztą prawie wszyscy pisarze tego okresu, nie jest rodowitym łodzianinem, lecz rekrutuje się z tej warstwy inteligencji, która wiedziona mirażem łatwych karier szuka w Łodzi pracy i chleba.

Z poetów tego okresu największą postacią był **Artur Gliszczyński,** pieśniarz fabrycznej Łodzi — autor tomu wierszy „Z mroku i dymu". Wśród prozaików **Wincenty Kosiakiewicz** — autor „Bawełny" — pierwszej, jeszcze przed „Ziemią obiecaną" Reymonta — powieści o Łodzi przemysłowej. Dalej **Zygmunt Bartkiewicz,** którego tom szkiców **„Złe miasto"** na długo stał się symbolem Łodzi...

W tym okresie ukazują się już w Łodzi gazety — **„Rozwój", „Gazeta Łódzka"** — których rola w dziejach kultury jest znacząca i zasługi dla literatury przeogromne. To przecież na łamach „Gazety Łódzkiej" debiutował m.in. **Julian Tuwim.**

Czasy międzywojenne to lata wzlotów i upadków. O obliczu literackim Łodzi międzywojennej decydowali poeci urodzeni około roku 1900, którzy swoje pierwsze kroki stawiają już pod koniec pierwszej wojny światowej. To pokolenie pisarskie związane było emocjonalnie z Łodzią o wiele silniej niż ich poprzednicy. Nie wszyscy rzecz prosta wytrwali do końca w swojej wierności dla miasta, ale trudno ich za to winić, gdyż możliwości literackiej kariery były w Łodzi niepomiernie mniejsze niż gdzie indziej.

W tym okresie jednak swoją obecność — w różnym czasie i w różny sposób — zapisali **Julian Tuwim, Paweł Hulka-Laskowski, Mieczysław Jastrun...** No i oczywiście cała grupa **„Meteora" z Marianem Piechalem, Mieczysławem Braunem, Światopełkiem Karpińskim i Grzegorzem Timofiejewem.**

Łódź międzywojenna to miejsce działalności **Witolda Wandurskiego** i jego **„Sceny Robotniczej".** Z tego okresu wyrosła — owocująca do dziś — twórczość **Antoniego Kasprowicza.**

W prozie odnotowujemy znaczące dokonania łodzianina **Jerzego Zawieyskiego, Lucjana Rudnickiego, Rafała Lena** — obiecującego pisarza, który zginął w czasie okupacji. Temat łódzki wówczas stał się modny także wśród pisarzy nie związanych z miastem wcale. Piękne stronice o mieście zapisały **Helena Boguszewska i Hanna Mortkowicz-Olczakowa.**

Powstają czasopisma i grupy literackie — obok wspomnianego „Meteora" — **„Prądy", „Wymiary", „Odnowa"...** Na kształtowanie się atmosfery literackiej miasta ma również wpływ ufundowana w 1926 roku Nagroda Literacka, przyznana m. in. **Andrzejowi Strugowi i Julianowi Tuwimowi.**

I wreszcie przychodzi okres „Łodzi stołecznej" w latach 1945—1948. W tym czasie miasto pełniąc funkcję stolicy Polski stało się dla wielu najwybitniejszych pisarzy miejscem zamieszkania i pracy. Tutaj właśnie pisarze niejako na gorąco, już nazajutrz po wyzwoleniu rozpoczynali swój rachunek z wojną, okupacją, z latami bezprawia i pogardy. Ale nie jest to dominujący rys łódzkiego życia literackiego tamtych lat. Na czoło wysuwają się bowiem spory ideowe i artystyczne wokół haseł realizmu w sztuce, prawdy i oblicza rzeczywistości. W tym czasie ukazywało się w Łodzi jedno z najgłośniejszych czasopism powojennych — **„Kuźnica".**

Krótki był ten okres Łodzi stołecznej nazwany przez **Mieczysława Kucnera** „Tranzytem przez Łódź" — od tytułu książki wspomnień z pierwszych lat wyzwolenia. Następna — ostatnia już część ekspozycji to współczesność czyli „Mała stabilizacja".

Oczywiście przedstawiony tu problemowy i chronologiczny zarys przyszłego Muzeum Literatury jest tylko próbą zaprezentowania tej szerokiej koncepcji. W toku pracy nad wystawą na pewno wypracowane zostaną odpowiedniki treściowe i formalne. Zasadniczym eksponatem będzie — oczywiście — książka, ale proponuje się też bogate rozbudowanie tego co składa się na życie literackie. A zatem — czasopisma, jednodniówki, monografie, informacje o grupach literackich, salonach artystycznych, festiwalach i wiosnach poetyckich.

W sumie — na wystawie znajdą się wszelkiego rodzaju pamiątki i dokumenty związane z kulturą literacką Łodzi oraz regionu, jak rękopisy, rzadkie wydania, dyplomy, legitymacje, zaproszenia, afisze, programy spotkań autorskich — przedmioty i akcesoria w szczególny sposób związane z życiem i twórczością poszczególnych pisarzy.

Pamiętam, że o Muzeum Literatury mówiło się w Łodzi od bardzo dawna. Dziś te plany przybierają realny kształt.

INFORMACJE

ZA „TAŃCZY CAŁY ŚWIAT" – I NAGRODA

Rozstrzygnięty został konkurs na piosenkę o przyjaźni polsko-radzieckiej, zorganizowany przez Zarząd Główny TPPR oraz Zarząd Główny ZAKR.

Po zapoznaniu się ze 123 nadesłanymi pracami jury postanowiło przyznać I nagrodę piosence „Tańczy cały świat", muz. Teresa Niewiarowska, słowa Jadwiga Urbanowicz, trzy równorzędne II nagrody piosenkom: „Tyle serc, tyle gwiazd", muz. Emil Sojka, słowa Krystyna Pac-Gajewska, „Wiera", Nadieżda Lubow", muz. Zygmunt Rychter, słowa Tadeusz Klimowski, „Ech ty major", muz. Brunon Gościniak i Zygmunt Rychter, słowa Tadeusz Klimowski; dwie równorzędne III nagrody piosenkom: „Przyjdź Misza do nas", muz. Leopold Kozłowski, słowa Tadeusz Śliwak oraz Księżycowe spotkanie", muz. Maciej Rostkowski, słowa Władysław Wojciechowski.

„SREBRNA ŁÓDKA" DLA TEATRU POWSZECHNEGO

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru przyznane zostały dorocznym zwyczajem nagrody: „Srebrnej Łódki" — za najwartościowsze ideowo i artystycznie przedstawienie oraz „Srebrnego Pierścienia" — za osiągnięcia aktorskie.

Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi: „Srebrną Łódkę" — otrzymało przedstawienie sztuki Aleksandra Kopkowa „Słoń" w Teatrze Powszechnym w reżyserii Andrzeja Kondraciuka i scenografii Jana Banuchy.

Nagroda Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Oddział w Łodzi: „Srebrny Pierścień" została przyznana Jerzemu Przybylskiemu za rolę Augusta Strindberga w „Nocy Trybad" O. Enquista w Teatrze im. Jaracza.

OD 3 KWIETNIA BR. WSTAJEMY O GODZINĘ WCZEŚNIEJ

3 kwietnia br. zostanie wprowadzony w Polsce czas letni. W ten sposób znajdziemy się w strefie czasu wschodnioeuropejskiego. 3 kwietnia br. o godz. 1 nastąpi przesunięcie zegarów na godz. 2, natomiast 25 września br. pcstąpimy odwrotnie: o godz. 2 cofniemy zegary na 1, wracając w ten sposób do czasu środkowoeuropejskiego.

WAŻNE DLA KANDYDATÓW DO ŁÓDZKIEJ SZKOŁY FILMOWEJ

W Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi przy ul. Targowej 61/63 czynne są już wydziałowe punkty informacyjne dla kandydatów na studia.

Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej przyjmuje kandydatów w poniedziałki i piątki w godz. 14 — 16. Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej we wtorki i piątki w godz. 14 — 16, Wydział Aktorski w poniedziałki i soboty w godz. 16 — 18, Wyższe Studium Zawodowe Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej we wtorki i piątki w godz. 10 — 13.

Kandydat zgłaszający się do punktu informacyjnego przy Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej mogą przedkładać własne prace fotograficzne.

Kandydaci na Wydział Aktorski mogą uzyskać w punkcie konsultacyjnym również wstępną ocenę swoich predyspozycji do zawodu aktora.

LISTY

Obywatel
Naczelny Redaktor
„ODGŁOSÓW"
ul. Piotrkowska 96
90—950 Łódź

Dyrekcja Zespołu Szkół Samochodowych w Łodzi przesyła w załączeniu pismo Kolektywu Szkoły w celu jego rozpatrzenia.

Dyrektor Zespołu
Szkół Samochodowych
mgr Witold Sobieszczuk

Szanowny Panie Redaktorze!

W 10 numerze „Odgłosów" z dn. 6 marca br. ukazał się artykuł red. Jerzego Wilmańskiego „Szkoda tego lasu". Red. Wilmański, chcąc podkreślić słuszność swojego stanowiska przytacza dwa fakty. Pisze, że m.in. dwu ludzi nie udzieliło zezwolenia swoim podwładnym na dodatkową pracę, tak przecież społecznie potrzebną. Jeden — to zawistny dyrektor teatru, drugi — niekompetentny dyrektor szkoły, który pewnie uważa, że jak pisarz jest nauczycielem, to powinien uczyć, a nie spotykać się z czytelnikami. Wprawdzie w artykule nie pada nazwisko pisarza, dyrektora, czy nazwa szkoły, ale w naszym środowisku ten fragment artykułu jest całkowicie czytelny. Dotknął nas on bardzo, bo publiczne nazwanie kogoś durniem jest obrażające, zwłaszcza, że ten ktoś na taki epitet absolutnie nie zasługuje. Dyr. mgr Witold Sobieszczuk rzeczywiście nie udzielił poloniście Henrykowi Czarneckiemu zezwolenia na płatne spotkania z czytelnikami, ale nie dlatego, że takie jest jego widzimisie. Obowiązuje go stosowanie się do ustawy „Karta praw i obowiązków nauczyciela" z dn. 27.IV 1972 r. poz. 114.

P. Henryk Czarnecki korzysta ze zniżki godzin dla poratowania zdrowia, udzielonej mu przez Kuratorium Oświaty i Wychowania. Nauczyciel korzystający z takiej zniżki nie tylko pracuje mniejszą ilość godzin, ale zwolniony jest także z rozlicznych obowiązków, jakie normalnie spadają na niego. Przepis, na mocy którego udziela się takiej zniżki (na wniosek lekarza), mówi jednocześnie b. wyraźnie, że korzystający z niej nauczyciel nie może podjąć **żadnej** pracy zarobkowej pod rygorem cofnięcia tej zniżki.

Dyrektor, odmawiając p. Czarneckiemu podpisania zezwolenia na **płatne** spotkania z czytelnikami, przypomniał mu o tym przepisie. Nigdy natomiast nie zabraniał mu w ogóle takich spotkań. P. Czarnecki w ramach swojej pracy twórczej może mieć nawet codziennie spotkania autorskie, tylko nie może czynić z tego dodatkowego źródła zarobku.

Sądzimy, że red. Wilmański tak ostro i niegrzecznie określający mentalność nauczyciela i kompromitując go (dyrektor jest również nauczycielem) po prostu nie znał całej prawdy i dał się ponieść emocji.

Nie wdajemy się już w rozważania, czy zgodne z etyka dziennikarską jest intepretowanie faktów, których się nie sprawdziło. Wprawdzie red. Wilmański może odpowiedzieć, że nie wymieniał nikogo z nazwiska, a zatem jest w porządku, bo nie mógł nikogo urazić, ale środowisko nauczycielskie orientuje się doskonale, że współautor „głośnego ostatnio serialu telewizyjnego" „Daleko od szosy" pracuje w Technikum Samochodowym, a dyrektorem jego jest mgr Witold Sobieszczuk, tak pochopnie przez autora artykułu obdarzony niepochlebnymi epitetami.

Sądzimy, że uczciwość dziennikarska nakazuje red. Wilmańskiemu sprawę na łamach „Odgłosów" wyjaśnić i naszemu dyrektorowi dać satysfakcję.

KOLEKTYW SZKOŁY
Zespołu Szkół Samochodowych w Łodzi
(następuje 8 podpisów oraz podpis Dyrektora)

Łódź, dn. 16.03. 77 r.

Drukujemy spontaniczny list Kolektywu Szkoły, przysłany z pismem przewodnim Dyrektora, pragnąc jednocześnie wyjaśnić, że:

- Sformułowania, którymi poczuł się dotknięty Kolektyw Szkoły **dotyczyły tylko i wyłącznie pewnych postaw i zjawisk, nie zaś konkretnych osób.** Nawiasem mówiąc z niejakim zdziwieniem przyjąłem supozycję Kolektywu Szkoły, sugerującą, że chodzi tu o ich Dyrektora.

Przy okazji informuję, iż socjolog Andrzej Siciński podaje w swojej pracy naukowej pt. „Literaci polscy" (Ossolineum, 1971), że **wśród ogółu członków Związku Literatów Polskich nauczyciele stanowią aż jedenaście procent i są najliczniejszą grupą zawodową w ZLP.** A zatem tylko szczególnemu rodzajowi alergii przypisać można fakt, że pewna egzemplifikacja dotycząca zjawiska odczytana została z perspektywy jednego podwórka.

Natomiast metodę podpisów pod zbiorowymi protestami pozostawiamy ocenie naszych Czytelników.

JERZY WILMAŃSKI

PLASTYKA

SIERADZ W MALARSTWIE

Biuro Wystaw Artystycznych w Sieradzu otworzyło poplenerową wystawę „Województwo Sieradzkie w malarstwie". Pokazują tu swoje obrazy znani łódzcy pejzażyści: **Zygmunt Hyży, Kazimierz Kędzia, Jan Łukasik, Tadeusz Sprusiak, Tadeusz Roman, Józef Wasiołek** — kolorowe płótna, jakie zawsze chętnie się ogląda, fragmenty miejskiego pejzażu widziane poprzez doświadczenia indywidualnego stylu. Obok nich artyści młodego pokolenia: **Janina i Edward Habdasowie, Grażyna Małyszko i Ewa Modrzejewska.** Swoistym odkryciem jest piękne płótno Grażyny Małyszko: swobodna, utrzymana w konwencji „nowej figuracji" impresja zamykająca w syntetycznej formie i technice collage fragmenty krajobrazu niedużego miasta; przy całej barwności może tylko zbyt smutna lub też przepoetyzowana. Od pejzażowej konwencji sieradzkiej wystawy odeszła Ewa Modrzejewska, pokazując we właściwej sobie (jak dotąd) tryptykowej formie malarskiej reportaż o ludziach.

Wystawa daje sporo satysfakcji miłośnikom realistycznego malarstwa, są tu reprezentowani popularni artyści wszystkich generacji a jednak... jakby czegoś na niej zabrakło. Otóż sądzę, że niektórzy uczestnicy pleneru w pięknym Sieradzu nad Wartą dali się skusić łatwemu stereotypowi, którego sens można sprowadzić do przekonania, że dla zaspokojenia ciekawości widzów nowej Galerii Sztuki potrzebny jest akurat „pocztówkowy" realizm w nieco tradycyjnym kształcie.

Miasto jest rzeczywiście piękne. Pełno tu zabytków; może nie tej najwyższej klasy ale składających się na niepowtarzalny charakter zabudowy, układu ulic. W pobliżu szeroko rozlewa się rzeka, pośród łąk; jest wszystko, co kojarzy się z „polskim pejzażem". Ale przecież obrazu współczesnego Sieradza nie można już budować z sentymentów. Miasto jest siedzibą województwa, którego władze stworzyły nadzwyczaj korzystne warunki dla spraw twórczości i kultury najszerzej pojętej, stawiając je na równi z innymi potrzebami regionu. Sala wystawowa z prawdziwego zdarzenia, prężna biblioteka, w zanadrzu projekty oddania stałej sceny dla teatru. To również w istotny sposób maluje portret ośrodka, który przestaje szczycić się samymi krajobrazowymi urokami. Jest także w Sieradzanach coś więcej niż zwykłe ambicje dorównania — czego im chyba renomowane centra kultury mogą pozazdrościć. Sieradzką specjalnością jest folklor barwniejszy niż tęcza (nieczołowicie dokumentowany i kultywowany przez jedno z najlepszych w kraju muzeów regionalnych).

A obok tego — nowoczesne wyroby „SIRY" i za parę lat produkcja odlewni aluminium. Wiele się zmieniło w sieradzkim województwie i tylko na obrazach wciąż przewija się motyw fary i niskich kamieniczek wokół rynku. Tradycję, teraźniejszość i przyszłość tej ziemi tworzą ludzie i to właśnie ich najbardziej brakuje na wystawie. Myślę, że to za mało wyjść jak za czasów Jana Stanisławskiego w plener i rejestrować — płótno po płótnie — stare uliczki, ciasne podwóreczka, czerwone dachy kościoła. Między takim odczytaniem sensu pleneru dla twórców a obrazem dzisiejszego województwa sieradzkiego jest pewna niezgodność, którą trzeba — przy całym uznaniu dla malarskiej wartości poplenerowej wystawy — uznać za niezrozumienie. Atrakcyjność uczestnictwa w cyklicznej już imprezie jaką stanowią letnie plenery w Sieradzu polega także na niepowtarzalnej dla każdego twórcy szansie uczestnictwa lub przynajmniej obserwacji rodzenia się czegoś nowego, konfrontacji dotychczasowych wyobrażeń z rzeczywistością, śledzenia tempa przemian w pejzażu miasta, ale przede wszystkim w ludziach. I wreszcie syntezy tego tworzywa w malarskiej, kolorowej formie. Nie chodzi o to, by plastyka wyręczała literaturę, film czy reportaż, by tworzyła malarską kronikę. Jestem pewien, że to raczej za fasadami kamieniczek, w bibliotece, domu kultury, na ulicach i przy maszynach dzieje się coś ważnego, co jak gdyby uszło na razie uwadze malarzy, a składa się właśnie na wyjątkową atmosferę Sieradza.

Nie chciałbym stawiać artystom zarzutu niezrozumienia treści pojęcia „twórczej obecności" w miejscu, gdzie jest ona potrzebna i uzasadniona. Może nawet jest zbyt wcześnie, by zdać sobie sprawę na czym polega istota awansu kulturalnego miasta, które przecież awansowało tylko formalnie, bo w końcu autentyczna otwartość wobec sztuki nie rodzi się z dnia na dzień. Sieradzkiemu plenerowi zabrakło programu zdolnego do inspirowania twórców, pobudzenia ich wyobraźni.

We współczesnym województwie sieradzkim nie znajdzie się ani cienia „kompleksu prowincjonalnego" i może dlatego właśnie warto na przyszłość (choćby na tegorocznym plenerze) nieco zaryzykować, pójść na całego — w tym najbardziej twórczym, artystycznym sensie — i dać z siebie nieco więcej niż zdawkowe dyskontowanie urody miasta, której przecież nigdy nie kwestionowano. Artystyczne „wyjście" poza magiczny urok zaułków i ceglanych dachów potrzebne jest po to, by sztuka zdolna była do autentycznego służenia ludziom.

ANDRZEJ MAJER

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI -GLANC.

ZAWÓD: REPORTER

PRZEŻYĆ TO SAMO CO INNI

Foto: Archiwum

Z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM rozmawia Marek Miller.

W błyskawicznym tempie zniknęła z półek księgarskich. Tytuł — **„Jeszcze dzień życia"**. Autor — **Ryszard Kapuściński**. Wszyscy byliśmy biernymi świadkami wojny w Angoli. Informowani codziennie przez środki masowego przekazu, braliśmy udział w jeszcze jednej tragedii współczesnego świata. **Ryszard Kapuściński**, jako korespondent PAP, brał w niej udział bezpośrednio.

Kiedy go odwiedziłem, wrócił właśnie z Angoli. Na krześle leżała kurtka kubańskiego komandosa, na drzwiach wisiał plakat z Che Guevarą, wszędzie porozrzucane książki sterty czasopism, jakieś papiery. Pomimo względnego zagospodarowania — piętno tymczasowości i prowizorki. Życie w biegu pozostawia po sobie właśnie taki pejzaż.

Rozmawialiśmy o zawodzie reportera. Siedział przygarbiony, z kawą i papierosem, wyciszony, skupiony. Sprawiał wrażenie człowieka zaskoczonego i onieśmielonego, jak gdyby to on wszedł do obcego sobie mieszkania, gdzie miał być gościem.

— Kim jest reporter? — pytam.

— Świat dziennikarski dzieli się — **mówi Ryszard Kapuściński** — z grubsza biorąc, na trzy kategorie: redaktorów, publicystów i reporterów. Reporterzy są to ludzie, którzy zbierają materiał poza miejscem swojej pracy, są to ludzie, którzy jeżdżą, którzy nie siedzą za biurkiem, w gabinecie... Reporterzy muszą być ruchliwi. To jest podstawowy warunek zawodu.

Reporter musi być poszukiwaczem. Poszukiwaczem spraw, ludzi, problemów, opinii.

Reporterzy pracujący za granicą, zdani są przede wszystkim na siebie. Ja zawsze przywożę dużo dokumentacji i zdjęć. Uprawiam reportaż niejako na marginesie mego podstawowego zajęcia, gdyż jestem korespondentem agencyjnym. Wyjeżdżam jako korespondent PAP. Na miejscu pracuję jako korespondent agencyjny, a jest to bardzo specyficzny rodzaj pracy dziennikarskiej. A dopiero po powrocie przekształcam się w reportera.

— Co najbardziej wyróżniłby Pan u reportera pracującego za granicą?

— Wydaje mi się, że reporter powinien pamiętać, że wyniki jego pracy zależą od innych ludzi. Bo przecież ten czy inny człowiek może mu coś ważnego powiedzieć lub nie, może go zabrać ze sobą lub nie zabrać, może mu pokazać coś interesującego, albo nie. Reporter musi więc być człowiekiem z takimi cechami, które czynią go łatwym do zaakceptowania przez innych ludzi. To nie może być żadna bufonada, żadne zarozumialstwo, żadne wymądrzanie się. Bo wtedy po prostu będzie się odciętym od przyjaznego stosunku innych ludzi i nic się nie zrobi. Reporterowi potrzebna jest zdolność adaptacji do każdego środowiska.

— Zdarzają się jednak reporterzy agresywni, atakujący.

— Ja jestem przeciw agresywności. Natomiast są tacy, którzy uważają, że to jest metoda. Ale to z kolei wynika ze sposobu pracy i zależy od tego, co się chce uzyskać, co się chce dowiedzieć. Są reporterzy typu amerykańskiego. Bardzo agresywni. Taki reporter chce wyciągnąć szybko bieżącą informację. On chce wiedzieć ile, kto, po co? Jemu są potrzebne fakty.

Ja jestem reporterem bardziej refleksyjnym. Mnie te sprawy mniej interesują. Mnie bardziej interesują ludzie, ich postawy, ich nastroje, ich sposób myślenia. I dlatego mnie agresywność przeszkadzałaby. Ludzie zamykają się wobec agresywnego reportera. A przede mną człowiek powinien się otworzyć. Muszę mu stworzyć do tego klimat, zdobyć jego zaufanie, stworzyć atmosferę spokoju, odpowiedni nastrój.

Ale w zasadzie na to nie ma reguły. Jeżeli korespondent musi wydobyć, powiedzmy na froncie, informację od jeńca, ilu tam jest po drugiej stronie przeciwników, jakie uzbrojenie — to będzie agresywny. Musi tę informację zdobyć i szybko nadać. Ale jeżeli mnie to akurat nie interesuje, jeżeli mnie interesuje, jak on tam trafił do tego przeciwnika, czy to nie jest zbłąkany człowiek, czy on w gruncie rzeczy jest może ciekawą indywidualnością, to ja nie mogę wobec niego być agresywny.

— Reporterowi zagranicznemu potrzebne jest chyba „końskie zdrowie"?

— Reporter musi być zdrowy. To jest podstawowa sprawa. Musi być fizycznie zdrowym człowiekiem. Kiedy mnie studenci pytali, jaka jest podstawowa kwalifikacja dla reportera zagranicznego, to ja im odpowiedziałem — zdrowie!

Fizyczna wytrzymałość, fizyczna odporność. Cóż z tego, że ktoś będzie znał problematykę, będzie znał języki, będzie miał pieniądze, będzie mógł jeździć, jeśli fizycznie nie wytrzyma klimatu, wysokości, nie wytrzyma innej kuchni!

— Nie czuje się Pan samotny?

— To bardzo poważny problem. To jest innego typu samotność. Każda samotność jest sytuacją czy doznaniem bardzo przykrym i trudnym. Można być samemu w Warszawie. Ale tam, w świecie, jest inny pejzaż, język, rasa, religia, kultura, kuchnia... Wszystko jest inne. Tam się jest samotnym już w sposób absolutnie totalny!

— A odwaga?

— Byłem skazywany na śmierć już nie jeden raz. I to w sytuacjach, kiedy się już pożegnałem z życiem. Ale to jest wkalkulowane w to, co robię. Ja zawsze wyjeżdżam za podpisem, że wyjeżdżam na własne ryzyko. I często mi mówiono przy wyjeździe, że możesz jechać, ale jak wpadniesz, to my nie będziemy ci w stanie pomóc.

— Czy można się z tym oswoić, pogodzić?

— Można. Inaczej zachowuje się żołnierz na froncie pierwszego dnia, a inaczej po trzech miesiącach walki. Pierwszego dnia żołnierz bardzo się boi wszystkiego. Jest wystraszony, ucieka, i nie jest w stanie wytrzymać natarcia. Boją się wszyscy.

Ja się też boję. Różnica jest w stopniu zdolności opanowania lęku. A to zależy od ogólnej odporności psychicznej, od obycia, od tego, co się nazywa „ostrzelany żołnierz". On się nie boi każdego strzału, czy każdego wybuchu, on umie ocenić, że jak tam gdzieś wybuchnie, to w niego nie trafi.

Wiele zależy też od znajomości terenu. Jeżeli na przykład jadę w teren zupełnie nieznany, to boję się, bo nie wiem, co mnie czeka za następnym zakrętem. A jeżeli wiem, że za tym zakrętem są swoi ludzie, to się nie boję w tym momencie. To zależy też od tego, z kim się jest. Jeżeli się jest z bardziej rutynowanym wojskiem czy partyzantami, to się człowiek mniej boi.

Dużo zależy tu od stopnia zmęczenia. Kiedy człowiek jest zupełnie wykończony, głodny, niewyspany, to jest mu już naprawdę wszystko jedno. Śpi się w błocie, strzelają, walą, ale głód, sen jest silniejszy od tego. A jak się jest bardziej świeżym, to się ma więcej lęku. To są bardzo różne sytuacje...

— A mimo to człowieka „ciągnie", aby ciągle poznawać coś nowego.

— Jeżeli chcę napisać o ludziach, chcę ich ocenić, to muszę przeżyć to samo co oni. Nie jest sztuką potem się wymądrzać, że ten jest zły, a ten dobry, kiedy siedzi się tysiąc czy pięć tysięcy kilometrów od tych ludzi. Na miejscu widzi się ich najlepiej, bo widzi się w sytuacjach ostatecznych, kiedy człowiek jest najbardziej sobą. I uważam, że nie miałbym prawa w ogóle pisać, gdybym nie był razem z nimi.

Jeżeli napiszę o kimś, że jest tchórzem, a byłem razem z nim, razem z nim wszystko przeszedłem, to mam prawo tak powiedzieć. Ale gdybym tam nie był, a siedział sobie w eleganckim hotelu, to byłoby to po prostu nieludzkie, to byłoby to kłamliwe, fałszywe, nieprawdziwe.

Działają też względy konkurencyjne między różnymi agencjami, żeby być pierwszym. Miałem często takie sytuacje, że byłem pierwszym dziennikarzem, który gdzieś się dostał przed wszystkimi. To jest już czysto sportowa rywalizacja, uczucie takie, jak u zawodnika na bieżni. Jestem już przyzwyczajony do konkurencji zachodniej, gdzie dziennikarz właśnie z przyczyn konkurencyjnych naraża życie, bo musi pierwszy zdobyć wiadomość. Jeśli bowiem zachodni korespondent nie zdobędzie informacji, to go wyrzucą z pracy.

Ale jest jeszcze ambicja i patriotyzm. Często chodziłem w bardzo niebezpieczne sytuacje, bo inni szli. Wtedy mówiłem sobie: jeśli ja, Polak, wycofam się z tego interesu, to będzie wstyd. Wiedziałem, że mogę zginąć, że wszyscy tam mogą zginąć, ale ja też tam byłem. I nikt nie powie później, że zostałem w bezpiecznym hotelu. To jest pasja, kiedy człowiek nie myśli o życiu i śmierci. W każdym razie ja nie myślę. Potem przychodzi refleksja, że mogłem zginąć, ale wtedy jest już po wszystkim.

Byłem w Angoli, na południowym froncie, gdzie nie odważył się pojechać żaden dziennikarz, bo wyjazd tam był pewną śmiercią, absolutnie pewną. Ja jednak pojechałem i nie zastanawiałem się nad tym, co się stanie. Chciałem tam być.

— Czy nie żal Panu spokoju, domu, stabilizacji?

— Nie bardzo starcza mi czasu na tego typu refleksje. Żyję w bardzo przyspieszonym rytmie, od jednego wyjazdu do drugiego. Teraz znów jadę. Bronię się przed tymi wyjazdami, żeby móc coś napisać, bo po prostu nie mam czasu na pisanie. Ale w życiu trzeba wybierać, zawsze trzeba wybierać. Na to nie ma rady.

NIE TYLKO HISTORIA

NIETYPOWA BIOGRAFIA

Życiorys to zaiste nietypowy. Żołnierz Księstwa Warszawskiego, usunięty z armii Królestwa Polskiego oficer, który otrzymał dymisję w wyniku wyroku za zbyt brutalne obchodzenie się z podwładnymi, dzielny uczestnik Powstania Listopadowego, później emigrant związany raczej z kołami umiarkowanymi, niż lewicowymi, pod koniec swego długiego i pracowitego żywota, znalazł się **Ludwik Oborski** w środowisku, które przyszłość Polski jęło wiązać z międzynarodowym ruchem proletariackim i socjalizmem.

„Ludwik Oborski — pisze dziś o nim jego biograf, Bogusław Cygler — **był przyjacielem najwybitniejszych polskich demokratów emigracyjnych i pozostawał w kręgu ich oddziaływania. Wielu z nich wyprzedził stopniem swego radykalizmu społeczno-politycznego, dając tego dowody w praktycznej działalności. Znał osobiście, przyjaźnił się, współpracował przez dwadzieścia kilka lat z Marksem i Engelsem, wszedł do Rady Generalnej I Międzynarodówki i podpisał jej Manifest Inauguracyjny".**

Myślę jednak, że B. Cygler, kreśląc tę biografię z nie ukrywaną sympatią dla swego bohatera, zbyt przesadnie doszukuje się w jego życiu i działalności jakiejś pełniejszej konsekwencji. Droga L. Oborskiego do lewicy była długa i skomplikowana, a śledząc pierwsze lata jego czynnego życia, trudno doprawdy nawet przypuszczać, że po latach znajdzie się on w środowisku, w którym działali twórcy naukowego socjalizmu. Bo, czyż oficera — służbistę z armii Wielkiego Księcia Konstantego, jakim niewątpliwie był L. Oborski, nawet w świetle najskrupulatniej zgromadzonego przez jego biografa materiału, możemy posądzać o coś więcej, jak tylko umiarkowane sympatie do środowisk, które później uformują się w obóz lewicy? A pierwsze lata pobytu na emigracji, czyż nie świadczą o tym, że pułkownik ustawicznie poszukiwał właściwej drogi bardziej, niż kierował się już dokonanym przez siebie wyborem?

Jego biografia wyróżnia go spośród masy podobnych działaczy polskiej emigracji również i tym, że z pewnością nigdy L. Oborski nie był jakimkolwiek teoretykiem. Był człowiekiem praktycznym, czynnym, ustawicznie szukającym sposobów oddania usług sprawie Polski, nie wahającym się, kiedy było trzeba poświęceń. Ale — biografia pióra B. Cyglera utwierdza nas w tym przeświadczeniu — za grosz nie był teoretykiem. Do lewicy zbliżało go życie, doświadczenia lat walki i pracy, potrzeba znalezienia swego miejsca w praktycznym, że tak powiem, biegu zdarzeń. Jego udział w Wiośnie Ludów w zaborze pruskim, potem wybitna rola, jaką odegrał w rewolucji badeńskiej, wszystko to nie wypływało z jakichkolwiek spekulacji teoretycznych, jakich wiele snuli podówczas polscy emigranci. I taki chyba charakter miało jego zbliżenie ze środowiskiem I Międzynarodówki — nie teoretyczne, ale praktyczne, powiedziałbym: oficerskie.

„Daremnie szukać Oborskiego — podkreśla B. Cygler — **wśród tych czołowych emigrantów, którzy reprezentując elitę intelektualną narodu polskiego i świetnie władając piórem, tworzyli nowe programy działania i wytyczać chcieli narodowe cele, podporządkowując im określone środki".**

Pod tym względem był L. Oborski przeciwieństwem choćby tylko Ludwika Mierosławskiego: wiemy aż zbyt dobrze, że ten ostatni miał wszechstronne ambicje intelektualne, pozostawił po sobie sporą — acz bardzo różnej wartości — spuściznę pisarską, z której twórczość historiograficzna zdaje się posiadać największą wartość. Ale czy droga życiowa L. Oborskiego, wiodąca **„od poglądów społecznie i politycznie umiarkowanych"** do **„poglądów rewolucyjno-demokratycznych"**, przy całej swej niezwykłości, na tle prominentów emigracyjnej lewicy, — nie była, mimo wszystko, w jakimś sensie... typowa? Przecież więcej było, niż jeden wysłużony pułkownik, takich Polaków oraz przedstawicieli innych narodów, których do socjalizmu pchało życie, potrzeba służenia innym, praktyka polityczna bardziej niż teoria filozofia, historia...

Był L. Oborski blisko z K. Marksem i F. Engelsem. Zgadzamy się jednak z B. Cyglerem, kiedy pisze na zakończenie swej książeczki: **„Pułkownik Ludwik Oborski — szermierz wolności (1789—1873)"** (Wydawnictwo Morskie, 1976), że **„nie świadczy to zapewne, że rozumiał i aprobował zasady socjalizmu naukowego, ale dowodzi jego sympatii ideowo-politycznych i kierunku jego ewolucji. Na gruncie angielskim Oborski stał się z czasem symbolem polskiego patriotyzmu i polskiej irredenty, swoistym łącznikiem między „listopadowym", a „styczniowym" pokoleniem emigracji polskiej, do końca wierny niezachwianemu przekonaniu w odrodzenie się Polski niepodległej, republikańskiej i ludowej".**

ANDRZEJ F. GRABSKI

LITERATURA

MIROSŁAW KUŹNIAK

★ ☆ ★

JOANNIE

Oto się rodzi, noc
jest dłuższa od największego w mieście
zegara, od krzyku idącego
przez cztery ściany oczekiwania.

Oto się rodzi, każda
cząstka ciebie,
odcinek serca nie do zmierzenia,
stroma góra miłości
nie do pokonania.

Oto się rodzi, pokrętna
metafizyko narodzin, metaforo
rosnąca jak szept
kręgów na wodzie.

JERZY S. FELIKSIAK

SKAZA

Ta chwiejność jest jak skaza, której nie wyleczysz,
Każdy dzwon, choć ze spiżu, posłuszny jest sznurom.
Kiedy wiatr, każde drzewo chwieje się pod chmurą.
i niepewny jest płomień pochodni i świecy.

Tę skazę, jak na spiżu, można wykryć w żebrach,
Od dziecka chwiejność ognia czujemy pod skórą.
Niepewna nasza wierność. Odwaga — jak furkot.
I uczucia się kończą szybciej niż kalendarz.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

SKĄD

skąd tej radości wiernej w tobie tyle
gdy krople rosy chóry naśladują
sącząc z traw smukłych idee Platona
a każda z nich tobie
nie chórowi służy

skądże się w tobie ta zaduma budzi
kiedy wiatr szepty drzewom rozpowiada
ruszając od niechcenia o byt nasz pytanie
a każdy podmuch tobą
nie konarem wstrząsa

skąd w tobie z nagła ta nadzieja płocha
gdy boisz się ją spłoszyć onym słowem zbędnym
co — ledwie narodzone — już za innym goni
a każde słowo tylko ciszę wzmaga
jak mgła rozpiętą

JAN ONOPA

OJCOWIZNA

Tu nasze poczęcie zaznaczyło ślad.
I tu przypisani:
Bez prawa do rezygnacji i śmierci
Bez następcy.

I tu jesteśmy:
Gdy gore w nas najżywszym ogniem,
A choroba i trwoga w totalnym ataku;
Lub gdy konieczność mocniejszej dłoni
W pilnej potrzebie,
Lub gdy chleba i błękitu pragnienie największe;
Lub gdy wrogowie idą nas zabić.

Każda tu miarka ziemi
I ptaka zaradność,
Słowo,

Gdy kształt i myśl zamyka celnie

I wiosną jeszcze krę topi —

Po ojcu,
Dziadzie lub pradziadzie.

I tu jesteśmy,
I podkręcamy sobie wąsa.

RYSZARD DOMINIAK

MIĘDZY DWUNASTĄ A TRZYNASTĄ W POŁUDNIE

Siedział na piaszczystej skarpie i patrzył w morze. W lipcowe południe było ono pełne ciemnego błękitu i jasnej zieleni. Zauważył, jak w pobliżu brzegu kolory te mieszają się tworząc nową, trudną do określenia barwę. Dalej, gdzie linia horyzontu łączyła niebo z wodą widać było jednobarwny granat zimny i połyskliwy. Tam też dostrzegł nitkę dymu i wodząc jej śladem zobaczył parowiec. Był to jasny, prawdopodobnie duży statek pasażerski, ale z odległości kilkunastu kilometrów wyglądał jak maleńka zabawka. Patrząc, próbował ocenić odległość i sam nie wiedząc czemu określił ją na siedemnaście kilometrów. Potem śledził wzrokiem loty mew i obserwował jak nurkują uderzając twardo w powierzchnię wody. Pomyślał, że te wrzaskliwe kołujące nad plażą ptaki wnoszą troszkę urozmaicenia. Podniósł się otrzepując z łydek ziarenka piasku. Plaża roiła się od ciał. Zawsze podziwiał tych, którzy mogli godzinami leżeć na słońcu. On sam nie mógł w nim zbyt długo siedzieć bez ruchu. Dlatego kręcił się po plaży, często zanurzał w morskiej wodzie i to powodowało, że jego skóra szybciej niż Moniki nabierała opalenizny. Monika nie zazdrościła mu tego. Leżała na kocu za usypanym przez niego piaskowym wałem i czytała książkę. Mogła tak leżeć godzinami, popijając kawę z termosu i gryząc biszkopty, albo jakieś inne ciastka. A kiedy on cokolwiek robił, mawiała z nie ukrywaną złością:

— Przestań się wiercić. Znowu obsypałeś mnie piaskiem.

— Leniwym ruchem obracała się na drugi bok, a on uśmiechając się proponował:

— Chodź do wody, kąpiele morskie dodatnio wpływają na tarczycę, przy okazji ochłodzisz się. — Ale żona patrzyła na niego podejrzliwym nieco wzrokiem i odpowiadała:

— Wiesz przecież, że nie mogę. Chodzić w lodowatej wodzie z moim reumatyzmem? Jak ty już coś wymyślisz... — dodała.

A on wiedząc, że Monika tak właśnie powie, był z tego zadowolony i uśmiechał się. Przez najbliższą godzinę mógł swobodnie wałęsać się po plaży, robić to na co miał w danej chwili ochotę.

Teraz schodząc ze skarpy wypatrzył miejsce gdzie leżała żona. Siedziała na kocu pulchna, podobna do nasiąkniętej wodą żabki. Stwierdził to i uśmiechnął się. Lubił tę swoją grubą Monikę. Zrzęda to ona była. Kłótliwa, ciągle z czegoś niezadowolona, zatruwała mu życie od dwudziestu już lat. Kiedyś Michał buntował się. Odgrażał się Monice, że pójdzie sobie gdzie go oczy poniosą. Ale tak sobie tylko mówił i Monika o tym wiedziała, więc uśmiechała się tylko z jego pogróżek. Mogła sobie kpić z Michała, bo wiedziała, i to się tylko liczyło, że jej mąż kocha swoje dzieci, że nie mógłby bez nich żyć. Tak, Michał doskonale rozumiał swoją sytuację. Wiedział, że dzieci przedłużają jego rodzinną więź i że on nie jest w stanie jej zerwać. Potem przyzwyczaił się do apodyktycznego charakteru swej żony na tyle, że przyjmował jej złoszczenia ze smutnym uśmieszkiem rezygnacji. Tak Michał pogodził się ze swym losem, przyzwyczaił do życia w atmosferze nie kończących się utyskiwań Moniki. Z tych też względów coraz bardziej cenił sobie samotność. Wyzwalała ona w nim poczucie wolności osobistej, dawała możliwość wykonania własnych przedsięwzięć. Będąc sam na sam z sobą Michał puszczał wodze wyobraźni i marzył. Potrzebne to było. Przywracało mu spokój i wewnętrzny ład. Teraz, kiedy schodził ze skarpy był nawet zadowolony, że spędza urlop na nagrzanej słońcem plaży, że w każdej chwili może zanurzyć ciało w chłodnej wodzie. Zadowolony był, że wśród ciżby wczasowiczów znajduje się jego żona — Monika, dla której słońce i piasek były prawdziwym dobrodziejstwem. Myśląc o tym powoli zanurzał się w morskiej wodzie. Pierwsze atakujące go fale, wywołały uczucie zimna. Dlatego, kiedy woda sięgała mu powyżej pasa, dał nurka i płynął niesiony narastającą falą. Kilkanaście metrów dalej morze było spokojne, a woda tak czysta, że widział piasek dna i małe pomykające przed nim rybki. Michał lubił morskie kąpiele. W ogromnym, bo nieogarniętym wzrokiem, zbiorniku wodnym czuło się żywioł i coś co łączyło się z nim, a było tylko podświadomym wynikającym z instynktu człowieka marzeniem walki. Kiedykolwiek Michał zanurzał się w morskie fale zawsze ogarniała go chęć wdarcia się w głębinę. Chciał w jakiś sposób zatriumfować nad żywiołem, zaspokoić odwieczną tęsknotę do panowania nad przyrodą, ale kiedy dostrzegał nagle mroczną głębinę ogarniał go strach. Zawracał wtedy ku brzegowi, bo strach odbierał mu siły, bo w oblepiającej masie wody czuł się zagubiony. Dopiero, kiedy stopy dotykały dna, a usta mogły swobodnie chwytać powietrze, czuł się znowu bezpieczny. Podkurczał wtedy nogi i pionowo opuszczał się na dno. Osiągając je, odbijał się stopami, wypływał na powierzchnię, nabierał w płuca powietrza i powtarzał tę samą czynność.

Właśnie wynurzył się z wody, kiedy nie opodal zobaczył wyciągniętą rękę kobiecą. Zorientował się, że jest w niebezpieczeństwie i bez namysłu popłynął na pomoc. Znalazł się obok kobiety w chwili, kiedy jej głowę okryła nowa fala. Pierwszy raz widział skurczone, poddające się falom, ciało ludzkie. Zobaczył szeroko rozwarte, zdziwione i przerażone oczy i wiedział już, że kobieta — topielec pojmuje, że dzieje się z nią coś bardzo złego, a ona nie może nic zrobić, aby przeciwstawić się temu złu. Objął ją wpół i przewiesił przez ramię. Holował w kierunku jaśniejącej mielizny. Potem kiedy woda sięgała kolan zniżył jej głowę, a ciałem potrząsnął kilkakrotnie. Poskutkowało. Kobieta rzygnęła wodą i po chwili mogła już stać o własnych siłach. Teraz otaczał już ich krąg tych, którzy zażywając kąpieli spostrzegli, że obok nich dzieje się coś niezwykłego. Kiedy ludzki krąg zacisnął się, powiedział gniewnie:

— No ludzie, przecież nic się nie stało, rozejdźcie się!

Powiedział tak i uśmiechnął się, bo krzyknął na ludzi, jakby oni tarasowali ulicę. Prowadził kobietę podtrzymując ją za ramię. Gdy wyszli na ląd dysząc ciężko powiedział:

— Mimo wszystko miała pani szczęście.

Odwrócił się i zamierzał odejść. Wtedy kobieta uczepiła się jego dłoni.

— Niech pan nie odchodzi — prosiła. — boję się. — Drżała na całym ciele.

Patrząc na nią Michał zrozumiał, że dopiero teraz w organizmie kobiety nastąpiło odprężenie. Podobnie działo się z nim. Bolały go ramiona, drżały łydki, czuł wzmożony ucisk w skroniach. Patrzył na kobietę. Trzymała jego rękę kurczowo wczepiając się w nią paznokciami, aż poczuł ból. Próbował uwolnić się, ale ona trzymała mocno. Nie chciał się szarpać, bo jak zdążył zauważyć, oboje stali się obiektem zainteresowania ciekawskich. Zauważył, że ma ładne, zielone oczy i zgrabną sylwetkę. W pewnej chwili puściła jego rękę i szepnęła:

— Dziękuję panu i przepraszam... — Ciągle drżała z zimna, mimo że wiatr i słońce osuszyły jej ciało. Patrzyła mu w oczy ze smutnym zwiedzeniem. Odczytał z jej wzroku to właśnie zwiedzenie i zrobiło mu się jej żal. Powiedział stanowczym tonem:

— Dobrze, idziemy.

* ☆ *

Potem, kiedy siedzieli w chwiejnym cieniu karłowatej sosenki kobieta powiedziała:

— Niech pan mi mówi Agnieszka. Bardzo bym chciała, aby mówił mi pan po imieniu.

Odpowiedział z wahaniem w głosie:

— No, jeśli to sprawi pani przyjemność...

Położył się na krawędzi koca, a ona otworzyła torebkę. Częstowała go czekoladą i ciastkami, jakby w ten sposób chciała wyrazić swą wdzięczność. Rozumiał intencje Agnieszki. Zapalił papierosa i zaczął opowiadać, jak to czasem bywa z tym ludzkim życiem. Nawet się człowiek nie spostrzeże. Ale w tym rzecz cała, że śmierć przychodzi zazwyczaj nie oczekiwana. On też już był w takiej sytuacji. Zostały mu tylko blizny. Wykazała nagle zainteresowanie.

— Czy to ta na przedramieniu? — zapytała.

— Nie tylko.

— Pokazał jej szramę w tyle głowy. Delikatnie głaskała ją palcami, a potem przybliżyła swą twarz do jego twarzy i patrzyła mu w oczy przeciągle, jakby w ten sposób zamierzała przekazać mu własne myśli, a jednocześnie odczytać jego. Czuł rosnące zakłopotanie. Nie dlatego, że z natury był nieśmiały, ale dlatego, i to się według niego liczyło, że między nim a Agnieszką była zbyt duża różnica wieku. Świadomość tego oraz fakt, że poznał Agnieszkę w tak niecodziennych okolicznościach sprawiły, że postanowił zachować się tak, jak na mężczyznę w jego wieku przystało. Podpierając ciało na rękach, usiłował wstać. Nie pozwoliła mu. Położyła dłoń na piersi i przytrzymała.

— Jeszcze nie teraz — proszę...

— Chcę przyjrzeć się twojej twarzy aby... — Urwała. Zauważył, jak oczy jej zawilgotniały, ale mogło mu się tak tylko wydawać, bo leżeli w pełnym słońcu, a wtedy o złudzenie nietrudno. Przyglądali się sobie w milczeniu. Obserwując krągłość ramion Agnieszki, jej piersi i delikatny profil, odczuł narastające pożądanie i zapominając o postanowieniu dłonią pogładził jej ramię.

— Jesteś pięknie opalona — wydusił z siebie głosem drżącym z podniecenia. Jakby czekała na to. Jej usta wilgotne i chłodne przywarły do jego ust. Aż pociemniało mu w oczach od zachłanności Agnieszki. Ale ciągle jeszcze w zakamarkach mózgu siedział strach. Zdawał sobie sprawę, że leży na rojącej się od ludzi plaży i że niedaleko siedzi jego pulchna Monika. Przeraziła go namiętna agresywność Agnieszki. Siedziała w nim ta bojaźń do chwili, w której poczuł smak pocałunku. Sprężył się w sobie i trwał tak ogarnięty namiętnością, wyzbyty skrupułów, nie dbając już o to, że za jego plecami pojawić się może Monika. Agnieszka darząc go pieszczotą wyzwoliła drzemiące pragnienia, ukazała coś, za czym od dawna marzył. Teraz on obejmował Agnieszkę, przygniatał piersią, całował. Doznawał radosnego przekonania, że życie jest urokliwe, bo pełne niespodzianek i fascynacji. Tak, Agnieszka i on byli sobą zafascynowani, ale głośny niespodziewany śmiech wytrącił ich ze stanu odurzenia. Podniósł głowę i zobaczył grupę przechodzących obok dziewcząt. Patrzyły na niego i śmiały się. Były w wieku jego córki. Uśmiechnął się do nich, a one pokiwały mu przyjaźnie dłońmi. Ale śmiech dziewcząt przywołał rzeczywistość. Znowu zobaczył jasny piasek, błękitne morze i kręcących się ludzi. Przez chwilę wpatrywał się w twarz Agnieszki. Rozsypane włosy, zamknięte oczy i lekko rozchylone jakby czekające na pocałunek usta.

Zwiesił głowę i patrząc na kołyszącą się w podmuchach wiatru gałązkę sosny powiedział:

— Muszę już iść Agnieszko, czas na mnie.

Podniósł się. Dłonią przygładził potargane nieco włosy i zapalił papierosa. Wtedy Agnieszka usiadła.

— No tak — westchnęła — musisz już iść, ale dlaczego? — Powiedz dlaczego tak jest?

Siedziała z podkurczonymi nogami opierając brodę na kolanach. Stojąc obserwował jej skuloną drobną postać, osiadły na jej twarzy smutek upadabniający ją do bezradnej dziewczynki. Pomyślał, że jej stosunek do niego wynika z wdzięczności i zrobiło mu się jej przykro. Gdyby na przykład nie nadarzyła się sposobność udzielenia Agnieszce pomocy, to byliby nadal obcymi sobie ludźmi. No tak, ale on za wyciągnięcie jej z topieli nic nie żądał. Jak to więc jest?

Agnieszka powtórzyła bezdźwięczne:

— Niech pan odpowie.

— Niech pan powie jedno słowo, dlaczego tak jest?

Odpowiedział wykrętnie:

— Rozumiem ciebie. Chciałaś odwdzięczyć się za moją pomoc. Wszystko co robiłaś było spontaniczne, trochę takie na przekór rozsądkowi...

Przerwała mu.

— To nie to, nie o to przecież chodzi.

Rzucił niedopałek papierosa i zagarniając stopą piasek zasypał go.

— Nie o to chodzi?

Zdziwił się, a właściwie udał zdziwienie. Wiedział już, że Agnieszka nie kierowała się jedynie uczuciem wdzięczności. Zrozumiał to już wtedy, kiedy wyszli z wody i kiedy ona złapała jego dłoń. Wtedy patrząc w jej nabrzmiewające łzami oczy domyślił się, że jej wdzięczność jest tylko pretekstem. Ogarnął go smutek, bo zdawał sobie sprawę z własnej sytuacji. Jak to właściwie jest? Jeszcze kilka minut temu sądził, że życie jest piękne, że jeśli się chce, można zdobyć nawet to najważniejsze. Tak sobie wtedy myślał, a teraz? Narastające przygnębienie, ten cholerny żal, że nie może, nie potrafi odpowiedzieć na zadane przez Agnieszkę pytanie sprawiły, że zatoczył się nagle, jak człowiek, któremu uszkodzono błędnik równowagi. Usłyszał jej proszący głos.

— Siadaj Michale, zrozumiałam już wszystko, więc siadaj choć na chwilę... Uniósł głowę i dostrzegł, jak na tle błękitu płyną białe, pierzaste obłoczki.

— Pogoda się psuje — powiedział tępym głosem i nachylił się. Raz jeszcze spojrzał Agnieszce w oczy. Były zaczerwienione i smutne. Nie nie było sensu przedłużać tego wszystkiego. On, Michał, musi odejść i to natychmiast. Musnął ustami czoło Agnieszki, a dłonią ścisnął jej ramię. Nie drgnęła. Patrzyła w daleki drgający niebieskim światłem horyzont, jakby spodziewając się że wynurzy się z niego ktoś i przyniesie jej odpowiedź.

* ☆ *

Wrócił, kiedy Monika dojadała ostatniego biszkopta. Leżała na boku rozgrzana słońcem, czerwona. Nie dostrzegła go jeszcze. Dopiero, kiedy przeszedł nad nią i ukląkł na kocu, uniosła się i powiedziała gniewnie:

— Gdzie łazisz? Słońce przypiekło mi skórę na ramionach, a ty gdzieś się wałęsasz.

Odpowiedział:

— No to co? Ja nie smaruję się i dobrze.

— Tyle już razy mówiłam, że nie interesujesz mnie.

— Wiem i bardzo się z tego cieszę.

— Ale twoim obowiązkiem jest — uniosła głos — abyś był przy mnie i smarował mi plecy.

— Zaczęła się ubierać.

— Już to dzisiaj robiłem.

— A w ogóle gdzieś ty był? — dopytywała się obserwując, jak trzepie, a potem zwija koc.

— Chodziłem, kąpałem się, zbierałem kamyki. Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

— Spóźnimy się na obiad. Znowu to czupiradło zajmie nam miejsce przy stoliku.

— No i co? Wielka rzecz.

Wracali ścieżką między wzniesieniami ruchomych wydm. Kiedy osiągnęli twardy grunt i zagłębili się w cień sosnowego lasu Michał powiedział:

— Nawet nie wiesz, że niedaleko nas topiła się kobieta.

Jego żona wykazała nagłe zainteresowanie.

— Co ty mówisz? Widziałam jakieś zbiegowisko, ale nie chciało mi się tam chodzić. No i co? utopiła się?

— Nie, jeden facet wyciągnął ją.

Monika zaśmiała się.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Co tak patrzysz? Pomyślałam sobie, że może ta kobieta topiła się tylko po to, aby wyratował ją jakiś chłop.

Odpowiedział w zamyśleniu.

— Może.

Foto: Archiwum

ŻEGNAJ DANIO! BĘDĘ cię DŁUGO PAMIĘTAŁ...

Dalszy ciąg ze str. 1

Dzień pierwszy

Prom płynący z Malmö do Kopenhagi nazywa się Öresund. Jak na przedpołudniową porę dnia powszedniego wcale tłoczno. Tu tanio, strefa bezcłowa, a do każdego z czterech dodają piąty darmowy bilet. Przed kioskiem na międzypokładzie długa kolejka, przeważnie starsi ludzie, renciści. Każdy wtyka w okienko swoje bilety. Stempel i poświadczenie, że kupił paczkę tytoniu, papierosów, tabliczkę czekolady za jedną trzecią „lądowej" ceny.

Schodzę ni to do baru, ni to do kawiarni. Przy aseptycznie lśniących szkłem i niklem stolikach siedzi kilka osób. Na środku mrocznej, półokrągłej sali przystanęła dziewczyna w wytartym dżinsowym ubraniu. Mijam ją kierując się ku wolnemu stolikowi. Szarpie mnie za rękaw i coś bełkocze — I speak english — odpowiadam mechanicznie. Kręci głową, odchodzi. Już siedząc obserwuję jak szwenda się po sali, sięga po nie dojedzone resztki kanapek, przykłada do ust puste prawie butelki po piwie. Nikt nie zwraca na nią uwagi.

Prom skręca łagodnym łukiem. Przed nami przystań w Kopenhadze. Za chwilę będziemy cumować. Już ląd. Już inny kraj. Trzeci w ciągu ostatniej doby. Dopadam najbliższego automatu telefonicznego. Śmieszny pieniążek z dziurką w środku znika w otworze zielonej skrzyneczki. — Christian? — pytam. W słuchawce coś jakby gwiżdże i chrzęści. Ech, ci Duńczycy, nawet po angielsku mówią wciągając powietrze...

Dzień trzeci

Christian mieszka w Christianii. I nie ma w tym nic znaczącego, ani nadzwyczajnego. Bo chyba co piąty Duńczyk ma na imię Christian, albo przynajmniej nazywa się Christiansen. Zresztą Christiania to duża dzielnica — dzielnica cyganerii — artystów, hippisów, ale też zwykłych złodziei i prostytutek. Dumne, wolne miasto Christiania, taką ma przynajmniej tutaj opinię i jest w tym trochę prawdy, bo kiedy władze miejskie chciały wyburzyć stare, czynszowe kamienice ich mieszkańcy zorganizowali masową akcję protestacyjną. I jest Christiania.

Wyciągnięty na łóżku w pokoju-pracowni patrzę jak mój gospodarz maluje. To jego zawód — ukończył Akademię i to jego pasja, a rzeczywista profesja — nauczyciel rysunków w szkole stopnia podstawowego. Wyciągam umęczone kilkoma godzinami rowerowej jazdy nogi.

— **Znalazłeś coś?** — Christian unosi się znad położonego na podłodze blejtramu. To „coś" to cel i sens moich trwających już dwa dni wypraw — praca. Milczę, bo właściwie co mu powiedzieć. Opisać w ilu knajpach pytałem, do ilu hotelarzy uśmiechałem się uprzejmie. Czy coś z tego zrozumie? Tak jak wczoraj kiedy spytał — **A po co ci te pieniądze, które chcesz tu zarobić?** Miałem mu tłumaczyć, że w Polsce jest konto A, że je wpłacę, że dostanę znów paszport i wyharowaną tu forsę roztrwonię na rajzę po Europie, by znów, jak się uda przyjechać tu czy do Szwecji, pracować.

Może by mu się nawet to podobało. Sam przecież powiedział, że świadomie żyje jak cygan. Nie ma samochodu, porządnego mieszkania, konta w banku. A potem dodał, że już tak dłużej chyba nie będzie, bo oni go zniszczą. — Co za oni — spytałem. — **System, kapitalizm** — odparł. Poczułem się jak na projekcji filmu z pięćdziesiątych lat radosnej twórczości. — Jak to zniszczą, co zniszczą? — dałem wyraz niedowierzaniu. Wtedy zapalił się i z ołówkiem w ręku wyliczył jakie płaci podatki, ile pochłaniają z jego skromnej nauczycielskiej pensji, bo nie obciążył się ratami za samochód, za meble, za mieszkanie. I znów liczył, że jeśli to kupi i podepcze swoją koncepcję ascetycznego życia, będzie płacił raty, odsetki, to tak mu zmniejszą podatki, że na czysto wyjdzie lepiej niż teraz.

Więc gapię się ku oknu i myślę, że pewnie płaciłbym raty, po to chociażby, by nie widzieć teraz za zakurzoną szybą dachu drewnianej budki stojącej pośrodku podwórka, do której chodzi się za potrzebą, bo ubikacje na piętrze wspólne dla całej naszej oficyny są od tygodni „closed" i cuchną jak nieszczęście.

— No i kupisz samochód? — pytam grzecznie zmęczony przeciągającym się milczeniem. Teraz on nie odpowiada. Więc kupi, a pewnie też skórzaną kanapę i fotele, zapełni dom różnymi „gadgetami" i będzie jeździł na tanie czarterowe wycieczki poza sezonem. Majorka, Costa Brava, Ostenda — 50 dolarów za tydzień. Hotel i śniadanie. Będzie jeździł, a ja mu tego już zawczasu zazdroszczę. Bo to i tak lepsze niż do Turcji z kryształami....

Dzień siódmy

Dziś rano dotarło do mojej świadomości, że jestem tu już tydzień. A więc pora najwyższa na mały obrachunek. Coś w rodzaju robinsonowskiego bilansu dobrych i złych stron przebywania na bezludnej wyspie. Tym bardziej że jest nie tylko czas, ale i miejsce na drobiazgowe rozważania — siedzę na trawiastym stoku łagodnie opadającym ku jezorowi autostrady. Słońce, które jeszcze przed paroma kwadransami mile rozgrzewało, teraz już solidnie przypieka.

Więc z przydziałowych 130 zostało mi około 60 dolarów. Żyłem trochę ponad stan, a poza tym koleżeństwo z Christianem koleżeństwem, ale zażądał sprawiedliwego udziału w czynszu za mieszkanie — płatne za miesiąc z góry — i żegnajcie 30 zielonych papierków. A praca? Tu więcej do powiedzenia miałby pożyczony rower. Zrezygnowałem z kariery siły pomocniczej w restauracyjnej kuchni. Rolnictwo daje większe możliwości. Trzy dni mozolnego pedałowania, trzy dni wypełnione monotonią litanii pytań i odpowiedzi: „Jestem... Szukam.. U nas nie ma...". Każda kępa drzew okalających farmę, która jak zastygła eksplozja zieloności unosi się nad tą równiną, jest zarazem nadzieją i zwątpieniem.

Wstaję, sięgam po rower i wolno poboczem autostrady idę ku dalekiej farmie. Pod nogami chrzęszczą ślimacze pancerzyki. Jest wreszcie asfaltowa, wąska droga. Po parunastu minutach solidnego pedałowania staję przed bossem — **Przyjdź jutro o szóstej...** Coś jeszcze dalej mówi, lecz już go nie słyszę. Ogarnia mnie dziwna radość i przygnębienie zarazem. Kiwam bez sensu głową. Potem odjeżdżam...

Dzień ósmy

Pracuje tu kilkunastu Polaków. Niektórzy już ponad miesiąc. Tyle przynajmniej zdołałem się dowiedzieć zanim wezwał mnie boss — **Pójdziesz do samolotu.** Rozdziawiłem gębę ze zdziwienia, lecz nic więcej nie wyjaśnił, odwrócił się na pięcie i poszedł. Ktoś poklepał mnie po ramieniu. — **Nowy? Do samolotu, tak? Chodź, pokażę.** Samolot to przyczepa ciągnięta przez traktor, z jej boków wystają niby skrzydła niewielkie platformy. Ten pojazd z dwuosobową, nie licząc kierowcy, załogą sunie przez buraczane pola i zbiera załadowane skrzynki.

Stoję na lewym skrzydle, co kilka chwil chwytając się wspornika łączącego platformę z przyczepą pochylam się w głębokim skłonie. Moje ciało winduje 30-kilogramowy ciężar...

Dzień trzynasty

Mży, ziąb. Poranne mgły jak brudne szmaty wloką się po ogołoconych, buraczanych polach. Kryjąc w dłoniach przed wszechobecnymi drobinami wody papierosowy żar czekamy pod barakiem bossa. Wreszcie słychać miarowy terkot jego „Mercedesa". Spóźnił się ponad kwadrans, to niebywałe, lecz bez żadnych wyjaśnień podchodzi do naszej grupki i rzuca: — **Nie ma roboty. Będziemy się liczyć i do widzenia.**

Nikomu nie chce się pytać, prosić. Milcząc patrzymy jak wyciąga z kieszeni pieniądze i kolejno wzywa nas po imieniu. Moja kolej — patrzę jak odlicza papierki.

— Tylko tyle — wyrywa mi się. Patrzy na mnie uważnie. — **A ile byś chciał za parę dni roboty?.** — No tak, ale stawka wynosi 18 koron — dorzucam niepewnie. — **Może wynosi, ale dla tych co mają pozwolenie na pracę.** Wciska mi pieniądze i już wywołuje następnego.

Wsiadamy na rowery, ktoś rzuca propozycję by pojechać na piwo. Nasze przybycie ożywia senną atmosferę pustego o tej porze dnia przydrożnego motelu. Śmiechy, rozmowy, trzask odpieczętowywanych puszek. Nikt zdaje się już nie pamiętać o wydarzeniach tego ranka i nikt chyba nie myśli, co dalej — przecież mimo wszystko są to wakacje...

Dzień dwudziesty

Już tydzień bez roboty. Przejadłem zarobione pieniądze. A żyję przecież skromnie — amerykański ryż błyskawiczny, trochę sera, keczup, tanie przerośnięte tłuszczem mięso.

Codziennie rano ruszam wedle z góry wykalkulowanej trasy. Godzina 9 — spacer po Królewskim Parku, 11.30 — zamkowy dziedziniec, gdzie 30 minut oczekiwania na zmianę warty nie skraca już obserwowanie naiwnej ekstrawagancji wycieczek amerykańskich rencistek. Potem parę minut kolorowej parady przybocznej królewskiej gwardii i pozostał tylko Storget. Idę tam prawie z uczuciem nienawiści niezdolnej jednak zburzyć ustalonego harmonogramu dnia. Oglądam wystawy sklepów, krzykliwe reklamy kin, czuję drażniący nozdrza zapach pieczeniny z pobliskiego kiosku z hamburgerami.

Siadam na ławce, tocząc dziwne zmagania z czasem — nie wiem czy chciałbym przyspieszyć jego bieg, czy wstrzymać i odsunąć jeszcze na godzinę, półtorej kolejny etap mojej wędrówki — Tivoli. Tam w ogrodzie diabelskich młynów, krzywych zwierciadeł, ścian śmierci, w trącącej z daleka tandetną fałszywością japońskiej pagodzie siądę przy filiżance mocnej kawy. Już nie ponaglany, pogodzony z jałową pustką przeciekającego dnia.

Pozostała jeszcze Gliptoteka — muzeum malarstwa, rzeźby. Po pierwszej pobieżnej wizycie począłem zwiedzać je metodycznie. Dzięki temu w łańcuchu komnat, pod których granatowymi ścianami stoją równym szeregiem białe popiersia rzymskich cesarzy, nie wysunąłem się jeszcze poza dynastię flawijską — Wespazjan, Tytus, Domicjan. Przede mną jeszcze cztery wieki Starożytnego Rzymu. I oczywiście jeszcze niecałe 30 dolarów na życie.

Dzień dwudziesty czwarty

Dziś wizyta na Storgecie przyniosła odmianę. Spotkałem znajomych z Polski, odbywających rolniczą praktykę. Praktyka — dumna nazwa, pod którą kryje się zwykła robota przy wyrywaniu chwastów, ale mają całkiem niezłą stawkę i co najważniejsze pewność. Pytałem, czy nie byłoby czegoś dla mnie — z powątpiewaniem kręcili głowami — może w Szwecji, tu ciężko.

Niezły pomysł z tą Szwecją, może niepotrzebnie trzymam się kurczowo Kopenhagi. Cóż z tego, że mam tu mieszkanie, że jest tu Christian. Dobry pomysł, który chodził mi już dawno po głowie, wart więc uczczenia. Litrowa flasza porzeczkowego wina — najtańsze na tutejszym rynku — wędruje z rąk do rąk. Siedzimy pod mostem tuż nad brzegiem portowego kanału. Tu sucho, bo dziś pogoda wyjątkowo wredna — zimno, mży. Wino rozgrzewa, nawet zdaje się wypełniać jakimś ciepłem widok ponurych baraków, stosów pordzewiałego żelastwa, zaśmieconych ramp i podjazdów.

— **Każdy z naszych, co tu przyjechał, ma węża w kieszeni** — skarży się jeden z moich znajomych, główny fundator napiwku. — **Przyrzekli sobie, że żaden nie wyjedzie bez odłożonej sumki na „Fiata". Przez pół roku to bardzo trudne.** Przy okazji opowiadają mi anegdotę o budce telefonicznej.

Była w Kopenhadze budka telefoniczna, z której dzięki jakiejś dziwnej awarii dawało się dzwonić po wrzuceniu dowolnej monety pod każdy numer. Nawet do Hondurasu, jeśli tylko ten ma automatyczne połączenie. No a przecież każdy w Polsce zostawił rodzinę, znajomych. Pół roku za granicą to szmat czasu, a telefon drogi. Więc przekazywali sobie w zaufaniu informacje o cudownym telefonie. I nagle pomysł — czemu za darmo — dasz 200 koron to powiem, gdzie budka. Klient dał, ale właśnie wtedy poczta naprawiła usterkę, więc spór czy słusznie zapłacił. Skończyło się kompromisem sprzedawca oddał 100 koron, resztę zostawił argumentując, że handlował nie rzeczą tylko informacją, więc ryzyko nabywcy było większe.

Słucham i mija mnie rozbawienie, a ogarnia złość i smutek. Może to zresztą z wina cierpko-słodkiego, ciężkiego. Pytam jednego z moich kompanów: — A ty masz odłożone na „Fiata"? — **Nie** — żywo zaprzecza — **nie kupię samochodu, lepiej okazyjnie nabyć tu traktor. Cło śmiesznie małe.** — No tak, masz gospodarstwo, przyda się — usiłuję być domyślny. — **Coś ty** — zaprzecza — **a skąd bym wziął części zamienne. Natychmiast z zyskiem opyle w kraju i dopiero kupię samochód. Taniej mnie to wyniesie...**

Dzień dwudziesty siódmy

Żegnaj Danio! Będę cię długo pamiętał, nie w twej czystości, bogactwie, blichtrze, nie w ruchliwości twych miast i monotonii równinnych pól, lecz w sumie moich doświadczeń, które na przemian pobrzękują ostatnimi koronami w kieszeni i dźwięczą w uszach dziesiątkami tych samych pytań — jest praca? i odpowiedzi — **nie, u nas nie ma.**

TOMASZ JAWORSKI

ARCHITEKTURA

PAŁAC W KTÓRYM JEST MUZEUM

Pałac byłego przemysłowca I. K. Poznańskiego u zbiegu ulic Gdańskiej i Więckowskiego określany już przez współczesnych jako „dom mieszkalny" jest istotnie — obok całkowicie odeń różnych kamienic czynszowych przy ulicy Piotrkowskiej — najwybitniejszym dziełem neorenesansowej architektury pałacowej w Łodzi. Sylwetka gmachu dominuje w pierzei ulicy przeistaczając się w margines zespołu miejskiego Pałacyk ten był siedzibą kapitalisty, właściciela przedsiębiorstwa, i jest przykładem nowego typu kamienicy — willi.

Budowa pałacu, zaczęta prawdopodobnie około 1895 roku, została ukończona w początkach XX wieku według projektu Adolfa Zeligsona (1866—1919). W tych latach dekorowano wnętrza malowidłami i sztukateriami, sprowadzano ceramiczne piece i witraże, a także jedwabne obicia do buduarów. Pałac zwraca uwagę czystą i piękną, w duchu renesansowym utrzymaną architekturą, jak też swym miejscem położenia. Nie jest to sprawa przypadku, lecz wynik świadomego wyboru miejsca na budowę. Postawiono go w tyglu miejskim, dla zaspokojenia próżności właściciela i silniejszej niż wszystko żądzy wywyższenia się ponad ludzi.

Obecnie pałac pozbawiony jest całkowicie dawnego wyposażenia: brak mebli, obrazów, zegarów, rzeźb, ceramiki i in. Budynek pałacu od stycznia 1946 roku jest użytkowany jako Muzeum Sztuki i znajduje się w dobrym stanie. Projekty jego przebudowy sporządzili w latach 1946—1948 konserwator Jan Marksen i dyrektor Miejskiego Muzeum Sztuki dr Marian Minich. W czasie gruntownego remontu wnętrz i przystosowania ich do potrzeb naukowych, ekspozycyjnych i administracyjnych, odnowiono i uzupełniono sztukaterię klatki schodowej wraz z pięknym witrażem, a także przebudowano jadalną salę na piętrze, według projektu Władysława Strzemińskiego, na wystawową — neoplastyczną z jej specyficznymi podziałami, gdzie zostały umieszczone rzeźby przestrzenne Katarzyny Kobro i obrazy neoplastyczne.

13 czerwca 1948 roku dokonano otwarcia muzeum. Ekspozycja posiadała szeroką rozpiętość w czasie i stylach, obejmowała działy gotyku i sztuki obcej XVI, XVII, XVIII, XIX i XX wieku. Od 1 stycznia 1950 roku Miejskie Muzeum podlegało bezpośrednio Ministerstwu Kultury i Sztuki i przyjęło nazwę Muzeum Sztuki.

Korzystne warunki, jakie stwarzała dla kultury Polska Ludowa pozwoliły dyrekcji muzeum zorganizować interesującą, oryginalną galerię sztuki. Zagospodarowanie terenu pałacu dawnego przemysłowca wydaje się godnym uwagi tematem, gdyż stanowi ilustrację dla wielu wciąż w Łodzi aktualnych aspektów działalności konserwatorskiej. Jest między innymi ważnym elementem realizowanego programu ochrony spuścizny architektonicznej XIX wieku. Stanowi przykład pierwszego w Łodzi eksperymentalnego połączenia adaptacji wnętrz pałacu przy zastosowaniu współczesnych form architektonicznych. Dzięki specyficznemu charakterowi muzeum, pałac i galeria plastyki nowoczesnej ściąga młodzież, tłumy turystów i spacerowiczów, stwarzając możliwość takiego wykorzystywania pomieszczeń, że dzieje się to bez uszczerbku dla wartości historycznej i architektury tego zabytku.

ANTONI SZRAM

LOTNICTWO

WIESŁAW MACHEJKO

NIE SPÓŹNIĆ SIĘ ANI RAZU

W piątek, 11 marca korespondent PAP podał ze Sztokholmu, że zachodnioniemiecki samolot szpiegowski „Breguet 1180 Atlantic" z 16-osobową załogą naruszył przestrzeń powietrzną Szwecji w rejonie Bałtyku. Szwedzkie samoloty wojskowe, które ruszyły w pościg, zmusiły go do wylądowania na lotnisku w Kalmarze.

„Nie pierwszy raz się zdarza — kończył korespondent PAP — że zachodnioniemieckie lub amerykańskie samoloty wojskowe naruszają przestrzeń powietrzną Szwecji, odbywając loty patrolowe wzdłuż wybrzeży Bałtyku. Jest publiczną tajemnicą, że działalność ta jest wymierzona głównie w kraje socjalistyczne".

— ...A to, co się dzieje na brzegach Szwecji, czy Finlandii, obserwują sobie przy okazji — dokańcza myśl korespondenta jeden z pilotów I Pułku Lotnictwa Myśliwskiego Wojsk Obrony Powietrznej Kraju „Warszawa".

Na terenie Pułku dziennikarze spotkali się z oficerami z dowództwa WOPK.

Siedzimy w małej salce odpraw załóg dyżurnych. Raz po raz odzywa się chrapliwy głośnik intercomu sprawdzający gotowość załóg dyżurnych myśliwców. Nie przeszkadza to jednak w naszej rozmowie o tym, jak strzeżone jest polskie niebo, niebo, które dziś nie jest puste.

— Mówią, że „saper myli się tylko raz". Przekładając to na nasz język, język myśliwców przechwytujących można by powiedzieć, że pilot, ściślej cały zespół z nim pracujący, a więc radary, artyleria przeciwlotnicza, rakietowa, wreszcie on znajdujący się najbliżej wskazanego celu — on „OPEKOWIEC", „spóźnia się tylko raz" — mówi generał Jan Cieślik. — **Przy współczesnych szybkościach przedarcia się wrogiego samolotu, choćby tylko jednego, nad teren wroga, może spowodować ogromne straty. Dowiodła tego wojna w Wietnamie. Siła rażenia współczesnych bomb i rakiet, a także innych środków, nie mówiąc już o broni atomowej, nie wymaga już jak w ostatniej wojnie flotylli bombowców, czy całych wypraw, nalotów dywanowych. Tym większe obowiązki spoczywają na naszych pilotach pełniących dyżury i patrole całą dobę.**

Nazywają nas „wojskiem błyskawicznym" — dorzuca dowódca pułku — bowiem błyskawiczny jest czas naszej gotowości bojowej. W razie potrzeby bowiem bezzwłocznie znajdujemy się w powietrzu. Szybko następuje rozpoznanie celu, odpędzenie przeciwnika, lub...

To „lub" zdarzało się jednak dotąd tylko na ćwiczeniach, gdzie nasi piloci zestrzeliwali ruchome cele powietrzne, pędzące z ogromną szybkością, rakietami ćwiczebnymi, a więc takimi, które nie wybuchają, niejako skorupami rakiet bojowych. Piloci śmieją się, że to mniej więcej tak jakby z pistoletu strzelać do biegnącego o kilkaset metrów zająca!

— Mówią o nas, że jesteśmy wojskami najcenniejszymi — mówi któryś z pilotów dowódców. — **Fakt. Technika lotnicza jak żadna inna idzie naprzód. Kiedyś mówiono, że jeden kilogram konstrukcji samolotu wojskowego wart jest tyle, ile kilogram srebra. Gdy przyszły odrzutowce, był to już kilogram złota. Przy ponaddźwiękowcach mówi się o kilogramie diamentów. Ale to chyba przesada! Zgódźmy się na platynę!**

A więc pada pytanie; czy warto? Oczywiście pytanie retoryczne. Nie ma rodzaju broni tak uniwersalnego i tak znaczącego w czasie pokoju jak i wojny jak lotnictwo. Zawsze był i pozostaną ASAMI swoich armii: począwszy od tego, że to „chłopcy dobierani" pod dziesiątkami względów spośród tysięcy kandydatów do oficerskich szkół lotniczych, a skończywszy na wartości ich wysiłku oddawanego krajowi.

Oddając w ręce człowieka najnowocześniejszy sprzęt jak nigdzie indziej, dba się tu właśnie o człowieka. Nim pilot wojskowy osiągnie któryś z trzech klas pilotażu, mija 5 lat nauki i służby. Raz do roku przechodzą badania gruntowne, co miesiąc ogólne, przed każdym lotem badanie ciśnienia, tętna i temperatury. Przy złym samopoczuciu pilot ma prawo prosić o zwolnienie go z lotu i nikt nie ma o to pretensji. Ma nawet prawo bać się!

W czasie spotkania częstują nas znakomitą wojskową grochówką. Na nasze zdziwione spojrzenia piloci odpowiadają natychmiast, że grochówka ta jest „tradycyjna", zaś ich dieta, menu pilotów wysokościowych jest zupełnie inne, skromniejsze objętościowo, łatwiej strawne. Oczywiście o kropli alkoholu nie ma mowy! Trzeba być stale w pełnej kondycji. A jeśli się z niej wypadnie, bo choroby chodzą po ludziach, powrót do normalnych lotów wymaga nieraz sporego czasu ponownych treningów z instruktorami. W ponaddźwiękowym odrzutowcu nie wolno o niczym zapomnieć! A że było o czym, przekonuję się osobiście wsiadając do kabiny bojowego MIGA-21.

— Niech pan tylko nie dotyka niczego pomalowanego na czerwono! — proszą technicy. — **Szczególnie tych dwóch dźwigni przy fotelu! Bo to katapulta i wyleci pan w powietrze!**

Dziesiątki wskaźników, przycisków, przełączników, ekranów wielkich i małych świecących na różne kolory i ciaśniej jak w małym „fiacie". Jak się tym wszystkim posługiwać samemu, mając jeszcze obfity serwis rozkazów i informacji z ziemi jeden tylko pilot wie! I wtedy zastanawiam się, co też mogłoby być równoważnikiem pilota odrzutowego? Złoto? A pilota pojazdu kosmicznego? W czasie pobytu w pułku spotykamy się i z takim, co startował w konkursie na polskie miejsce w radzieckim locie kosmicznym. Eliminacje były bardzo surowe, skoro ten znakomity lotnik „nie przeszedł". Opowiadał o tym spokojnie, bo tu rzeczywiście zwyciężyć musiał najlepszy z najlepszych.

Za to świadomość posiadania wśród naszych pilotów Obrony Powietrznej Kraju takich właśnie asów pozwala nam spać spokojnie, gdy... ONI nie śpią.

Wiadomość PAP, od której rozpocząłem, a która tak zbulwersowała opinię publiczną Europy musiała znaleźć odbicie i w naszych pułkowych rozmowach.

Nie jest to dla nas nowość — mówi dowódca Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. — Spotykamy się z „Atlanticami" codziennie. Znamy ich dokładną trasę przelotów i godziny. Nasze myśliwce latają z nimi niemal skrzydło w skrzydło. Cel ich lotów jest jasny... Ale działanie naszego lotnictwa skutecznie odstrasza zapędy i niepowołaną ciekawość obcych wywiadów. Jesteśmy na straży naszego spokoju — pilnujemy, bo — jak to się mówi — OPEKOWIEC spóźnia się tylko jeden raz.

OLIMPIADA

23 października 1974 roku na sesji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, obradującej w Wiedniu w zabytkowym budynku ratusza miejskiego, postanowiono przyznać Moskwie prawo do zorganizowania Igrzysk XXII Olimpiady. Wieść o tej decyzji MKOl błyskawicznie obiegła świat. O przygotowaniach do Olimpiady w stolicy Związku Radzieckiego informuje Wasilij Żylcow w interesującym artykule zamieszczonym w tygodniku „Ogoniok".

Już sześć razy — w Helsinkach i Melbourne, Rzymie i Tokio, Mexico i Monachium występowali na letnich Olimpiadach radzieccy sportowcy i za każdym razem odnosili coraz większe sukcesy. I tak oto w Montrealu wysłannicy ZSRR przyjechali w charakterze gospodarzy przyszłych Igrzysk. „Żegnaj Montrealu! Do zobaczenia w Moskwie!" — takie słowa zapłonęły na ogromnej tablicy stadionu olimpijskiego w dniu zamknięcia Olimpiady w Montrealu 1 sierpnia 1976 roku. Wśród widzów i sportowców witających to wezwanie burzliwą owacją znajdowało się 70 ludzi nieprawdopodobnie zmęczonych i zaabsorbowanych pracą, dla których ta uroczysta ceremonia miała swój szczególny sens. Byli to przedstawiciele Komitetu Organizacyjnego „Olimpiada 80", specjaliści z zakresu sportu, techniki, budownictwa, zakładów usługowych, sztuki i wielu innych dziedzin gospodarki i kultury. Samych Igrzysk prawie nie widzieli. Interesowało ich zupełnie coś innego: działanie systemów elektronicznych i organizacja wyżywienia, technika przekazywania informacji i współdziałanie aparatury sędziowskiej, zasady organizacji ruchu drogowego i liczby telefonów w centrum prasowym — słowem cała zakulisowa działalność Olimpiady niewidoczna dla widzów.

Działalność Komitetu Organizacyjnego „Olimpiada 80", którą kieruje zastępca przewodniczącego Rady Ministów ZSRR, Ignatij Trofimowicz Nowikow, liczy sobie już ponad rok i w tym czasie pracownicy Komitetu Organizacyjnego zrobili niemało, żeby godnie przyjąć 12.000 sportowców i 7.000 dziennikarzy, którzy za cztery lata zjadą do Moskwy.

Komitet Organizacyjny ustalił już i zatwierdził terminy Igrzysk Olimpijskich w Moskwie: od 19 lipca do 3 sierpnia 1980 roku. Żeby się zmieścić w tym czasie trzeba było przeprowadzić skomplikowane badania, w których brali udział najwybitniejsi specjaliści z dziedziny klimatologii i meteorologii. A na niedawnej sesji Komitetu Wykonawczego MKOl w Barcelonie rozpatrywano rozkład konkurencji sportowych według dni. Jak utrzymują znawcy, nigdy jeszcze podobny rozkład nie został opracowany na tyle czasu przed rozpoczęciem Olimpiady. Żeby go „ubić", trzeba było m.in., przeprowadzić rozmowy z 21 międzynarodowymi federacjami sportowymi, a każda z nich miała oczywiście swoje wymagania i życzenia.

Wiele problemów do rozwiązania mają pracownicy Głównego Urzędu Budowlanego. Sam Komitet Organizacyjny oczywiście niczego nie buduje — robią to przedsiębiorstwa budowlane Moskwy, Tallina, Leningradu, Kijowa, Mińska. Trzeba, bądź co bądź, zrekonstruować i wybudować ponad 20 obiektów sportowych, a każdy obiekt olimpijski powinien być gotów w oznaczonym terminie i odpowiadać wymogom olimpijskich normatywów. Potrzebna tu jest ścisła kontrola i bardzo sprawna koordynacja wysiłków wszystkich przedsiębiorstw budowlanych.

Moskwa nie rozpoczyna od zera. Już teraz, cztery lata przed otwarciem Igrzysk, stolica radziecka dysponuje dużą ilością doskonałych obiektów sportowych. O ile w Monachium i Montrealu stadiony olimpijskie budowano specjalnie, a ich wyposażenie wymagało ogromnych środków i wielkiego wysiłku, o tyle Moskwa ma już wielki stadion na 103 tysiące miejsc i w planach przewiduje się tylko czas i środki na jego rekonstrukcję. Chodzi przede wszystkim o zbudowanie dachu nad trybunami.

Kompleks sportowy na Łużnikach będzie jednym z głównych ośrodków Igrzysk Olimpijskich w Moskwie. Na wielkim stadionie odbędą się uroczystości otwarcia i zamknięcia Olimpiady, zawody lekkoatletyczne, w Pałacu Sportowym odbędą się konkurencje gimnastyczne i dżudo. Mały stadion, który mieści 10 tysięcy widzów i będzie pod dachem, przeznacza się dla siatkarzy; w rejonie miasteczka tenisowego rozpoczęto budowę uniwersalnej krytej sali na 4 tysiące miejsc. Odkryty basen pływacki będzie areną walk waterpolistów, a dla pływaków i skoczków do wody wybuduje się przy Prospekcie Pokoju kryty basen z trybunami dla 10 tysięcy widzów.

Drugim wielkim ośrodkiem olimpijskim będzie Kryłatskoje, gdzie znajduje się jeden z najlepszych w świecie torów wioślarskich, w pełni odpowiadający olimpijskim standardom. Tutaj właśnie zostanie wybudowany kryty welodrom dla kolarzy-torowców, natomiast szosowcy otrzymają trasę położoną na uboczu, z dala od zagęszczonych strumieni samochodów. W tym też rejonie urządzi się strzelnice dla łuczników.

Jednym z najbardziej interesujących i skomplikowanych obiektów będzie nowy kompleks zaplanowany w samym centrum Moskwy, niedaleko Prospektu Pokoju. Starsi wiekiem miłośnicy sportu doskonale znają znajdujący się tutaj, w Zaułku Samarskim, stadion „Burewiestnik". Na miejscu tego stadionu i kompleksów starych, głównie drewnianych domków, wyrośnie ogromna kryta hala z trybunami dla 45 tysięcy widzów. Dźwiękochłonna zasłona rozdzieli ją na dwie części: w jednej będą walczyć bokserzy, w drugiej — koszykarze. Już teraz rozkręciła się budowa obiektu przy Prospekcie Leningradzkim, przeznaczonego dla zapaśników, hali dla zawodników ciężkiej atletyki w Izmajłowie, stadionu hippicznego w Parku Bitcewskim.

Wyznaczono ostatecznie miejsce na wioskę olimpijską. Na południowy zachód od Moskwy, w rejonie Prospektu Miczurina, na powierzchni 107 hektarów wyrośnie kompleks mieszkalny, składający się z 18 gmachów 16-piętrowych; pokoje maksimum 2-osobowe. Nie będzie tłoczno także w stołówkach i w halach treningowych, jak również Ośrodku Kultury. A po zakończeniu Igrzysk Olimpijskich wioska olimpijska przekształci się w nowy rejon mieszkalny stolicy.

A gdzie będą mieszkać liczni goście Olimpiady? Dla nich buduje się kompleks hotelowy na 10 tysięcy miejsc w Izmajłowie, Dom Turystów przy Prospekcie Lenina, hotele „Inturistu". Korzystając w dodatku z już istniejących hoteli i burs, Moskwa będzie mogła przyjąć 300 tysięcy turystów zagranicznych i tyluż krajowych.

Oszczędność i racjonalność są jednym z głównych elementów „Olimpiady 80". Ani jeden obiekt nie powinien się stać martwym pomnikiem Igrzysk Olimpijskich — takie przede wszystkim wymagania postawiono organizatorom.

„Elektroniczna" prasa otrzyma tzw. OTRK — Olimpijski Zespół Teleradiowy w Ostankinie, wraz z obecnym ośrodkiem telewizyjnym. Stąd będzie się przekazywać dwadzieścia kolorowych programów telewizyjnych z Olimpiady i sto programów radiowych. Zdaniem specjalistów Technicznego Zarządu Komitetu Organizacyjnego, zajętych opracowywaniem wszystkich systemów łączności, warunki pracy stworzone dla dziennikarzy telewizyjnych i radiowych będą o wiele bardziej komfortowe niż w Monachium i Montrealu, a wszystkie systemy elektroniczne i środki łączności bardziej doskonałe.

Prasa „pisząca" zostanie zlokalizowana przy Bulwarze Zubowskim, dosłownie dziesięć minut jazdy od Łużnik. Tutaj przewidziano wszystko, żeby dziennikarze mieli jak najlepsze warunki pracy.

Jednym z podstawowych systemów technicznych będzie zautomatyzowany system informacyjny, albo krótko — „ASU Olimpiada". System ten, którego podstawę stanowi kilka dużych maszyn cyfrowych, zabezpieczy organizatorom, uczestnikom i prasie informacje ze wszystkich dziedzin związanych z Olimpiadą, poczynając od biografii uczestników Olimpiady oraz najlepszych wyników każdego sportowca, a kończąc na bieżących informacjach ze wszystkich miejsc odbywających się konkurencji.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Opracowano szeroki ekonomiczny program „Olimpiady 80". Jego pierwszą jaskółką jest loteria „Sprint", której losy sprzedaje się już w Moskwie. Niebawem przyjdzie kolej na Tallin, Kijów i inne miasta olimpijskie, a później geografia „Sprinta" znacznie się rozszerzy. Istnieje dużo ciekawych projektów ekonomicznych, które są na razie trzymane w tajemnicy.

Poszły w świat pierwsze numery periodycznych wydań Komitetu Organizacyjnego: miesięcznika „Olimpiada 80" i kwartalnika „Panorama olimpijska". Ich nakład jest na razie bardzo skromny ale zainteresowanie moskiewskimi Igrzyskami tak wielkie, że kierownictwo propagandy jest dosłownie zawalone mnóstwem listów i telegramów z prośbą o przesłanie wydawnictw olimpijskich.

W Barcelonie, na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego wysłuchano kolejnego, trzeciego już w tym roku sprawozdania Komitetu Organizacyjnego „Olimpiada 80". Delegacja, na czele z I. T. Nowikowem, szczegółowo przedstawiła członkom Komitetu Wykonawczego MKOl swoje stanowisko we wszystkich interesujących ich sprawach, udzieliła wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania. Następnie przewodniczący MKOl udał się do Moskwy, gdzie mógł obejrzeć na własne oczy budowlane zarysy „Olimpiady 80".

Czas leci bardzo szybko. Do generalnego egzaminu Olimpiady, który odbędzie się podczas VII Spartakiady Narodów ZSRR w 1979 roku (na Spartakiadę zaprosi się około 2 tysięcy zagranicznych sportowców) pozostało niecałe trzy lata. Drogi jest każdy dzień. Organizatorzy „Olimpiady 80" coraz wyraźniej odczuwają istotną pomoc społeczeństwa".

(Tłum.: STOK.)

Foto: W. Parys

TAJEMNICE HALI TARGOWEJ

Autorka poniższego tekstu jest jedną z handlarek, które sprzedają różne towary w Hali Targowej na pl. Niepodległości. Tekst w formie reportażu sama przygotowała w oparciu o własne doświadczenia i obserwacje. Poczyniłem tylko w nim pewne skróty. Reportaż ten pokazuje nieznany, a egzotyczny świat Hali Targowej.

KONRAD TUROWSKI

I.

— **Nie ma handlu** — wzdycha Mietek i po raz dziesiąty przekłada zegarki z miejsca na miejsce. Za to „aniołki" idą...

Barbara wypatrzyła wśród tłumu milicyjne mundury. Zegarki więc znikają ze stołu. Mietek czyta gazetę. W porządku. Przeszli nie zwracając uwagi. Na opróżnione miejsce ładuje się baba z czapkami.

— Gdzie? — pytam elegancko. — Zgłupiała pani? Przecież zajęte. Schowaliśmy towar bo gliniarze szli.

Odchodzi rzucając mi kose spojrzenie.

— **Ile ta cebula?** — pyta klient.

— **Cebula na straganie, a to jest zegarek** — replikuje Klara.

— **No już dobra, to ile ten zegarek?**

— **Pięćset dwadzieścia...**

Klient rysuje kółko na czole.

— **Idź pan swoją drogą** — wtrąca się Mietek.

— **W Niemczech kosztuje trzydzieści marek** — zauważa inteligentnie klient.

— To niech pan sobie kupi w Niemczech — mówimy zgodnym chórem i przestajemy się nim zajmować.

— **Robimy po dwadzieścia pięć?** — rzuca Mietek.

Propozycja zostaje przyjęta z entuzjazmem. Na czwartego dokooptowujemy Grubego Staśka. Gramy w marynarza i wydelegowana w ten sposób Klara leci po pół litra. Niedaleko. Do salonu zamiataczki. Po drodze kupuje kaszankę na zakąskę. Pijemy wypożyczonym od Misi kieliszkiem. Misia oficjalnie sprzedaje przepiękne, ozdobione słoniami i palmami ramki do fotografii. Nieoficjalnie zaś kieliszki, których w sklepie brakuje. Codziennie ma świeżą dostawę. Prosto z Piotrkowa.

Handlu nadal nie ma. Ludzie włóczą się po hali tam i z powrotem, oglądają, ale nie kupują. Jeszcze raz robimy po dwadzieścia pięć. Szumi mi w głowie, świat pięknieje. Z zapałem odganiam kolejnego klienta, porównującego ceny nasze i enerdowskie.

— **Oj, ludzie, ludzie** — monologuje Mietek. — **Chciałoby się komu tak męczyć. Dwie noce bez spania, cały dzień latać, w dodatku nic dostać nie można. Najlepiej jechać w czwartek na noc, w piątek porobić zakupy i wieczorem wracać. Łatwiej przewieźć. Ale ten facet, co wymyślił buksiaki** — powiada nieoczekiwanie Mietek — **to miał łeb...**

— **Jakie buksiaki?** — pyta Klara.

— Te — Mietek wskazuje leżący na stole duży kolorowy zegarek z białym plastykowym paskiem.

— **Zegarek wymyślił?** — dziwi się Klara.

— **Właściwie tak. Przyjrzyj się. To jest kieszonkowy zegarek. Z boku ma wywiercone dziurki i założone druciki na pasek. Na oryginalną tarczę ma nałożoną drugą, kolorową, wskazówki zaklejone są papierem do wycinanek. Bez tego cały koszt nie przekracza stu czterdziestu złotych. Dwadzieścia złotych tarcza, piętnaście zegarek. Tarcze drukowali cichcem w jakiejś drukarni, czasem wycinało się z opakowania japońskich zapałek. Cała przeróbka trwała piętnaście minut. Jak robił fachowiec nawet można było taki zegarek trochę ponosić. Zresztą ludzie nie patrzyli na trwałość, kupowali bo modne. Setkami szły.**

— **Ale to się przecież musiało psuć.**

— **Psuło się. Ludzie przychodzili z reklamacjami, bo zegarmistrze nie chcieli naprawiać. Jak trafili na porządnego handlarza to wymienił, a jak nie — to tracili forsę. Pułkownik** — na przykład — **nigdy nie wymieniał.**

— **I nie bał się?**

— **Nie miał zezwolenia na handel. Żaden cech czy związek kupców nie miał na niego wpływu. Jak się klient uparł mógł skierować sprawę do sądu, ale komu się chciało za te parę groszy.**

— **A milicja?**

— **Co milicja ma do tego? Ja już sześć lat handluję. Kiedyś dobra wróżka dała mi kilka rzeczy nadających się do sprzedaży i powiedziała: — idź i sprzedaj, będziesz miał trochę forsy... Możliwość zarobku okazała się silniejsza niż strach i wstyd. Zorientowałem się, że sposób w jaki zdobywam pieniądze nikomu nie przeszkadza. Uspokoiło to moje sumienie tak dalece, że zacząłem pogardzać tymi, którzy pieniędzy nie mieli. Zaprzyjaźniłem się ze współtowarzyszami handlowej niedoli. Zostałem wtajemniczony w rynkowe zwyczaje. Nauczyłem się unikać spotkania z milicjantem. Poznałem życie moich towarzyszy.**

Handluje tu na przykład stara kobieta z trójką dzieci, których matka poszła w siną dal, zostawiając je nie tyle na łasce losu, co babki; dorabia sobie szyjąc i sprzedając fartuszki. Czterdziestolatek z drugą grupą inwalidzką mający na utrzymaniu żonę i siedmioro dzieci. Osiemdziesięcioletnia staruszka, która przepisała na dzieci gospodarstwo i pozostała bez środków do życia. W dzień handluje, noce spędza na dworcu. Ma w Łodzi córkę.

W nocy szyją, plotą siatki, doprowadzają do porządku stare ciuchy, a w dzień stoją od siódmej rano do siódmej wieczorem, bez względu na pogodę. Zarabiają sto, dwieście złotych, drżą ze strachu na widok milicyjnego munduru. Bardzo często nie mają innej możliwości zdobycia pieniędzy, a mandat to strata całodziennego zarobku.

II.

Hala. Rząd stołów chwiejących się pod naporem kłębiącego się po obu stronach tłumu. Umowny podział na część sprzedażną i zaplecze, na które składa się połamane krzesło z przywiązaną do niego torbą służącą za podręczny magazyn. Z rzadka bywa naruszany przez niesfornych klientów.

— Z tej strony się nie sprzedaje — mówię na przykład do kobiety sięgającej mi przez ramię po różowy sweterek.

Dziwi się: — Mam dookoła obchodzić? Ja przecież chcę kupić.

— Ale ja nie chcę sprzedać — odpowiadam bezczelnie.

Słuchając Mietka przypominam sobie, jak to ja zaczynałam handlować.

Byłam teraz na powierzchni. Z pogardą przyglądałam się ludziom spoza klanu. Tępakom nie umiejącym zakombinować, ciułającym przez pół roku na angielską koszulę, targującym się o dwadzieścia złotych. Nonszalancko wpychałam do kieszeni setki, które jeszcze przed chwilą tak pieczołowicie hołubili za pazuchą. Oni, klienci, byli złem koniecznym. Machiną do dostarczania pieniędzy. Wspaniałe poczucie wspólnoty. Jak ja lubiłam atmosferę hali. Zgiełk, kłótnie. Lubiłam przychodzić o piątej rano, kiedy hala była jeszcze pusta. Rzeźnicy wieszali na hakach tusze świń i obdarte ze skóry cielaki. Potem składali się na pół litra, które wypijali z namaszczeniem pod kawałek surowego mięsa. Wtedy omawiało się ostatnie wydarzenia. Wszyscy wszystko tu wiedzą o wszystkich.

Aż nastąpił krach. Ktoś sobie przypomniał, że handlujemy nielegalnie, że nie płacimy podatków i sterczymy w hali zupełnie bezprawnie. Posypały się kolegia, konfiskowano towar, wymierzano grzywny i podatki. Wzięła w łeb solidarność. Każdy był gotów zdradzić. Wszyscy byli podejrzani. Ten rozmawiał z milicjantem, ten szedł w stronę komendy, tamten ma wujka w ministerstwie. Zaczęło się poszukiwanie kryjówek w pobliżu hali. Byleby mieć przy sobie jak najmniej towaru. Sklep z zaprzyjaźnionym personelem, smażalnia ryb, szalet na placu, kotłownia, pakamera sprzątaczki, wszystko było dobre.

Przestawała mi się ta zabawa podobać. Okazało się, że zarabianie pieniędzy nie zawsze bywa przyjemne. Handluję jednak dalej, zazdroszcząc tym, którzy urzędują na hali całymi rodzinami. Zawsze to bezpieczniej, jedno drugie ubezpiecza.

— **Która godzina?** — wyrywa mnie z zamyślenia Klara.

— Pierwsza.

— **Może się ruszy jak z pracy wyjdą?**

Monika przynosi mięso i wiadomość, że mikry facet w brązowej czapce, który stał przed nami usiłując sprzedać złoty łańcuszek, okazał się tajniakiem. Zwinął dwóch ze złotem. A ja chciałam go zapytać, czy nie chce mięsa. Ale bym wpadła — lamentuje.

Co ty robisz dziewczyno na hali. Szkoda cię — myślę. Nie wiem dlaczego zaczęła handlować, ale wiem, co z nią będzie za parę miesięcy. Ma słaby charakter, już teraz nie odmawia kieliszka. Potem zacznie kląć, płaszczyć się.

III.

Patrzę po stołach. R. wymyka się po następną porcję peruk. Robi to tak konspiracyjnie, że trudno nie zauważyć. R. handlują całą rodziną. W tej chwili głównie perukami i złotem, przedtem czym się dało. Zaczęli całkiem nieefektownie, bo od sprzedaży jajek. A kiedy otwarto granicę z NRD państwo R., których jedynym majątkiem było czworo dzieci, skwapliwie z tej szansy skorzystali. Marki wtedy wymieniano bez ograniczeń. Przewieźć przez granicę można było co dusza zapragnie. A kiedy to się skończyło przerzucili się na handel ciuchami. Pojęcie ciuchy obejmowało angielskie koszule i niekoniecznie angielskie, szalenie wówczas modne rozpinane bluzki z helanco w niezwykle zjadliwych kolorach. Niekoniecznie angielskie bo właśnie rozpoczęły produkcję takowych ciche warsztaty opierające się na surowcu kradzionym z państwowych fabryk. Bluzki rodzimej produkcji na oko niczym nie różniły się od oryginalnych, tyle że po pierwszym praniu zmieniały barwę z pięknego różu na białą w szare plamy.

Pan R. bardzo lubi żarty. Do jego ulubionych rozrywek należy straszenie staruszek przez wydawanie im nad uchem indiańskich okrzyków. Staruszek po hali chodzi sporo i nuda w najbliższym czasie panu R. nie grozi. Przestraszona staruszka jest nie tylko śmieszna ale i bezbronna. Pan R. ma wrodzony kult władzy i nigdy nie pozwoliłby sobie na taki żart wobec kogoś znaczącego. Pan R. cierpi również na zawodową chorobę handlarzy — dualizm etyczny. Jego głębokie poczucie sprawiedliwości skierowane tylko w jedną stronę. Kiedy po raz pierwszy groziło mu opodatkowanie zaczął szukać kogoś, kto mógłby mu pomóc. W pośpiechu dał łapówkę niewłaściwej osobie, skutkiem czego podatek zapłacił. Zdegustowany takim obrotem sprawy zawiadomił prokuratora, że osoba wzięła i nie załatwiła. Łapówkobiorca dostał pięć lat, łapówkodawca jak dotąd prosperuje całkiem dobrze acz niezupełnie legalnie.

Skromny wygląd pani R. trzymającej w ręce dwie, zdawałoby się ciągle te same peruczki, już niejednego zmylił. A tymczasem detal to tylko skromna część jej działalności. Peruki sprzedaje się w hurcie. W Związku Radzieckim idą jak woda. Biorą kolejarze, biorą jadący na wycieczkę rodacy, biorą odwiedzający nas Rosjanie. Prowincja też chce nosić loczki. Z Opoczna łatwiej dojechać do Łodzi niż do Szczecina. I wszyscy jak w dym do państwa R. Taką sobie markę wyrobili. Sześćdziesiąt peruk dziennie sprzedadzą jak nic. Sto pięćdziesiąt złotych zarobku na każdej. Stoją cały tydzień — od poniedziałku do soboty.

IV.

Przy następnym stole siedzą panie N. Spółka handlowa składająca się z matki — staruszki siedemdziesięcioletniej i córki — rencistki czterdziestoletniej. Obie są wdowami i wspólnie wychowują dwóch podrastających chłopców. Czołowe miejsce w ich życiu zajmuje jednak handel. Sprawiają takie nobliwe wrażenie, że długi czas dawałam się nabierać na łzawe opowiadania matki-staruszki o ciężkim życiu córki zmuszonej sobie dorabiać sprzedażą otrzymywanych od krewnych z zagranicy ciuchów. Potem okazało się, że ciuchy rzeczywiście są zagraniczne, tyle że trafiają do rąk biedaczek via Szczecin, albo przywożone są przez niezdolną do pracy córkę prosto z Węgier. Nobliwy wygląd pań N. skutecznie chroni je przed kontaktami z milicją. Kto ma serce ukarać biedną wdowę zarabiającą na chleb dla dzieci? Grubo musi być smarowany masłem ten chleb, skoro zarobki pań N. sięgają siedemdziesięciu tysięcy miesięcznie.

— **Pani, relanium dać?**

Przyszedł dziadek z lekarstwami. Oczywiście rencista. Podobno ma syna lekarza i ten przepisuje mu żądane leki. Zamówiłam kiedyś u dziadka psychedrynę. Przyniósł, policzył taniej niż w aptece. Następnie zjawia się palacz. Stoi przed stołem grzecznie chociaż uporczywie. Odchodzi, kiedy wsuwam mu do łapy dychę. Za nic. Po prostu taki haracz.

— **Dzień dobry pani, co słychać. Z handlem nie bardzo, co? Tylko F-scy sprzedają. Patrz pani, ceny sobie sukinsyn wypisał. Gdybym tylko chciał to za pół godziny by ich tu nie było. Ale człowiekowi nie chce się gównem rąk brudzić...** — mówiąc to Pułkownik potoczył dumnym wzrokiem po siedzących wokół handlarzach.

Przygarbiony, z wtuloną w ramiona siwą głową przypominał szykującego się do ataku byka. Wrażenie psuła tylko szmaciana, solidnie wypchana, zawiązana na supełek torba, którą dzierżył jak skarb najcenniejszy i z powodu której tracił swoją godność na widok pierwszego lepszego milicjanta. Nie wytrzymałam. Złamałam swój własny regulamin i powiedziałam:

— Chcieć, to pan bardzo chce, ale z możliwościami gorzej.

Pułkownik ładnych parę lat pracował na opinię człowieka, który na hali może wszystko. Plułam sobie więc w brodę. Stara idiotko, jak chcesz tu siedzieć i zarabiać grosiwo na swoje rzeczywiste i wydumane potrzeby, nie wychylaj się. Udawaj, że wierzysz w tę ich szlachetność, życzliwość, uczciwość i wszystkie inne zalety. Jesteś jedną z nich, wcale nie lepszą. Twoje wyobrażenia o życiu dawno się już przewartościowały więc o co chodzi, po co chcesz demaskować to, czym sama żyjesz.

Zaaferowana nie zauważyłam stojącego przed stołem milicjanta.

— **Zezwolenie ma?**

— Nie ma.

— **To co tu robi?**

— Stoi.

— **Tablicę widzi?**

— Widzi.

— **Czytać umie?**

— Umie.

— **To niech przeczyta.**

— Okularów zapomniała.

— **Dowód!!!**

Podałam dowód i od razu zaczęłam pakować swetry. Treść tablicy znałam na pamięć. W Hali Targowej zabrania się pod karą... handlu artykułami przemysłowymi. Tablica plus brak zezwolenia plus pyskowanie równa się kolegium. Normalka. Milicjant w stopniu sierżanta porównał zdjęcie w dowodzie z oryginałem i patrząc na mnie z lekkim obrzydzeniem zakomenderował: — **Pani pójdzie ze mną.** O towarze na szczęście zapomniał. W ponurym milczeniu doszliśmy do komendy. Tu sierżant bardzo dokładnie przepisał mój dowód osobisty na płachcie kancelaryjnego papieru w kratkę. Potem zadał mi kilka pytań, na które odpowiedziałam grzecznie i zgodnie z prawdą.

Około godziny jedenastej — następnego dnia — spora grupa pasożytów wyruszyła pod opieką milicjanta w stronę siedziby kolegium. Wprowadzono nas na salę i z ulgą zauważyłam, że nie ma w składzie kolegium ani jednego emeryta. Nic ma nic gorszego niż emerytowany tkacz na posadzie działacza. Jeżeli oskarżyciel będzie się domagał trzech tysięcy grzywny — emerytowany anioł wystąpi o cztery motywując: „bo za moich czasów...". Oskarżyciel publiczny doszedł do wniosku, że najłatwiej zresocjalizuję się myjąc tramwaje. Po przerwie przewodniczący składu wykazał w dosyć długiej mowie niewłaściwość mego dotychczasowego postępowania, kończąc informacją, że zostałam skazana na zapłacenie czterech i pół tysiąca złotych grzywny. Orzeczenie przyjęłam z radością.

V.

Kiedy następnego dnia pojawiłam się w hali przywitały mnie pełne współczucia twarze. Na niektórych oprócz współczucia widać było satysfakcję. Starannie udawałam, że tego nie zauważyłam. Składane mi kondolencje traktując poważnie i z wdzięcznością. Na stypę zakupiłam litr czystej i twarożek. Sama go rzecz jasna nie jadłam.

Zrodziło się podejrzenie, że młody i przystojny człowiek sprzedający węgierskie mydło znajduje się na hali służbowo. Podejrzenie opiera się na fakcie, że sprzedaje mydło za tanio. Pani R. kupiła już osiem kawałków i właśnie idzie po dziewiąty. Zapas okazuje się niewyczerpany. Podejrzenie upada. Aż na taką filantropię milicji wobec handlarzy nie stać. Po prostu facet nie zna cen.

— **Herbaty?** — Teresa wyjmuje z koszyka ćwierćlitrową butelkę — **Sześć złotych.**

— **Chcesz obiad? Wątróbka z ziemniaczkami. Trzydzieści złotych.**

— **Ptasie mleczko. Trzy za piątkę. No, komu?**

— **Pani, złotówkę na bułkę...**

— **Placowe proszę zapłacić. Od dzisiaj drożej. Sześćdziesiąt złotych za stół. Gdzie pani ucieka? Jak się chce handlować trzeba płacić...**

— **Robimy po dwadzieścia pięć?**

— **Nie ma handlu** — mówi Mietek.

I wszystko zaczyna się od początku...

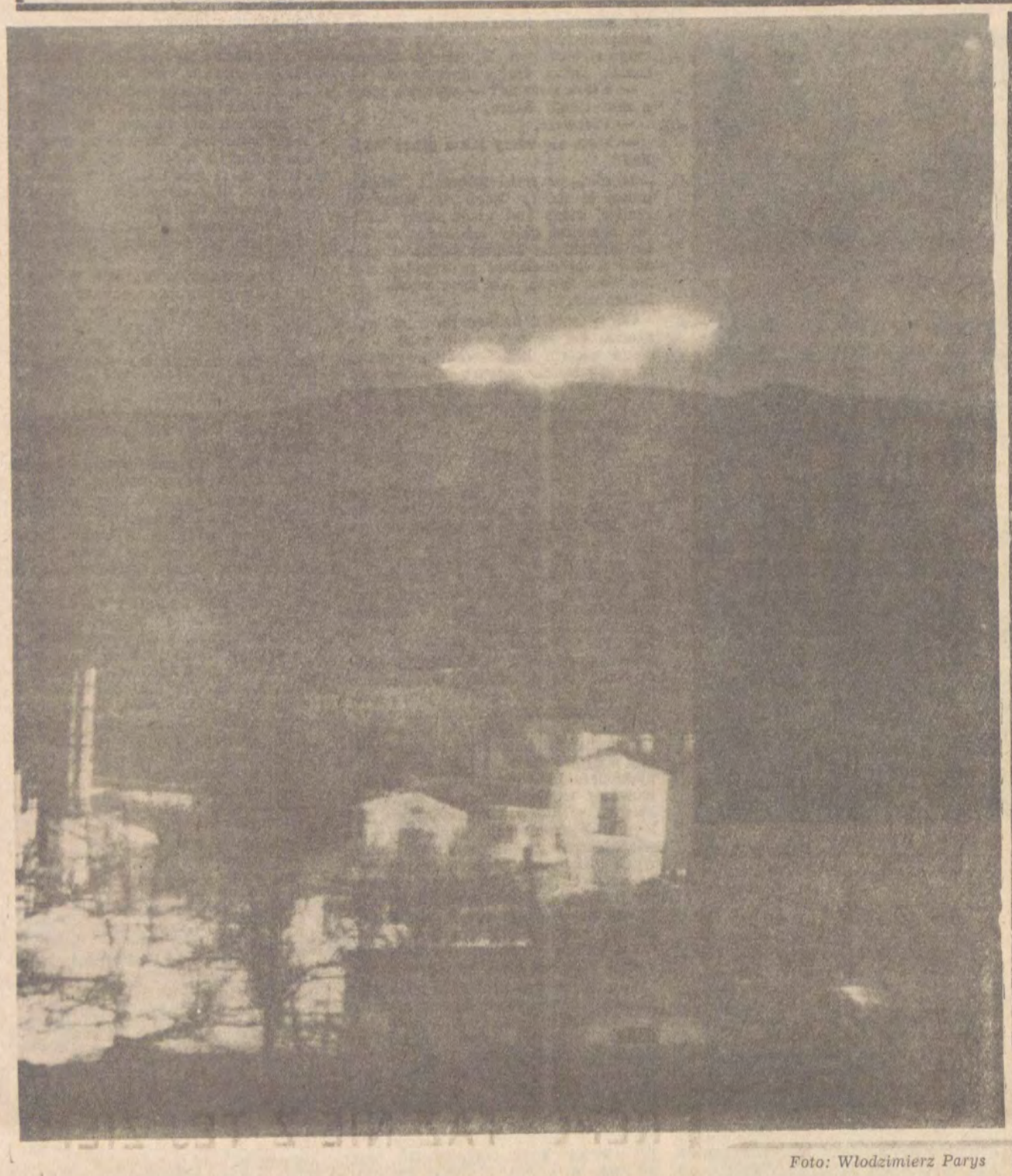

Foto: Włodzimierz Parys

TAJEMNICA Z DALABUSZEK

Pod koniec ubiegłego roku rozeszła się po świecie sensacyjna wiadomość: w Dalabuszkach koło Gostynia bawiący w gościnie u rodziny rzemieślnik z Poznania — Zbigniew Tuszewski znalazł tajemniczy przedmiot. Znalazca zawiadomił o tym Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tajemniczym znaleziskiem zainteresował się prof. dr Hieronim Hurnik. Ale tajemniczy przedmiot z Dalabuszek — jak wykazały wstępne badania — nie był ani meteorytem, ani nawet fragmentem meteorytu.

— SKORO USTALILIŚMY — oświadczył prof. dr Hieronim Hurnik reporterowi „Dziennika Popularnego" — ŻE ZNALEZISKO NIE JEST METEORYTEM, PRZESTAŁO ONO NAS INTERESOWAĆ.

Znaleziskiem zainteresowali się następnie archeolodzy. Jednakże również bez większego powodzenia. — NIESŁUSZNE OKAZAŁY SIĘ PRZYPUSZCZENIA — cytujemy za „Dziennikiem Popularnym" opinię mgr inż. Andrzeja Kanwiszera z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi — ŻE ZNALEZISKO W DALABUSZKACH MOŻE POCHODZIĆ Z DYMARKI.

Przedmiot znaleziony w Dalabuszkach ma kształt dysku o średnicy 50 cm i wadze około 30 kg. W czasie badań w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi stwierdzono, że zawarte są w nim między innymi takie pierwiastki jak: kobalt, wanad, ołów, miedź, niob, molibden, tul. Przedmiot oddano zatem do ekspertyzy w Instytucie Materiałoznawstwa i technologii Metali Politechniki Łódzkiej.

Na temat znaleziska z Dalabuszek wypowiedział się też wybitny polski specjalista od niezidentyfikowanych obiektów latających, członek British UFO Research Assotiation — mgr Zbigniew Blania, który dał do zrozumienia, że na świecie zdarzyło się już spotkać różne dziwne przedmioty, które były niczym innym, jak tylko pozostałością po niezidentyfikowanych obiektach latających. A więc nie można wykluczyć, że dziwny przedmiot znaleziony w Dalabuszkach też jest czymś podobnym. Wniosek stąd, że w Dalabuszkach — gdyby się okazało, że znaleziony tam przedmiot jest częścią NOL — lądował „latający talerz".

Wszystko to jednak tajemnicy z Dalabuszek nie wyjaśniało i dlatego postanowiliśmy całą sprawę wziąć w swoje ręce. Rozesłaliśmy naszych reporterów po świecie i kazaliśmy im nie wracać bez wiarygodnego wyjaśnienia tego, co stało się w Dalabuszkach. Zebrany przez nich materiał postanowiliśmy opublikować na 1 kwietnia 1977 roku, co niniejszym czynimy.

Materiały zebrane przez naszych wysłanników całkowicie i do końca wyjaśniają tajemnicę z Dalabuszek.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

HIPOTEZA PROF. DI SELVA

Na dalekim przedmieściu stolicy Peru — Limy, z dala od wielkomiejskiego zgiełku, stoi willa profesora Salvatore di Selva. Profesor wcale nie był zaskoczony moją wizytą.

— A, Polonia! — wykrzyknął radośnie — **pan pewnie w sprawie tego żelaza z Dalabusky. Czy u was wszystkie nazwy muszą być takie dziwne i trudne do wymówienia?** — zapytał zupełnie niespodziewanie,

— Nie. Mamy też nazwy dużo prostsze. Na przykład Wólka, Konin, Opole, Kielce, Radom, Lublin... Ale jest i Ostrzeszów nie mówiąc już o Szczebrzeszynie.

— Trudne są te wasze nazwy. Dobrze, że tego koła nie znaleziono w tym ostatnim, co to pan powiedział a ja nie powtórzę.

— W Szczebrzeszynie.

— Tak, tak.

— A jak pan profesor dowiedział się o tym kole, co go znaleziono w Dalabuszkach?

— Materiały mi przysłali. Opis, zdjęcia, wyniki analizy. Wszystko, co trzeba. Bo to nie pierwsze takie koło znaleziono. Jest ich kilka. Tu w Peru dwa znaleziono. Jedno w Boliwii. Trzy w Afryce. Jedno w Kanadzie. W Europie do tego czasu nie było. Aż znaleźli w tych... Dalabusky. To bardzo ważne, że już i w Europie znaleźli. To bardzo ważne.

— Czy można wiedzieć, dlaczego?

— To nie tajemnica. To potwierdza moją hipotezę.

— A jaka to hipoteza?

— Zupełnie nowa.

— No tak, ale na czym polega jej nowość?

— Czy zna pan historię radia?

— Radia?

— Tak.

— No... Znam na tyle, na ile zna współczesny człowiek, tyle, ile go w szkole nauczyli.

— To wystarczy.

— Do czego?

— Do zrozumienia mojej hipotezy.

— Słucham uważnie.

— Słyszał pan o radiach kryształkowych.

— Oczywiście.

— Otóż uważam, że pozostawione w różnych miejscach świata takie same przedmioty, jak ja je nazywam — koła, są niczym innym tylko kryształkami, w których Kosmici, jacy kiedyś przebywali na Ziemi, zostawili nam zapis swoich i naszych dawnych dziejów oraz wiele interesujących wskazówek na temat dalszego rozwoju nauki i techniki.

— To bardzo interesujące. Ale jak to odczytać?

— Właśnie się nad tym biedzimy. Konstruujemy różne aparaty. Prowadzimy różne próby. I mamy już pierwsze, ale jeszcze bardzo małe wyniki. Proszę przyjść jutro o tej samej porze, to pokażę panu nasze laboratoria i będzie pan uczestniczył w próbie.

— Dziękuję bardzo, przyjdę.

Kiedy jednak następnego dnia wybrałem się na dalekie przedmieście Limy, długo nie mogłem znaleźć willi profesora Salvatore di Selva. Gdy ją wreszcie znalazłem, wyglądała jakby trochę inaczej niż wczoraj. Żelazna furtka była otwarta. Drzwi wejściowe uchylone. W środku kurz i śmiecie, jakby tu nikt nie mieszkał od lat.

Wróciłem na ulicę i rozglądałem się wokoło.

— Kogo pan szuka? — rozległ się nagle skrzekliwy głos.

Obejrzałem się. Za mną stał staruszek o pomarszczonej twarzy, ale jakże podobny do profesora Salvatore di Selva, tylko jakby postarzały o setki lat.

— Szukam profesora Salvatore di Selva — powiedziałem.

— Taki tu nie mieszka — odpowiedział staruszek.

— Jak to?! — oburzyłem się. — Wczoraj tu, u niego byłem i z nim rozmawiałem w tej willi, przed którą stoimy.

— Niemożliwe — zaśmiał się staruszek. — **Zupełnie niemożliwe. Od wieków mieszkam w tej chatce za willą i od długich lat nikt nie mieszkał w tej willi. Jej właściciel — profesor di Selva — umarł w 1965 roku. Dobrze go znałem.**

I szybko, bardzo szybko jak na staruszka odszedł.

JERZY WILMAŃSKI

ZAGADKA CZY OCZYWISTOŚĆ?

Do Dalabuszek dojechać trudno, ale też z chwilą dojazdu kończą się trudności, gdy chodzi o zakwalifikowanie znaleziska, nad którego tajemnicą będzą się uczeni. Otóż nie ma tu żadnej tajemnicy — jest po prostu jeszcze jeden ślad kosmicznej cywilizacji — jeszcze jeden z tysięcy śladów pozostałych na naszej planecie.

Znaleziska w formie koła, czy kręgu odkrywali ludzie już dawno. Jednym z pierwszych jest okrągła płyta kamienna o grubości 1 m i średnicy 4 m znaleziona w 1790 roku w Meksyku. Płyta pokryta jest rysunkami, tworzącymi kalendarz — bardzo dokładny — a wszystkie symbole stanowią razem cztery „wielkie okresy". Pierwszy dotyczy wyginięcia prazwierząt, drugi mówi, jak burze (potop?) zmiotły ludzi, trzeci mówi o deszczu ognia (wybuch nuklearny?), a czwarty — czyli ten, w którym aktualnie znajduje się ludzkość, okres zwany 4 Olin, ma przynieść całkowitą zagładę w wyniku trzęsienia ziemi. Ostatnie kataklizmy tektoniczne, jak gdyby zapowiadają ów tragiczny dla ludzkości okres. Wątpię jednak, czy tzw. oficjalna nauka, zasklepiona w sztampowych formułkach i pogladach, potrafi ów przekaz naszych Wielkich Braci z Kosmosu zrozumieć.

Znalezisko w Dalabuszkach ma także postać kręgu o średnicy 50 cm. Z jednej strony posiada gładką, wyszlifowaną powierzchnię, z drugiej zaś przypomina fakturą zastygłą lawę. Skąd lawa w Dalabuszkach?

A skąd lawa na maoryjskiej plazy w Nowej Zelandii? Odkryto tam przecież zespół regularnych półkul przypominających nieco bochenki chleba, spodnia część jest płaska i gładka, wierzchnia — spękana i wypukła.

Nieco inne znalezisko „koliste" odnalazł Eduard Chares w okolicach Rio de Janeiro. Są to okrągłe petroglify w skale, przypominające tarczę strzelniczą. Nikt nie może stwierdzić, że powstały one w sposób naturalny. Komu więc miały one coś przekazać? Dla jakiej cywilizacji były sygnałami lub może, od kogo dla nas przekazują informacje?

Znalezisko w Dalabuszkach przypomina z grubsza półkule z Nowej Zelandii, tyle, że wykonane jest ze stopu metalicznego, którego składu nie mogą rozpoznać metalurdzy. I nic dziwnego! Aparat ziemskiej wiedzy (jakże ograniczonej!) nie może być przydatny w badaniu przedmiotu powstałego poza strefą ziemską i poza sferą ludzkiego pojmowania.

Pochodzenie człowieka jest pochodzeniem kosmicznym. Ludzkość rozwijała się wprawdzie drogą powolnej ewolucji, ale w jakimś momencie żyjącym na Ziemi hominidów poddano pewnej mutacji, polegającej na wprowadzeniu zasadniczych zmian w układzie genetycznym. W ten sposób ciałem pochodzimy od zwierząt, duchem zaś — od Wielkiej Kosmicznej Cywilizacji. Jest to jedyna słuszna teoria, odpowiadająca na wszystkie pytania na temat naszej zamierzchłej przeszłości. Wyjaśnia też „skokowy" rozwój cywilizacji — zagadkę, której dotychczas nie potrafiła wyjaśnić tzw. oficjalna nauka. A sprawa jest prosta: impuls szybszego rozwoju otrzymaliśmy od pozaziemskiej cywilizacji, która przekazała Ziemianom maleńką cząstkę swego dorobku, wypracowanego na innych planetach.

Jeśli zrozumiemy wreszcie tę prostą prawdę, nie będą nas niepokoić znaleziska takie, jakie odkryto w Dalabuszkach, Meksyku, czy Nowej Zelandii.

Dlatego nie zbulwersował mnie specjalnie krąg z nieznanego stopu, odkryty w polskiej wiosce. Jest to po prostu jeden z tysięcy — w łańcuchu dowodów — sygnał, czy pozostałość cywilizacji, której rozmiaru i potęgi człowiek nie jest w stanie precyzyjnie określić.

BOHDAN FELT

A JEDNAK LATAJĄCY SPODEK

No, wreszcie i my mamy swoją ufologiczną sensację. Od ponad dwóch miesięcy w wąskim jeszcze co prawda światku badaczy niezidentyfikowanych obiektów latających wrze jak w ulu. Wielu wybitnych specjalistów, których nazwiska Czytelnicy zapewne doskonale znają z codziennych doniesień prasowych, usilnie stara się znaleźć odpowiedź na zasadnicze w tej chwili pytanie: **czy tajemniczy dysk stanowiący stop różnorodnych metali, który znaleziono w końcu ubiegłego roku w Dalabuszkach koło Gostynia, jest latającym spodkiem spoza naszej planety?**

Słowa sensacji użyłem tu nieprzypadkiem, albowiem rzeczywiście mamy do czynienia z wydarzeniem niebywałym i to w skali światowej. Tak, tak, okazuje się, że znalezisko z Dalabuszek, to ewenement na skalę międzynarodową. Oto jak odebrały fakt znalezienia w Polsce tego tajemniczego obiektu, zagraniczne środki informacji: **„La soucoupe volante au-dessus du Dalabouchki, en Pologne"** (latający spodek nad Dalabuszkami, w Polsce — informuje **„FRANCE SOIR"** z 18. II. 1977 r.); **„Les Polonais aussi voient des OVNis"**. (Również Polacy widzą NOLe — tygodnik **„CANARD ENCHAINE"** z 21. III. 1977 r.). **„UFO in Poland" „THE WASHINGTON STAR"** — 21. II. 1977 r.). Podobne, elektryzujące tytuły można było ostatnio spotkać w wielu innych dziennikach i periodykach, jak chociażby w **„DAILY EXPRESS", „AUSTRALIAN POST", „THE NATIONAL LAMPOON", „IL TEMPO"**, czy szwajcarskim **„TAGES ANZEIGER"**.

Zainteresowanie zagadkowym odkryciem **p.** Zbigniewa Tuszewskiego z Poznania jest więc, jak widać, ogromne. Okazało się przy tym, iż dla niektórych ufologów wcale nie było ono niespodzianką. Oto, co powiedział niedawno dr **Robert S. Richardson** z obserwatorium w Palomar korespondentowi amerykańskiej sieci telewizyjnej CBS:

— Uważam, że znaleziony w Polsce tajemniczy obiekt w kształcie dysku może stanowić drobny fragment wielkiego NOL, który został zaobserwowany w grudniu ubiegłego roku przez kilka obserwatoriów Stanów Zjednoczonych i Europy. Obiekt ten prawdopodobnie uległ później jakiejś tajemniczej katastrofie i rozpadł się.

Opinia ta pokrywa się częściowo z wypowiedzią **Barta K. Slattery**, dyrektora Centrum Badań Kosmicznych im. George'a C. Marshalla i dra **C. Whipple'a** z Ośrodka Badania Zjawisk Krótkotrwałych przy Smithsonian Institute, którzy są zdania, iż **„dziwny dysk może być stopionym elementem tajemniczego obiektu (którego pojawienie się w przestrzeni kosmicznej zostało zarejestraowane przez szereg europejskich i amerykańskich placówek Ośrodka), gdy ten, przechodząc przez górne warstwy atmosfery, uległ zniszczeniu pod wpływem wysokiej temperatury wywołanej silnym tarciem. Być może układ napędowy NOL uległ zagadkowej awarii".** To ostatnie stwierdzenie zasługuje na uwagę o tyle, że potwierdzają je w pewnym sensie relacje okolicznych świadków, którzy wyraźnie słyszeli huk silnej eksplozji, tylko jego przyczynę tłumaczyli sobie w sposób bardziej przyziemny.

Warto również odnotować fakt przybycia w ostatnich dniach do naszego kraju ekipy kilku znanych ufologów zagranicznych, którzy po obejrzeniu dziwnego obiektu i miejsca, gdzie został odnaleziony mają zamiar wespół z naszymi czołowymi ekspertami przystąpić do szczegółowych badań w laboratoriach naukowych. Czy efektem ich prac będzie potwierdzenie hipotezy latającego talerza, dziś jeszcze nie można przewidzieć. Niemniej znamienna jest tu wypowiedź, jakiej udzielił przedstawicielowi PAP członek grupy badawczej, dr **Jean Pierre Petit**, pracownik naukowy z paryskiego Centre National de la Recherche Scientifique (Narodowego Ośrodka Badań Naukowych):

— Mam głęboką nadzieję, że polskie odkrycie pozwoli mi udowodnić tezę, jaką w lipcu 1975 roku przedstawiłem we francuskiej Akademii Nauk. Hipoteza moja dotyczyła napędu latających spodków. Ustalono bowiem, że NOL wytwarzają wokół siebie wyładowania elektryczne. Rząd jasno oświetlonych „okienek" opisywany tak często przez świadków, to zapewne nic innego, jak elektrody. Ponieważ górne „okienka" są wyraźnie jaśniejsze od reszty statku, można przyjąć, że jest to katoda. Anoda zatem powinna być umieszczona u dołu spodka. Otóż na podstawie udostępnionych mi informacji, przypuszczam, że tajemniczy metalowy dysk stanowi właśnie jej główny element. Sam spodek wykonany jest z dobrego izolatora i prawdopodobnie posiada we wnętrzu solenoid wytwarzający silne pole magnetyczne. Musi tam być poza tym generator wysokich prądów, dzięki czemu na elektrodach występuje duża różnica potencjałów. Otóż wyładowania, powstające między katodą i anodą, rozchodząc się wzdłuż zewnętrznych ścian obiektu, jonizują powietrze w ich bliskim sąsiedztwie. W otaczającej spodek plazmie zaczyna płynąć prąd, a ponieważ ruchliwość elektronów jest znacznie większa niż jonów, te pierwsze decydują o jego przepływie. Uwzględniając, że wszystko dzieje się w silnym polu magnetycznym statku, więc linie przepływu prądu przybierają kształt spirali. Przepływający prąd indukuje pole magnetyczne, które oddziałując wzajemnie z polem magnetycznym NOL, daje siłę nośną. Przy tym, zgodnie z prawami fizyki, siła Lorentza na górnej połowie statku będzie skierowana odśrodkowo, a na dolnej dośrodkowo. Zjonizowane na elektrodach powietrze opływa statek wzdłuż jego ścian, z góry do dołu. Część elektronów swobodnych rekombinuje po drodze z jonami poruszającymi się w kierunku przeciwnym i emituje światło. Stąd właśnie owa barwna poświata wokół latających talerzy. Tak oto, w dużym skrócie, przedstawia się istota mojej koncepcji magnetohydrodynamicznego napędu NOL, którą, być może, potwierdzi wasze znalezisko.

Niestety, jak zwykle w takich przypadkach, nie brak opinii różnej maści sceptyków, którzy nie zaniedbują żadnej okazji, by pomniejszyć, lub zgoła zdyskredytować każdy nowy krok naprzód w światowej ufologii. I tak niektórzy z nich twierdzą na przykład, że dysk z Dalabuszek bardziej przypomina pokrywę pojemnika z preparatem promieniotwórczym, niż latający talerz.

BOGDA MADEJ

ŻELAZNY KAMIEŃ

Do Dalabuszek pojechałam przez zwykłą babską ciekawość. Żelazny kamień, to jest coś! W Dalabuszkach od razu pognałam do sklepu GS, przed którym formowała się pokaźnych rozmiarów kolejka. Stanęłam na jej końcu.

— Co tu dają? — zapytałam.

— Lampy naftowe — odpowiedziała zażywna gospodyni wiejska.

— To u was nie ma światła?

— Jakże nie ma. Dawno założyli.

— To po co wam lampy naftowe?

— Pani, jak latem przyjdzie burza, to światło na parę godzin wyłączają. Przyda się jak raz. A i dobry interes na lampach można zrobić.

— Interes? Na lampach?

— Letniki jak przyjadą, to jak głupie płacą za te lampy trzy razy tyle, co to warte. Widać w miastach wyłączają prąd na dłużej. A latoś do Dalabuszek to przyjedzie ludzi a ludzi. Pisali o nas w gazetach. Czytała pani?

— A czytałam.

— Już przyjeżdżają. Profesory różne, magistry i redaktory.

— Wszystko przez ten żelazny kamień? — zapytałam rada, że gospodyni wiejska sama weszła mi w temat.

— A juści. Jeden taki to jak głupi latał po polach z tydzień, jak nie więcej. Mierzył coś centymetrem, do ziemi głowę przykładał, w niebo patrzył, rękoma machał, coś tam do siebie gadał i zapisywał w czerwonym kajeciku.

— Nie wie pani, jak się nazywał?

— Magister na niego mówili. Ale więcej będzie wiedziała Karpowa, bo u niej mieszkał.

Kupiłam lampę i pobiegłam do Karpowej. Karpowa akurat gniotła kluski. Na półce stało sześć nowiutkich lamp naftowych. Ucieszyła się

— Była pani w GS? — zapytała, widząc mój pakunek. **— Co przywieźli? Sama teraz do sklepu nie mogę lecieć, bo chłopom obiad robię.**

— Lampy — odpowiedziałam.

— Już mam.

U Karpowej dowiedziałam się, że tajemniczy Magister był z Łodzi, po polach latał w niebieskim dresie w zielone paski, na plecach miał napis: „SKB RAJDOWIEC" i był bojownikiem blokowym, walczącym o założenie Sportowego Koła Blokowego RAJDOWIEC, którego był prezesem i jedynym członkiem. Nazwiska Karpowa nie znała.

Wróciłam do Łodzi zmartwiona. Szukaj magistra w polu. Zrobili wprawdzie akcję „MAGISTER", ale tam nie było nic o niebieskim dresie w zielone pasy i czerwonym notesiku. Miałam jednak szczęście. Idąc któregoś popołudnia do znajomych na Retkinię, ujrzałam biegającego drobnym truchtem wokół bloku dziwnego mężczyznę o wątłej posturze. W okularkach z resztkami włosów, w niebieskim dresie w zielone paski i z napisem „SKB RAJDOWIEC" na plecach.

— Pan magister? — zapytałam.

Mężczyzna wyciągnął czerwony notesik i długopis.

— Pani się zapisuje do SKB RAJDOWIEC? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Nie. Ja w sprawie Dalabuszek.

— To usiądźmy — zaproponował Magister i wskazał ręką na podmokłą, burą, wiosenną trawę. Usiedliśmy.

— Moja teoria jest prosta. Nazwa Dalabuszki pochodzi od nazwy starożytnego, słowiańskiego plemienia Dalabuchów. Ludzie byli to rośli, potężni i co roku na wiosnę organizowali zawody sportowe. Konkurencja polegała na rzucaniu wielkimi żelaznymi dyskami. Taki dysk znaleziono właśnie w Dalabuszkach. Teraz należy tylko zbadać, jaką techniką rzutu posługiwali się Dalabuchowie. Jak już tę technikę opanujemy, nie będzie silnych na Polaków. Wszystkie rekordy będą nasze.

— Ale kto tym będzie rzucał? — zapytałam.

— Znajdą się tacy! — odpowiedział dumnie Magister. I wypinając chuderlawą pierś, popędził drobnym truchtem dalej.

RYSZARD BINKOWSKI

NA TROPIE NOLA

Działacz ludowy, ob. Gadziorek, poczerwieniał niebezpiecznie i z gniewem zrzucił z ramion witosowską sukmanę.

— To pic, panie, wielki pic! — rzucił mi w twarz. **— To jest** — zachłysnął się **— wredna robota Kolanki! Oni w swojej gminie nie mają wyników, za wszelką więc cenę pragną zwrócić na siebie uwagę...**

Upadł ze wzburzenia na krzesło i wlepił we mnie chytry wzrok.

— Kamienie! — syknął znienacka. **— Komu one potrzebne do remontu? Kamieniami to można, za przeproszeniem, psu jajka przycisnąć, albo, co nie daj Boże, szyby w remizie wytłuc!**

— Fachowcy powiadają — przerwałem mu — że to NOL...

Zaśmiał się zjadliwie, z szatańskim błyskiem w oku.

— Różne propagandy już były, ale ta nie przejdzie! NOL — prychnął. **— Nie Oszukiwać Ludzi, tak? Czemu więc bujają? Niech pan spyta dziadka Lepigę, on panu powie, co i jak.**

Dziadek wymiótł bobki spod owiec, zapalił fajkę i przymknąwszy powieki o krótkich, białych rzęsach, szepnął rozmarzonym głosem:

— Ano tak, ja zawsze przy owcach. Dobry zawód, bez nerwów. Ale wtedy, w czterdziestym trzecim, to i mnie wzięło. Aż mnie w dołku zemgliło...

Pyknął z fajeczki, odsapnął...

— Styczeń był, panie, owieczki koniczynkę skubią, bociek klekoce, a tu nagle szur-szur po niebie i trach w żyto! Rakieta to była, panie, całuśka srebrna. Trochę się jej stopiło, ale lotnika my wyciągali, okulary miał sposobne do młocki, żeby nie kurzyło. Ale Antośka, przewodnicząca naszego kółka, nie wierzy w to, jak baba. Gada, że przez człowiecze lajdactwo diabły się zagnieździły na polu państwowym i warzyły cosik w kotle przeciw ludzkości. A jak była susza i przez pola szła procesja za deszczem, ksiądz machnął tu i tam święconą, to diabły wyniosły się i kapichne zostawiły z tego urobku...

Odkaszlnął i machnąwszy z determinacją ręką, zakończył:

— Niejeden z tego korzystał, choćby Dobecki. To jest taki — dziadek złożył się i syknął: „puf-puf" **— co stworzeniu bożemu nie przepuści. Ale popić lubi. Jak wyrabiał kulki do flinty, przysnął i wszystko mu się stopiło. Między Sochą a Marnym też były zgrzyty, o sądy się nawet oparło!**

— Z którym porozmawiać?

— Z Marnym, jego krzywda większa.

Marny przyjął mnie niezmiernie serdecznie.

— Nie mogę Sosze udowodnić, ale pan mi pomoże. Idzie o pierdziołkę, co rośnie na miedzy. Na moją stronę więcej ulęgałek leciało, nie? To Socha kazał gałąź przyciąć, żeby było równo. A ja nie! To on, sukinkot wredny, zaczął z resztek tej rakietki wytapiać działo. Chciał mi, bancwol, chałupę rozwalić! Ale nie wyszło, choć syn pomagał, i stopiło się. Bo ten syn student, niedouczony...

Aby pozostać w zgodzie z reporterskim sumieniem, udałem się do Sochy.

— **Marny?** — wrzasnął. — **Jemu pan wierzy?**

— A panu można?

— Tylko mnie! — uderzył się w pierś. — **Bo Marny bajki o pierdziołce opowiada. A teraz inne czasy, nowoczesność i postęp. Marny umie to wykorzystać. Zainstalował, cwaniak, na polu Stacji Hodowli Roślin potajemną gorzelnię. Jak znajdą na państwowym, to kogo pociągną, co? Traf chciał, że podczas gotowania zebrało się na burzę, a na dodatek do wsi zjechała milicja, żeby sprawdzić porządki w obejściach. Kobieta Marnego myślała, że specjalnie po Marnego. Dała chłopu cynk. Uciekł z pola, burza się rozszalała piorun pieprznął w kocioł i bimbrownia stopiła się. No i nie ma dowodów przeciw Marnemu. Podobno montuje nowy kocioł...**

Gdyby naukowcy nie zamykali się w kręgu wąskiej specjalizacji, na tropie NOLA odkryliby nie tylko bimbrownię...

KONRAD FREJDLICH

REPORTAŻ NIE Z TEJ ZIEMI

Prasa doniosła, że w Dalabuszkach pod Poznaniem znaleziono jakiś tajemniczy obiekt, najprawdopodobniej pozaziemskiego pochodzenia. Lubię chodzić po ziemi, a odkąd zobaczyłem w restauracji latające talerze, żadne sensacje nie robią na mnie wrażenia. Było to podczas opijania habilitacji docenta, z którym chodziłem do szkoły i miałem lepszy od niego stopień z astronomii, ale zrezygnowałem ze swego powołania i poszedłem na prawo, podczas gdy mój kumpel wyjechał na praktykę do Puszczykowa pod Poznaniem, gdzie znajduje się znane obserwatorium astronomiczne. Od tej pory szukam prawdy na dnie kieliszka, podczas gdy on dalej spoziera w niebo.

Ale Dalabuszki to temat dla kogoś, kto lubi chodzić po ziemi, choćby chwiejnym krokiem. Ponieważ już od dawna nie ufam żadnym teoryjkom naukowym wsiadłem w samochód, aby fascynujący obiekt kosmiczny zbadać na miejscu. Byłem bowiem niemal pewien, że wreszcie uda mi się wyjaśnić tajemnicę kamienia filozoficznego, którego daremne poszukiwali przez całe wieki alchemicy. Od dawna zresztą twierdzę, że Polska jest krajem złotodajnym i dlatego możemy pozwolić sobie na obserwowaną wszędzie rozrzutność, która dziwi skąpych kapitalistów, żyjących z wyzysku prostego człowieka. Kamień filozoficzny pozwoliłby unaocznić sceptykom źródła naszych nieustannych sukcesów. Wystarczy toto wrzucić do garczka i nawet woda zmienia się w żywe złoto.

Szosa była sucha, opony dobrze przywierały do nawierzchni i ich pogwizdywanie na zakrętach wprawiało mnie w nastrój niemal podniosły. Nieoczekiwanie musiałem zwolnić, gdyż na autostradzie powstał zator. Ludzie biegli od pól i tarasowali drogę tłocząc się przed szopą, której różowy dach z eternitu wyglądał z daleka jak żywy symbol optymizmu. Wybiegłem na pobocze i przez ludzką ciżbę wdarłem się do szopy migając legitymacją prasową, która otwiera drzwi nawet w wysokich urzędach. Robię to zresztą niechętnie, bo jako dziennikarz wolę działać incognito, wtedy człowiek dostrzega więcej i dokładniej. Ale tym razem nie było wyboru.

— Co tu się dzieje? — zacząłem przeprowadzać interwiew z najbliższym człowiekiem z ciżby.

— Trafiła kosa na kamień, panie redaktorze — odparł gorliwie czekając na kolejne pytanie.

— A gdzież ten kamień? — stłumiłem w sobie podniecenie, bo podczas przeprowadzania wywiadu dziennikarz powinien być rzeczowy, tego oczekują czytelnicy.

— Kto go tam wie — odparł filozoficznie rolnik. **— Ale, panie dziennikarzu, i kowala nie ma. Może się upił, a może już go przymknęli, bo brał łapówki. I co my teraz poczniemy, żniwa się przecież zbliżają.**

— **Chyba siewy?** — powiedziałem niepewnie.

— Obsiać, to my już obsiali i czynimy przygotowania do żniw. Latem się przecie człowiek kowala nie doprosi, a zboże nie może czekać.

— I naprawdę nie wie pan, gdzie jest ten kamień? — zapytałem.

— **Jak na spowiedzi: nie wiem** — rzekł chłop bijąc się w piersi.

Węszyłem już grubszą aferę, ale na wszelki wypadek spytałem:

— A nie wiecie, przypadkiem, dobry człowieku, jak nazywa się ta wieś?

— Pewnie, że wiem. Banialuszki.

Wyszedłem na wiosenne słońce i skierowałem się do gospody. Podano mi „Żywca" w cienkim szkle.

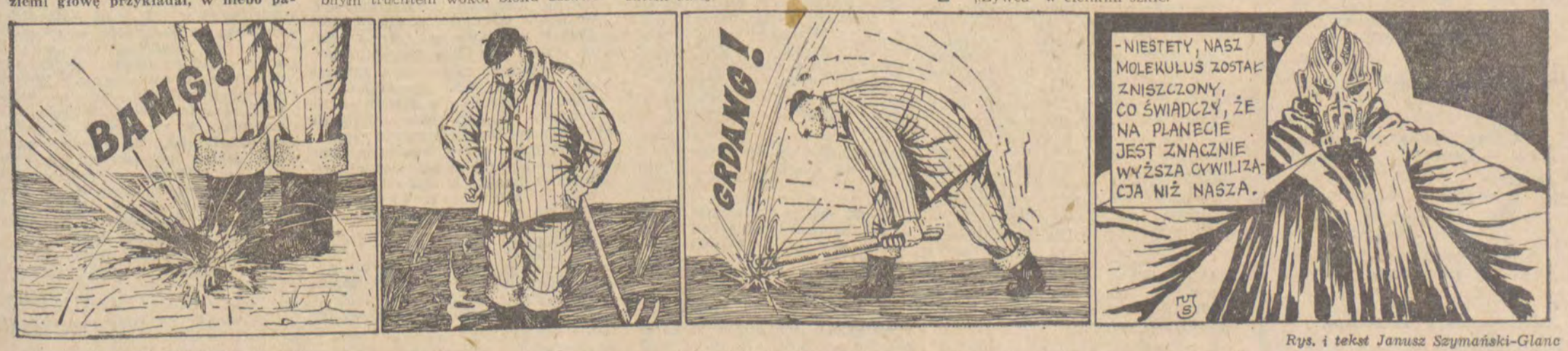

Rys. i tekst Janusz Szymański-Glanc

SATYRA

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

ŁATKI ADRESATKI

NA HONORATĘ CHRÓŚCIELEWSKĄ

Żona tego,
Co Prowincja jego!

NA WACŁAWA BILIŃSKIEGO

On umie wyzyskać temat:
„NAGRODY I ODZNACZENIA!"

NA POETYKĘ ANDRZEJA BISKUPSKIEGO

Poeta ogólnoludzki —
Cyprian Kamil Biskupski!

NA JANA CZARNEGO

Są przecieki,
Maluje zacieki.

NA EUGENIUSZA IWANICKIEGO

Łaski pisarzu,
Pisz wolniej i dobrze od razu.

NA JERZEGO JARMOŁOWSKIEGO

„Trioletem się bawię,
Cyc sławię!"

NA WŁADYSŁAWA ORŁOWSKIEGO

Sofoklesa już miał dotknąć,
Ale gdzieś się musiał potknąć.

NA TADEUSZA SZEWERĘ

Rozszumiała się szewera:
„O! jak On te piosnki zbiera!"

NA TALENTY HALINY SIBIŃSKIEJ

„Gdy zawiedzie mnie pędzelek
Również temat piórem zdzielę".

NA TERESĘ WOJCIECHOWSKĄ, KTÓRA TAK POWIE O SWYM BOHATERZE KONIU Z „BLEKOTNIKA"

„A spróbujcie proszę, jak ja pogodnie,
Konia pogonić co dwa tygodnie".

NA WOJCIECHA DRYGASA REDAKTORA NACZELNEGO „KARUZELI"

Pójdziesz do nieba za śmiech,
Jeśli popełnisz ten grzech!?

NA HUMORESKI JACKA SAWASZKIEWICZA

Humoru Mickiewicz,
JACEK SAWASZKIEWICZ!

NA DZIENNIKARSKI CIOS BOGDY MADEJ

I lewy i prawy
I leżą sportowe sławy!

NA MARIANA JEŻEWSKIEGO — KONFERANSJERA

Łódzki
Rudzki.

NA POWRÓT AKTORÓW DO ŁODZI

O rany!
Aktorzy wracają, jak bociany.

KATAKLIZMY

Dalszy ciąg ze str. 1

ratury rejestrującej? Niektórzy pytanie to łączą z innym: czy przypadkiem ruchy skorupy ziemskiej nie zostały wzmocnione licznymi przecież podziemnymi eksplozjami nuklearnymi?

Wyczerpującej odpowiedzi na te pytania nie ma. Wiadomo jest natomiast tylko tyle, że ziemia nasza trzęsie się nieustannie. Stacje sejsmiczne na przykład w Krakowie i Książu rejestrują rocznie przeszło tysiąc wstrząsów.

Sejsmolodzy obliczają, że ziemia drży przeszło 100 tysięcy razy w ciągu roku. Drży ona kilka razy na dobę. Na lądzie wielkie trzęsienia ziemi zdarzają się co 52 dni, a na dnie oceanów — co 28 dni. Na szczęście dla ludzi większość tych wstrząsów ma miejsce w okolicach bezludnych lub słabo zaludnionych, a także na dnie oceanów. Większość z tych wstrząsów notują tylko sejsmografy. Ale coraz częściej trzęsienia ziemi zaczynają nawiedzać rejony zaludnione. Być może — jak to utrzymują niektórzy — jest to tylko wynik rosnącej urbanizacji. W każdym razie już w tym roku wydarzyły się trzęsienia ziemi:

— **w styczniu 1977 roku** w **Japonii** w prowincji Tochigi, w **Grecji** w odległości 60 km od Aten, a było to trzęsienie ziemi o sile 4 stopni w skali Richtera, w **Nowej Gwinei** o sile 6,9 stopnia w skali Richtera, w rejonie zatoki **San Francisko** seria 8 wstrząsów o sile od 3 do 5 stopni w skali Richtera, w **Nikaragui** w Managui, w Manili na **Filipinach**, we **Włoszech** w rejonie Friuli i Tadżykistanie w **ZSRR**.

— **w lutym 1977 roku** wstrząsy zanotowano w **Skopje**, które nie spowodowały żadnych szkód.

— **w marcu 1977 roku** silne trzęsienie ziemi nawiedziło **Rumunię** i **Bułgarię**, a było też odczuwane na **Węgrzech** i w **Jugosławii.**

Dlaczego ziemia się trzęsie?

Marcel Roubault — dyrektor Centrum Badań Petrograficznych i Geochemicznych we Francji — w wydanej w Polsce książce „Czy można przewidzieć kataklizmy" tak określa trzęsienie ziemi:

„...trzęsienie ziemi jest wynikiem powolnej deformacji skorupy ziemskiej, powodującej w momencie przekroczenia granicy wytrzymałości terenu, nagłe przerwanie ciągłości podłoża."

Jest to jednakże określenie bardzo ogólne, które nie wyjaśnia przyczyn powstawania **„powolnych przyczyn deformacji skorupy ziemskiej"**. Na temat tych przyczyn sformułowano różne hipotezy.

Trzęsienia ziemi powstają na skutek przesunięć wielkich płyt tektonicznych, na jakie dzieli się nasz glob. Te płyty wykonują wprawdzie niewielkie ruchy, po kilka centymetrów w ciągu roku, ale w ich wyniku na krawędziach płyt gromadzi się ogromna energia. Jej nagłe wyzwolenie powoduje właśnie trzęsienie ziemi.

Jak wielka jest to energia? Oblicza się na przykład, że energia, która wywołała trzęsienie ziemi w południowej Azji w styczniu 1911 roku była kilka milionów razy silniejsza niż energia bomb atomowych zrzuconych w 1945 roku na Hiroszimę i Nagasaki. Wielkość energii wyzwalającej się podczas trzęsienia ziemi odpowiada średnio 100 bombom jądrowym o sile 100 Mt każda. Aby wyprodukować taką energię — utrzymuje Izot B. Lityniecki w książce „Spotkanie z bioniką" — Dnieprogres musiałby pracować przez 350 lat. Na szczęście tego rodzaju wstrząsy są dość rzadkie. Jak obliczają sejsmolodzy wstrząsy o rozmiarach katastrofy nawiedzają kulę ziemską przeciętnie raz w roku. W ubiegłym roku miało to miejsce w Chinach. W tym roku — w Rumunii. Ale — jak już wspomniałem — coraz więcej notuje się wstrząsów mniejszych, które nawiedzają zaludnione rejony.

Inna hipoteza mówi o tym, że nierównomierne rozmieszczenie na kuli ziemskiej pierwiastków radioaktywnych, które w czasie rozpadu wydzielają ciepło, powoduje nierównomierny rozkład temperatury we wnętrzu ziemi, co stwarza dodatkowe napięcia i powoduje wstrząsy.

Radzieccy specjaliści skłonni są natomiast wiązać trzęsienia ziemi ze zmianami położenia osi planety, co również powoduje napięcie wewnątrz skorupy ziemskiej. A ich zdaniem właśnie teraz następuje ponowne przemieszczenie się osi naszego globu. Być może właśnie dlatego coraz więcej notujemy wstrząsów ziemi.

Trzęsienia ziemi powodują też wulkany. Ale z tego powodu ziemia trzęsie się dość rzadko. Drobne lokalne trzęsienia ziemi mogą powstawać też na skutek zapadania się podziemnych pieczar, kopalń, a w Polsce zdarza się to na Śląsku i nazywa się tąpnięciem.

Wiadomo z całą pewnością, że na kuli ziemskiej są dwa pasy, gdzie trzęsienia ziemi występują ze szczególną siłą i które są obszarem aktywności sejsmicznej.

Pierwszy — znajduje się w rejonie Oceanu Spokojnego i obejmuje zachodnie wybrzeże Ameryki Południowej, Meksyku i Kalifornii w Ameryce Północnej, Japonię i Archipelag Malajski.

Drugi — biegnie mniej więcej równolegle do równika na półkuli północnej, zaczyna się w Himalajach i ciągnie się przez Iran, Kaukaz, wybrzeże Morza Śródziemnego, Bałkany, zahaczając o Alpy i Karpaty.

Sejsmolodzy obliczają, że jeśli w pierwszym rejonie obserwuje się około 48 procent wszystkich wstrząsów, to w drugim — około 52 procent. Czyli ten drugi obszar jest bardziej aktywnym sejsmicznie rejonem.

Epicentrum i skalc

Miejsce, gdzie wstrząs był najsilniejszy nazywa się epicentrum. Ale bywa i tak, że największą intensywność wstrząsu ziemi obserwuje się na pewnym obszarze i wtedy określa się go jako rejon epicentryczny. Są to jednakże powierzchniowe skutki wstrząsu, który nastąpił w głębi skorupy ziemi. Tam jest ognisko trzęsienia ziemi — hipocentrum. Znajduje się ono zwykle dość głęboko, niekiedy nawet na głębokości 700 km. Im trzęsienie ziemi ma swoje ognisko głębiej, tym mniej energii wydobywa się na powierzchnię skorupy ziemskiej. Uważa się na przykład, że ostatnie trzęsienie ziemi w Rumunii miało swoje ognisko na głębokości przeszło 100 km. Ale trzęsienie ziemi w Udine — we Włoszech — miało ognisko na głębokości kilku lub kilkunastu km i było szczególnie groźne w skutkach. Zrównało ono z ziemią Udine.

Dla oceny siły trzęsienia ziemi stosuje się **międzynarodową skalę intensywności trzęsienia ziemi.** Ma ona 12 stopni. **Stopień pierwszy** jest nie odczuwalny przez ludzi, a tylko rejestrowany przez sejsmografy. Przy **stopniu drugim** i **trzecim** wstrząsy odczuwają tylko niektórzy ludzie, poruszają się wtedy przedmioty wiszące. **Stopień czwarty** — drgają szyby w oknach, naczynia na półkach, pękają ściany. Przy czym im ludzie i przedmioty znajdują się wyżej, na wyższych piętrach budynków, tym silniej odczuwają i obserwują skutki wstrząsów.

Stopień piąty — wstrząsy odczuwają wszyscy, drgają budynki. **Stopień szósty** — sypie się tynk, w ruch zostają wprawione dzwony. **Stopień siódmy** — powstają szczeliny w ścianach. Słabsze budynki mogą zawalić się. „Wysychają" niektóre źródła wody.

Stopień ósmy — następuje poważne uszkodzenie budynków, walą się kominy i inne wysokie a słabe budowle. Powstają małe uskoki gruntu. **Stopień dziewiąty** — następuje uszkodzenie zbiorników wbudowanych w ziemię, sieci kanalizacyjnej, wodociągowej i gazowej, dróg, poważne uszkodzenie domów. **Stopień dziesiąty** — powstają wielkie osuwiska ziemi, domy rozwalają się do fundamentów, walą się mosty, rozpadają się wały ziemne i zapory wodne.

Stopień jedenasty i dwunasty — zupełna katastrofa. Całkowite zniszczenie ludzkiej działalności.

Piątek, 4 marca 1977 roku

„Huk, chociaż wydobywał się spod ziemi, narastał jakby nad dachami miasta przeciągała eskadra ciężkich bombowców — pisał z Bukaresztu korespondent PAP, Stanisław Lewandowski. — **Podłoga zaczęła się uginać pod nogami, a dom zakołysał się wciągając w ten przerażający rytm wszystko i wszystkich. Ktoś, a może było to kilka głosów krzyczał strasznie: cutremul, cutremul... trzęsienie ziemi."**

Tak zaczęła się tragedia Rumunii. Siła wstrząsów wynosiła około 8 stopni w skali Richtera. Epicentrum znajdowało się w okręgu Vrancea — 80 km na północ od Bukaresztu. Fala wstrząsów sejsmicznych objęła też Bułgarię, gdzie zniszczeniu uległo miasto Swisztow, Jugosławię, Węgry, radziecką Mołdawię i — jak już wspomniałem — odczuto ją w południowo-wschodniej i wschodniej Polsce.

Była godzina 21.30 czasu lokalnego. Życie toczyło się normalnie. Jedni układali się do snu, inni byli u znajomych, dzieci kończyły lekcje, oglądano telewizję, robiono ostatnie zakupy, wybierano się w podróż... I wtedy nagle zaczął gwałtownie narastać łoskot, a później zatrzęsła się ziemia. Zgasło światło, uniosły się tumany kurzu, sypał się gruz, rozległy się jęki i wołanie o pomoc. Ludzie

Rys. Janusz Szymański-Glanc

w panice opuszczali mieszkania, inni nie zdołali nawet zorientować się co się dzieje.

Sejsmograf w Warszawie pierwszy wstrząs zanotował o godzinie 20.23. Mikrowstrząsy trwały około 4,5 godzin. Fala sejsmiczna obiegła kulę ziemską około 10 razy. W Bukareszcie przystąpiono już do ratowania zasypanych. Wstrząsy trwały tam około minutę. Szkody wyrządzone trzęsieniem ziemi będzie się usuwać dość długo. Kilak ofiar trzęsienia ziemi znajdowało się wiele godzin pod gruzami, a jedna z zasypanych przeżyła aż 250 godzin.

Silnie ucierpiało od trzęsienia ziemi wiele fabryk, a między innymi ośrodek przemysłowy w Ploiesti. Zniszczeniu uległo wiele domów, szczególnie starszych. Tysiące ludzi znalazło się bez dachu nad głową. Cały świat pośpieszył z pomocą Rumunii najbardziej dotkniętej klęską żywiołową. Rumuni wykazali wielkie zdyscyplinowanie. Wszyscy pośpieszyli do pracy przy usuwaniu zniszczeń. Rumuni świadomi są, że klęska żywiołowa zahamowała ich rozwój, że trzeba będzie teraz wiele poświęcić dla odbudowy kraju, nadrobienia strat. Władze partyjne i państwowe Rumunii zapowiedziały jednak, że nie rezygnują z ustalonego programu rozwoju kraju, chociaż oczywiste jest, że realizacja tego programu przesunie się o kilka lat.

Inne katastrofy

Historia naszej planety od dawna notuje tragiczne w skutkach trzęsienia ziemi. W **526 roku** na przykład trzęsienie ziemi dotknęło Antiochię i Syrię i pochłonęło 250 tys. ofiar. W **Polsce** pierwsze trzęsienie ziemi zanotowano w **998 roku.** Odnotowano później kilka wstrząsów, ale nie pochłonęły one ofiar, spowodowały tylko pewne szkody materialne. W **1680 roku w Warszawie** na skutek wstrząsu zawaliło się kilka starych domów.

W **1556 roku** natomiast w **Chinach** od trzęsienia ziemi zginęło 830 tys. ludzi. W **1703 roku w Japonii** — 200 tys. osób. W **1737 roku w Kalkucie** — 300 tys. osób. Odnotowywane w późniejszych latach trzęsienia ziemi nie pochłaniały już tak wielkiej liczby ofiar. Dopiero w **1908 roku na Sycylii** i w południowych Włoszech zginęło 100 tys. osób. W **1920 roku — w Chinach** zginęło 180 tys. osób, a w **1923 roku w Japonii** — 200 tys. osób.

W **1970 roku** wielkie trzęsienie ziemi nawiedziło **Peru** i wtedy zginęło 67 tys. osób, i przyszedł **rok 1976**, lipiec i w Chinach zginęło około 700 tys. ludzi.

W Rumunii według oficjalnych danych zginęło 1.387 osób, a rany odniosło 10,5 tysiąca. Zawaliło się przeszło 4 tys. domów, a 12 tys nie nadaje się do mieszkania. Sporo osób zaginęło, prowadzi się więc intensywne poszukiwania, gdyż mogły wyjechać, przebywać na urlopie, być u krewnych — dlatego nie uznaje się ich za zmarłych.

Człowiek jest bezradny

Człowiek jest bezradny wobec trzęsienia ziemi. Istnieje wprawdzie cały system objawów, które poprzedzają trzęsienie ziemi, ale nie zawsze ludzie potrafią z nich korzystać. Na przykład Chińczycy w lipcu 1976 roku zignorowali ostrzeżenia amerykańskie i japońskie wskazujące, że może dojść do trzęsienia ziemi w rejonie Tangszan. Takie same ostrzeżenia zignorowano w przypadku Skopje, Turcji i Peru. A właśnie Chińczycy — i Japończycy również — mają szeroko zorganizowany system obserwacji zmian, jakie poprzedzają trzęsienia ziemi. Wiadomo bowiem, że bezpośrednio przed trzęsieniem ziemi obserwuje się pewne zmiany w zachowaniu zwierząt i zmiany w roślinności. Wieśniacy rejonow nawiedzanych trzęsieniami potrafią dość dokładnie przewidzieć kataklizm, ale nauka nie zawsze umie jeszcze korzystać z tych obserwacji.

W rejonie Tangszan przed nadejściem trzęsienia ziemi obserwowano na przykład, że węże gwałtownie opuszczają swoje nory, szczury uciekały z kryjówek, a na krótko przed samym kataklizmem tygrysy w tiensińskim ZOO wpadły w panikę i usiłowały wyrwać się z klatek. Tego typu obserwacje notuje się zawsze w miejscach nawiedzanych przez trzęsienie ziemi. Ale mimo, że o tym wiadomo, nie zawsze się z takich ostrzeżeń korzysta. Podobne obserwacje poczyniono na przykład w Skopje przed trzęsieniem ziemi, które zniszczyło miasto w 1963 roku.

Uczeni nadal intensywnie pracują nad poznaniem przyczyn trzęsienia ziemi i ustaleniem możliwie precyzyjnych objawów, które ostrzegałyby ludność przed grożącym niebezpieczeństwem. Jednakże wśród uczonych nie ma zgodności i występuje wielka podejrzliwość wobec tych, którzy wysuwają zbyt śmiałe hipotezy. Dość znany jest przypadek dyrektora Obserwatorium Sejsmograficznego w Faenzie — **Rafaela Bendandi**, który dla przewidywań skutków na ziemi analizuje położenie... gwiazd. A jednak powoli coraz silniej zaczyna utrwalać się przekonanie, że wiele zjawisk na Ziemi nie dokonuje się bez wpływu sił z Układu Słonecznego.

Wspomniałem już, że zignorowano ostrzeżenia w przypadku Skopje, Turcji i Peru. Otóż autorem tych ostrzeżeń był właśnie **Rafael Bandandi.** I nie pomylił się. Czy pomylą się **John Gribbin** i **Stephen Plagemann**, którzy w książce „Jupiter's effekt" zakładają, że **w 1982 roku ziemię nawiedzą liczne i silne trzęsienia ziemi, a jedno z nich zniszczy Los Angeles?** Wpływ na te zjawiska będzie miał... Układ Słoneczny. W tym bowiem czasie — jak wynika z obliczeń NASA — wszystkie planety Układu Słonecznego ustawią się niejako w szeregu po jednej stronie Słońca. Wtedy nastąpi zsumowanie się różnych wpływów i oddziaływań na Ziemię i to może stać się przysłowiową kroplą wyzwalającą różne siły na Ziemi.

„Nie twierdzimy bynajmniej — powiedział John Gribbin w wywiadzie dla „Realites" — **że ustawienie się planet w jednym rzędzie jest przyczyną bezpośrednią i jedyna trzęsień Ziemi. Uważamy tylko, że zjawisko to pozwala określić porę najbardziej sprzyjającą tego rodzaju katastrofom."**

A dlaczego właśnie w Los Angeles?

Znajduje się tam bowiem uskok San Andreas, ciągnący się przez 900 km, który został wprawiony w ruch w kwietniu 1906 roku, podczas trzęsienia ziemi w San Francisco. Zdaniem wielu uczonych obszar tego uskoku jest już dostatecznie „gotowy" do trzęsienia ziemi. **John Gribbin** tak to między innymi wyjaśnia:

„San Francisco przeżyło ostatnie trzęsienie ziemi w 1906 roku, a Los Angeles aż w 1857 roku. Najbardziej narażone na katastrofę — co może wydać się paradoksalne — są spokojne popękane tereny, poddawane długotrwałym naprężeniom. Wzdłuż północnego odcinka pęknięć, które wiążą się z trzęsieniem 1906 roku, naprężenia wewnętrzne gromadzą się od 70 lat. Ale wzdłuż pęknięć, jakie pozostały po trzęsieniu ziemi w 1857 roku naprężenia te gromadziły się z pewnością w tym samym rytmie, od około 120 lat. Stąd większe prawdopodobieństwo najbliższego wstrząsu w Los Angeles."

Ale w Los Angeles zbytnio się tymi prognozami nie przejmują. Jak zwykle.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

RECENZJE

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KSIĄŻKA POCZYTNA

Henryk Panas, niedawny laureat Nagrody Literackiej tygodnika „Kultura" za głośną powieść „Według Judasza" (w formie uwspółcześnionego apokryfu, którego rzekomym autorem jest uczeń-zdrajca, laickie spojrzenie na Chrystusa i wydarzenia ewangeliczne) wydał ostatnio dwie mikropowieści pod wspólnym tytułem „Krew na śniegu". Treścią ich jest, mówiąc najogólniej, walka z podziemiem zbrojnym nazajutrz po wyzwoleniu. Nie jest to, jak wiemy, pierwsza książka tego pisarza traktująca o ostatniej wojnie i bratobójczych walkach tuż po niej, o prawach wojny i okrucieństwie bądź agresora, bądź, jak tu, oddziałów, które zgrupowały się pod sztandarami wyłącznie totalnej negacji i których droga wiodła do nikąd. Nie pierwsza, gdyż ten pracowity, choć późno debiutujący pisarz, poza powieściami z życia współczesnej wsi, jak „Grzesznicy", jest autorem takich powieści i tomów opowiadań wojennych, jak „Człowiek z karabinem", „Zagubieni w lesie", „Prawo wojny" czy wydana przed dwoma laty w łódzkiej oficynie obszerna powieść o froncie wschodnim drugiej wojny światowej „Georg Wyka".

Obie mikropowieści, które przychodzi mi omówić (wznowiona „Na krawędzi nocy" i tytułowa „Krew na śniegu"), łączy nie tylko tożsamość czasu i podobieństwo losów oddziałów podziemia w ostatnich godzinach przed zbrojną likwidacją. W obu głównym węzłem dramatycznym jest konflikt sumienia. W „Na krawędzi nocy" w konflikcie z sumieniem znalazł się człowiek, który zdecydowanie i czynnie opowiedział się po stronie władzy ludowej. W „Krew na śniegu", przeciwnie — walkę duchową przeżywa szeregowy członek oddziału „leśnych". W pierwszym wypadku konflikt toczy się między poczuciem obowiązku obywatelskiego i partyjnego (alternatywa: wydanie, względnie ukrycie, dowódcy rozbitego oddziału leśnych) a zrozumiałą abominacją do wydania, złożonymi względami — nazwijmy je — osobistymi i może przede wszystkim świadomością długu wdzięczności. Siła napędowa akcji drugiej powieści to konflikt wewnętrzny między wiernością przysiędze (bohater powieści nie jest jeszcze dojrzały do zrozumienia faktu, że przysięga złożona w innej sytuacji politycznej i z myślą o innym przeciwniku straciła swą moralną moc wiążącą) a elementarnym poczuciem sprawiedliwości, utratą zaufania do słuszności rozkazu dowódcy, wstrętem do okrucieństwa oraz — również tak je nazwijmy — względami osobistymi.

W obu wypadkach Panas nie ułatwia sobie zadania, nie ugładza i nie upraszcza przedstawionego konfliktu. Psychomytia przebiega tu zygzakami, bohaterowie (pozytywni) czynią chwilami, bądź skłonni są czynić, w swych postanowieniach krok wstecz, to znów drepczą w miejscu. Dalecy są od Cyda corneilleowskiego w jego pokazowym heroizmie i opisy ich rozterek niezbyt się nadają do czytanek podbudowujących nieletnią dziatwę. Zwłaszcza, że bohaterowie nie są w tych swych psychomytiach wyłącznie tylko najszczytniej bezinteresowni, gdyż w grę wchodzą wspomniane już względy osobiste (kobieta zaś, bohaterowie: krew, nie woda). Poza tym ich decyzjom ostatecznym (zasadniczo pozytywnym) nie towarzyszy ów właściwy klasycznej dydaktyce triumfalny nastrój happy-endu — zgodna świadomość autora, bohatera i czytelnika, że nad końcową decyzją nie unosi się cień kontrowersyjności i że jak ostatnio uwielbiamy „dowcipnie" mówić, „to jest to". Znamienne też, że obaj bohaterowie, ludzie czasu, posiadając np. umiejętność bezbłędnego rozumowania w skomplikowanych warunkach w takich materiach, jak stopień ryzyka czy rachunek prawdopodobieństwa sukcesu w wyrwaniu się straży czy obławie — jednocześnie wykazują absolutną niemożność wspierania się w swych błądzeniach po omacku w mgle niepewności o racje z dziedziny alternatyw ideologiczno-politycznych. Panas bowiem posiada rzadką u dzisiejszych zaangażowanych autorów świadomość faktu, że arsenał obiegowych argumentów politycznych nie należy do zakresu wiedzy objawionej, lecz jest kategorią historyczną. Jak najdalszy był również od zamiaru pokazania nie ludzi pełnowartościowych, lecz tylko wyrazicieli definiowanych poglądów.

Każde z tych stwierdzeń co wyżej stanowi pochwałę rzetelności autora, jego pamięci historycznej i umiejętności kreowania postaci żywych i konfliktów niepapierowych. Przykro mi, że jakoś nie umiem w obu powieściach dopatrzeć się stron słabych — przynajmniej w rozmiarach zasługujących na wymienienie ich bez czepiania się. A że walorów powieści jest jeszcze multum i trochę, więc dalej tylko już jednym tchem.

Bohaterów określa nie prezentacja autorska, lecz działanie, reakcje, zachodzące w świadomości, a także język dialogów — nie cenzurowany przez pruderię, za to absolutnie przylegający do mentalności, kultury i przede wszystkim ich aktualnego stanu psychicznego. Akcje zarówno zewnętrzne, jak i psychomytie, toczą się dynamicznie, przyspieszane i zwalniane w doskonałej zgodności z prawami dramaturgii (Panas jest również autorem utworów scenicznych), dzięki czemu i te i inne książki autora „Według Judasza" — jak mawia i chce, żeby w ślad za nim mawiano, „popularny" (rzekomo) „Przekrój" — „czyta się". Imponuje swoboda Panasa, z jaką obraca się (realia obyczajowe, językowe i dokładna wiedza o tak nawet specyficznych sprawach, jak regulamin służby obozowej u „leśnych" czy zjawiska z mikropsychologii człowieka poddawanego drakońskiej chłoście w zróżnicowanych i bardzo nieraz specyficznych zamkniętych środowiskach czasu minionego. Panas jest wreszcie mistrzem wyjątkowo trudnej, wbrew pozorom, stylistyki zdania krótkiego, obywającego się niemal bez metafory, zwłaszcza wyszukanej, a spełniającą wymogi plastyczności przez celność nazwania wprost. Dzięki temu styl Panasa nabiera właściwości charakterystycznych dla przedmiotów przezroczystych, tzn. nie dostrzegamy go jako wszechobecnego pośrednika w przekazywaniu dziejącego się bądź oglądanego przez postacie książkowe. Jest to stylistyka i wyjątkowo trudna, i obca modzie na epatowanie czytelnika kwiecistością i paradoksalnym zderzaniem stwierdzeń zaszokowanych swym sąsiedztwem.

Mamy więc do czynienia z utworem doskonałym w swoim gatunku. Określmy gatunek expressis verbis: realistyczna proza wojenna poruszająca problematykę moralną, nie posiadająca ambicji przewracania do góry nogami poetyk zastanych.

Doskonałość warsztatowa dylogii Panasa każe wróżyć „Krwi na śniegu" pełny sukces czytelniczy — bynajmniej nie pierwszy w biografii tego pracowitego pisarza. Czy jednak ta nowa książka wynoszonego przed paru laty pod niebiosa laureata Nagrody Tygodnika „Kultura" zostanie zauważona przez „liczącą się" krytykę?

Obym był fałszywym prorokiem, lecz nie jestem w tym względzie optymistą. Co innego, gdyby Panas wydał z kolei w ślad za „ewangelią", „Według Judasza" powieść, dla przykładu, o Zoroastrze, z Zarathustrą jako narratorem. A do tego jeszcze, gdyby była to książka możliwie najmniej czytelna! Tymczasem Panas dał książkę o pistolecie maszynowym i rozterce czy zmianie postawy, a to przecież gatunek tematyczny ociupinę tylko wyżej ceniony przez cmokierów literackich niż powieść, co nie pomija na swych kartach spraw związanych z produkcją i halą maszyn. Co gorsza, dał utwory, których poetyka mieści się w zasadzie w strukturach wyszczególnionych w badaniach Borysa Tomaszewskiego z czasu pracy nad jego „Krótkim kursem poetyki", choć skorygowanych przez zdobycze prozy amerykańskiej tzw. męskiej, osnutej na doświadczeniach z trzech ostatnich wojen, w których amerykańskie oddziały brały udział, a która to proza też nie jest już ostatnim krzykiem mody w naszym kraju. Obym więc był fałszywym prorokiem!...

Henryk Panas „Krew na śniegu" — 1976 „Pojezierze", cena 30 zł.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

WSZYSTKIE NASZE DZIENNE GRZECHY

Ten nieco przesadzony tytuł felietonu obliczony jest na zafrapowanie czytelnika, w gruncie rzeczy wołowej skóry nie starczy, aby wymienić nasze wszystkie i codzienne grzechy. Wymienię z braku miejsca tylko niektóre, bardziej — jak mi się zdaje — charakterystyczne.

Grzech u nas pierwszy, silniejszy chyba niż nałóg palenia, a może nawet i picia, to całkowita niemal utrata zdolności rozróżniania pomiędzy obowiązkiem i zasługą. Przeczytałem w kieleckim organie prasowym, że w tamtejszej Komendzie Miejskiej MO — cytuję: „odbyła się uroczystość nagrodzenia Piotra Nowaka — dozorcy, który spełnił obywatelski obowiązek". Budująca wiadomość. Jakiego to chwalebnego czynu dokonał ów Nowak, za co zyskał aż takie uznanie? Otóż do sklepu spożywczego przy ulicy Wilhelma Piecka w Kielcach włamali się złodzieje. Nowak dostrzegł ich, wykazał błyskawiczny refleks, pobiegł szybko do automatu i spokojnie zawiadomił milicję. Za ten telefon otrzymał nagrodę, dostał się na łamy organu, uczestniczył w owacjach na swoją własną cześć jako obywatel wyróżniający się ofiarnością bezinteresowną. Tyle tylko, że Nowak był zatrudniony w tym właśnie sklepie i miał w etacie obowiązek strzeżenia go przed złodziejami. Cóż tedy uczynił? Wypełnił przewidziany umową o pracę obowiązek zawodowy czy dokonał czynu godnego nagrody i społecznego uznania? Jeżeli to drugie — będą zapewne wręczane nagrody krawcom za szycie ubrań, kierowcom za prowadzenie samochodów, kelnerom za podawanie wódki, a wszystkim innym z tego powodu, że przychodzą do pracy. Z czasem znikną więc obowiązki, pozostaną tylko zasługi.

A grzech drugi polega na niezwykle szybkim wynaradawianiu się Polaków, niemal tuż po przekroczeniu granicy. Wysłano naszych narciarzy i biathlonistów do Finlandii, żeby trochę potrenowali, no bo sukcesów od lat ze świecą szukać. Celnicy fińscy znaleźli u naszych rodaków 255 butelek wódki. Rzecz byłaby całkiem normalna gdyby nie to, że krajanie uporczywie twierdzili, jakoby wódka służyła w Polsce do smarowania nart. Pomyśleć tylko, ledwie przekroczyli granicę i już zapomnieli, do czego służy Polakowi wódka. Ekipę zawrócono do kraju po naukę, słusznie, ale grzech się rozprzestrzenia. Setki tysięcy obywateli jeździ każdego roku w różne części świata i opowiada nie tylko o smarowaniu nart, ale lekarskich właściwościach wódki, drobnych przyjacielskich upominkach w ramach współistnienia ludzi o różnych gardłach lub też wyraża zdziwienie, skąd się tyle tego wzięło na jedną głowę, albo oświadcza, że nie wie, co to jest.

W tej dziedzinie zwróciła ostatnio uwagę godna postawa niejakiego Edwarda Barana ze Smardzewic. Zasłużył chłop na nagrodę. Uprowadził mianowicie lokomotywę ze stacji, ruszył żwawo przed siebie, zamkniętego semaforu nie zauważył, wpadł więc na drugą lokomotywę i obie solidnie potrzaskał. Zapytany o przyczynę kawalerskiej jazdy wyjaśnił, że dosiadł żelaznego smoka pijany, prosta rzecz, a w czasie jazdy zaprawił się do reszty, co potwierdziło badanie lekarskie — 3 promille alkoholu we krwi. Optymistyczny wniosek — a jednak rodzimy Baran pamięta do czego służy wódka, można więc mieć nadzieję, że z czasem coraz więcej zainteresowanych będzie mówiło prawdę, samą prawdę i tylko prawdę o alkoholach i ich właściwym zastosowaniu.

Trzeci grzech bardziej jest skomplikowany, ale także przynależy do gatunku powszechnych. Można go nazwać krytycznym stosunkiem do prawd jasnych jak słońce. Z końcem stycznia pojawiła się w „Sztandarze Młodych" notatka pod tytułem: „Rękopis Mickiewicza na wiejskim strychu?". A oto treść notatki: „Na strychu jednej z chłopskich zagród we wsi Krzywe (woj. chełmskie) natrafiono na unikalny i bardzo cenny historycznie egzemplarz „Ballad i romansów" Adama Mickiewicza wydany w Paryżu w 1828 roku. Znalezisko będące obecnie w dyspozycji kuratora oświaty i wychowania zostanie oddane specjalistom od literatury i języka z tej epoki, w celu dokonania ekspertyzy, która da odpowiedź, kto jest autorem tych wierszy".

Tyle notatka. Można z dużym szacunkiem dla prawdy przypuścić, że w związku z tak poważnym odkryciem wyjedzie na dłuższe badania do Paryża jedna ekipa, druga przebada tradycje recepsji Mickiewicza we wsi Krzywe, ustali, w jaki sposób zabłądził pod strzechy, trzecia spróbuje raz jeszcze ustalić, czy Mickiewicz rzeczywiście napisał „Ballady i romanse", no a specjalne kierownictwo badań przepuści zebrany materiał przez komputer, który wykryje, że te wiersze napisał Syrokomla. Koszta imprezy naukowo-badawczej mogą wynieść około miliona złotych. A można przecież dowiedzieć się prawdy od każdego licealisty za płytę z nagraniami Abby, albo wzywając go zwyczajnie do tablicy.

Z kosztami, być może trochę przesadzam, w jedną albo drugą stronę, ale nie z przedmiotem badań. Niedawno ogłoszono wyniki żmudnych badań naukowych, z których wynika, że ludzie chodzą do kina najczęściej jesienią i zimą, chętniej w soboty i niedziele niż powszednie dni tygodnia. Nie przesadzam także z komputerem. Ostatnio — na przykład — komputer pracujący dla Rejonu Energetycznego Poznań — Oddział Inkasa II kazał panu Tadeuszowi W. płacić 2.665 złotych za zużycie energii, chociaż nie płacił w swoim życiu więcej niż 400 złotych. Ten sam figlarny komputer zażądał od Marii Z. 1.561 złotych, chociaż nie zapłaciła dotąd więcej niż 200 złotych. Tak więc przemyślna maszyna nie bardzo umie kojarzyć osobisty interes obywatela z państwowym, podobnie jak badacze tożsamości „Ballad i romansów". A to duży i — niestety — dość powszechny grzech. Dowiedziałem się, że grupa specjalistów badała zmienne funkcje grzebienia we wczesnosłowiańskim okresie matriarchatu. Było to studium komparatystyczne, wymagające wyjazdów na zachód, wschód, północ i południe. Maszyny przejmują więc grzechy od ludzi, ale to kosztowna humanizacja.

Na zakończenie kilka grzechów językowych, którymi raczy nas od lat nasz rodzimy przemysł, tam bowiem skupili się nasi najwybitniejsi lingwiści. Zwis męski ozdobny — to u nich krawat. Palcochron stalowy — naparstek. Jednostronny zbijak — młotek.

W „Gazecie Robotniczej" przeczytałem takie hasło — „Człowieka nie wolno zezłomować". Czyżby?

TELEWIZJA

NOWE STUDIO — NOWE TWARZE

Studio 2 już nie jest monopolistą wśród bloków programowych — mamy od niedawna Studio 8. Ponieważ w tygodniu zostało jeszcze pięć wolnych dni, więc zapewne powstaną kolejne Studia 3, 4, 5, 6, i 7. Ale nie żartujemy — Studio 8 nosi taką nazwę, bo jest wynikiem współpracy ośmiu ośrodków telewizyjnych.

Start nowego bloku był bardzo udany. Dynamiką i pomysłowością — oraz dzięki postaci Edwarda Mikołajczyka — przypominał trochę Studio 2, ale to nic nie szkodzi, bo pierwowzór jest dobry. Publicystyczne i interwencyjne wartości „raportu o stanie dróg" są bezsporne. Wartości innych materiałów także z wyjątkiem nieciekawej ramoty z Wrocławia, przypominającej „przekrojowe" zagadki kryminalne dla szaradzistów.

Studio 8 zachowując wszystkie wartości dotychczasowego programu sobotniego, dostarczyło więcej materiału publicystycznego i reporterskiego o codziennych sprawach Polski i Polaków. Nowej inicjatywie Telewizji Polskiej można tylko przyklasnąć.

Ciekawie wypadła także ostatnia edycja „Dialogów o poezji" — z **Jalu Kurkiem.** Zresztą cała trójka uczestników programu znalazła wspólny język, jakąś wspólną wrażliwość i była to rozmowa fascynująca. Godnymi partnerami **Jalu Kurka** byli zarówno **Marina Niecikowska** jak i **Ignacy Gogolewski.** Wybitny aktor nie tylko czytał wiersze poety, ale w sposób niezwykle dociekliwy i mądry prowadził właśnie „dialog o poezji".

Gdyby Jalu Kurek mieszkał w Warszawie miałby szansę stać się „telewizyjną osobowością". Poeta jest znakomitym gawędziarzem, mówi pięknie a jednocześnie w jakiś prosty, niewymuszony sposób, zatrącając i o dowcip i o głębszą refleksję. Wszystko to bez taniej, sztampowej dydaktyki i bez mentorstwa. Ci, którzy nie doczekali późnej godziny i „Dialogów o poezji" nie widzieli — niech żałują. Stracili jedną z lepszych audycji literackich ostatnich tygodni. Ale — niestety — Jalu Kurek mieszka w Krakowie i nie należy do żelaznej kadry stołecznych bon vivantów, którzy bawią nas (czasem do rozpuku) perłami swoich złotych myśli — miotanych ze szklanego ekranu nieraz kilka razy tygodniowo.

Wśród seriali telewizyjnych coraz większą popularność zdobywają „Znaki szczególne" z **Bronisławem Cieślakiem.** Z pewnością serial ten nie osiągnie popularności „Dyrektorów" i „Daleko od szosy", ale jest to jeszcze jeden autentyczny i prawdziwy zapis współczesności — jej problemów i kłopotów. W filmie tym debiutuje krakowski dziennikarz Bronisław Cieślak, który później zagrał w dość nieudanym szlagierze **Krzysztofa Szmagiera** „07 zgłoś się". Przypadek zrządził, że telewizja filmy emitowała w kolejności odwrotnej — najpierw „07 zgłoś się".

Podobny tytuł nosił radziecki film o jednej nocy załogi karetki reanimacyjnej moskiewskiego pogotowia. Oglądając ten wzruszający, miejscami dowcipny, miejscami dramatyczny — a w ogóle bardzo ludzki i bardzo dobry film — dreszcz mnie przechodził na myśl, że jakiś nasz współczesny reżyser wziąłby na warsztat taki temat. Jakaż by z tego wyszła nudna chała! A przecież ten film należy do zupełnie przeciętnej — powiedziałbym powszedniej — produkcji radzieckiego kina. Nie jest żadnym wielkim arcydziełem. Ale różnica między naszą przeciętną produkcją, a produkcją radziecką jest zupełnie niewyobrażalna. W dalszym ciągu między Wajdą i Zanussim a zdecydowanymi niewypałami reżyserskimi jest ogromnie długa przerwa. — Po prostu brak nam dobrej, przeciętnej, powszedniej produkcji filmowej na przyzwoitym poziomie artystycznym i intelektualnym.

TELEMAN

FILM

KONFRONTACJE

CZĘŚĆ III

Ostatni, trzeci tydzień Konfrontacji. Uwaga ogólna — odsiedzenie w kinie, z małymi przerwami dzień po dniu, 21 seansów, przekracza możliwości każdego kinomana, a także przyzwyczajonego do takich szaleństw filmowego recenzenta. Uwaga druga — sytuacja taka czyni z mózgu sieczkę oraz przytępia wszelką wrażliwość emocjonalną, co w sumie raczej nie sprzyja poznawczo-wychowawczo-estetyczno-rozrywkowym celom wpisanym w taką czy inną ideę Konfrontacji. Uwaga trzecia — zabrakło w tegorocznych Konfrontacjach bodźców, które pozwoliłyby sytuacji tej po części choćby przeciwdziałać; kilka jaśniejszych punktów tej imprezy nie ocaliły jej. Uwaga czwarta — zakładając nawet, że nikt nikogo nie zmusza do kupna karnetu na wszystkie trzy zestawy, można stwierdzić, że stworzono sytuację, w której repertuar Konfrontacji niewiele różnił się od tego, co w kinach w normalnym ich repertuarowym biegu oglądać można. Dlatego też, jak nigdy, pustawo było w tym roku w kinach wytypowanych dla celów tej imprezy. I tu uwaga ostatnia — to, o czym naprawdę gorąco i żywiołowo dyskutowało się w czasie Konfrontacji, prezentowano naszej publiczności poza ich repertuarem. Dwa polskie filmy ostatniego miesiąca ratują w oczach tej publiczności honor kina w ogóle. Sądzę, że spostrzeżenia te podziela większość widzów tegorocznych Konfrontacji, większość też życzyć sobie będzie innego ich kształtu w roku przyszłym.

Na koniec sprawozdawczego serialu kilka uwag o kilku filmach ostatniego tygodnia. Zwróciły w nim uwagę dwa filmy, które, zdaniem krytyki, tak skłonnej do pospiesznie czynionych kwalifikacji, reprezentują nurt „magicznego realizmu". Myślę o kubańskiej „Kantacie o Chile" Humberta Solasa i senegalskim filmie „Niemoc", którego reżyserem jest Ousmane Sembene. Pojęcie „magicznego realizmu" ukuła oczywiście europejska krytyka, akcentując w ten sposób niezwykłość dzieł, w których do głosu dochodzą elementy kultur egzotycznych. Sprawiają one, że w fabułach, często realistycznie przedstawiających zdarzenia, odnaleźć można coś niepokojącego nas swymi wieloznacznościami. Wynika to zapewne z naszej niewiedzy, niemożności rozszyfrowania pewnych znaków przynależnych obcej nam kulturze. W filmach tych uderza i fascynuje ich sposób obrazowania, gwałtowność, naturalizm, często okrucieństwo, bogactwo nierozpoznawalnych alegorii i symboliki oraz bogactwo obyczajowego szczegółu. Szczególnie interesujący wydał mi się film z Senegalu, który, poza swą artystyczną dojrzałością i niezwykłą egzotyką, zaskoczył samą problematyką. Od rodzących się kinematografii krajów afrykańskich oczekiwać by można samych gloryfikacji zdobyczy wyzwolonych narodów. Tymczasem „Niemoc" okazała się filmem ostrej krytyki społeczno-politycznej i moralnej, odsłaniającej problemy i słabości nowo powstałych państw afrykańskiego kontynentu. Niezwykle ciekawy to film.

Bardzo pięknym filmem ostatniego tygodnia był hiszpański „Nakarmisz kruki" Carlosa Saury, przedstawiciela grupy hiszpańskich intelektualistów, zbuntowanych przeciwko społecznej i politycznej rzeczywistości swego kraju. Znamy Saurę jako autora wnikliwych analiz tej rzeczywistości („Polowanie") i twórcę znakomitych dramatów psychologicznych („Anna i wilki", „Mrożony pepermint"), w których jednak metafory służą podobnym analizom. Film „Nakarmisz kruki" nie ma tej ostrości społecznej, o której tu mowa. Posiada jednak tę samą aurę dusznych i dwuznacznych sytuacji psychologiczno-moralnych. Odnajdujemy w nim to samo, co we wcześniejszych filmach: zatarcie granic między realnością a światem tajemnicy, złudzeń i marzenia, służące odkrywaniu mroków jednostkowej egzystencji, nie pozostającej bez związków z mrokami życia społecznego. Mała bohaterka filmu w tragicznych doświadczeniach poznaje życie z całym jego okrucieństwem. Prowadzi to do pewnych psychicznych dewiacji. Analiza tych okoliczności znajduje w filmie Saury przejmująco piękny kształt, pełen sugestywnych i intensywnych obrazów, w których przenikliwość spojrzenia i wyobraźnia tego niezwykle wrażliwego dziecka łączy w jedno świat realny ze światem wyobrażeń.

Nadziei na film ciekawy nie zawiódł też laureat „Złotej Palmy" w Cannes, czyli „Taksówkarz" Martina Scorsese. Film przynosi wstrząsający obraz zdeprawowanego miasta, miastem tym jest Nowy Jork. Pełen zbrodni i przemocy, w swe piekło wciąga tych, którzy w nim żyją. Film jest przejmującym opisem stopniowej degradacji psychicznej człowieka. Obarczony wietnamskimi wspomnieniami, zagubiony w świecie prowadzącym do zewnętrznej i wewnętrznej dezintegracji, przytłoczony doświadczeniami, pragnie działać. Działanie to określone jednak zostaje obsesją przemocy i gwałtu, sił towarzyszących całemu jego życiu. W „Taksówkarzu", jak i w wielu innych współczesnych filmach amerykańskich, uderza niezwykły zmysł obserwacji ujawniający anomalie życia społecznego, przejmujący realizm, mistrzostwo analiz obyczajowych i psychologicznych, związanych ze wspaniałym aktorstwem oraz błyskotliwość realizatorskiego warsztatu.

Ostatni film „Konfrontacji" — „Sam na sam", debiutującego w roli reżysera Andrzeja Kostenki umyka, z powodu terminów redakcyjnych, z tej relacji. Będzie o nim okazja jeszcze pisać, tak jak o większości sprawozdawczo tu jedynie traktowanych filmów Konfrontacji.

EWA NURCZYŃSKA

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA (1)

ANDRZEJ BLAJER

ALEX, MONTY I EL ALAMEIN

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Historiografia II wojny światowej liczy już sobie tyle różnorodnych pozycji wojskowo-historycznych, naukowych analiz i syntez, opracowań dokumentalnych, pamiętników, iż wydawać by się mogło, że trudno dodać coś jeszcze do tego, co już zostało powiedziane i napisane. A jednak nadal, pomimo upływu niemal 32 lat od chwili zakończenia wojny, pojawiają się wciąż nowe fakty, które niekiedy dość istotnie korygują obraz głównych wydarzeń tamtego okresu. Niewątpliwie dużą rolę pod tym względem, abstrahując oczywiście od licznych prac naukowych, studiów wojskowych, zbiorów dokumentów itp., odgrywa literatura wspomnieniowa, zwłaszcza, jeśli autorami pamiętników są ówcześni wyżsi dowódcy, którzy kreślą własny obraz znanych operacji, bitew i wydarzeń wojennych. Choć częstokroć jest to spojrzenie subiektywne, bo żaden z autorów nie będzie przedstawiał swojej osoby w niekorzystnym świetle, choć ocena wydarzeń, które były ich udziałem jest dość zróżnicowana, trudno zaprzeczyć, że wnoszą one wiele nowych, wartościowych informacji tak dla badaczy jak i szerokiej rzeszy osób interesujących się historią II wojny światowej. Innym również cennym źródłem wielu nowych lub mało znanych faktów są powstające od lat monografie poświęcone wielkim kampaniom, operacjom i dowódcom, którzy je prowadzili. Niedawno, z dużym zainteresowaniem przeczytałem jedną z takich właśnie prac. Jest nią książka pióra angielskiego historyka Nigela Nicolsona zatytułowana „Alex", w której autor kreśli sylwetkę znanego brytyjskiego dowódcy z okresu ostatniej wojny, marszałka H. R. Alexandra.

Nazwisko **HAROLDA RUPERTA ALEXANDRA** na trwałe zapisało się w historii II wojny światowej, choć może postać ta jest czytelnikowi polskiemu nieco mniej znana, niż tacy czołowi dowódcy zachodnioeuropejskiego teatru działań wojennych, jak: **Dwight Eisenhower, Bernard Montgomery, Omar Bradley, George Patton.**

HAROLD ALEXANDER pochodził z zamożnej rodziny angielskiego patrycjatu. Toteż jego drogą życiową, podobnie jak wielu innych ludzi z jego sfery, wiodła przez: elitarną szkołę w Harrow, uniwersytet w Cambridge, służbę w gwardii. Okazało się przy tym, że ze swym stylem bycia, typowym dla angielskiego gentlemana, łączył duży talent wojskowy i solidną wiedzę. Lata pierwszej wojny światowej spędził jako młody oficer, w błotnistych okopach Flandrii. Powszechnie znaną postacią stał się w końcowej fazie kampanii francuskiej w 1940 roku, kiedy jako świeżo mianowany dowódca I korpusu uratował resztki wojsk brytyjskich ewakuujących się spod Dunkierki. Ponownie odznaczył się podczas walk z Japończykami w Burmie. Zyskał sobie wówczas opinię nieustraszonego żołnierza, człowieka umiejącego panować nad nerwami nawet w najcięższych sytuacjach.

Później przyszła **wojna w Afryce.** Sytuacja Anglików w tym rejonie stawała się coraz trudniejsza. **21 czerwca 1942 roku upadł Tobruk.** Wyczerpane uciążliwymi walkami wojska 8 armii brytyjskiej wycofały się na pozycje obronne pod El Alamein, miejscowość położoną o ok. 60 mil od Aleksandrii. Wojska włosko-niemieckie stały więc u wrót Bliskiego Wschodu, stanowiącego niezwykle żywotny obszar Imperium Brytyjskiego. Szczególnie newralgicznymi punktami były: Kanał Sueski i złoża naftowe Zatoki Perskiej. Dowództwo brytyjskie obawiało się, iż w wypadku powodzenia niemieckiej ofensywy na południu ZSRR i załamania się frontu kaukaskiego, może nastąpić uderzenie przez Kaukaz w kierunku Zatoki Perskiej. Jednocześnie gdyby korpusowi feldmarszałka Rommla udało się pokonać armię brytyjską rozlokowaną na owym 60-milowym obszarze od El Alamein do Nilu, przed wojskami wroga stanęłyby otworem: Palestyna, Syria, Irak, Iran i mogłyby one dotrzeć bez przeszkód do południowych granic ZSRR. W ten sposób, jak przewidywali Anglicy, zamknęłyby się niemieckie kleszcze, a dalsza droga do Indii i na spotkanie z Japończykami, byłaby już praktycznie wolna. Oczywiście Związek Radziecki, nie mniej niż alianci zachodni, zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa i starał się nie dopuścić do poważnego zagrożenia swych pozycji na Kaukazie, wiedząc doskonale, że porażka w tym rejonie będzie zarazem katastrofą dla całego Bliskiego Wschodu.

Na początku sierpnia 1942 roku do Egiptu przybył premier Winston Churchill w towarzystwie szefa Sztabu Imperialnego, gen. Allana Brooke'a. Celem wizyty było przeprowadzenie zmian na czołowych stanowiskach dowódczych w brytyjskich siłach zbrojnych tego rejonu. W miejsce zdymisjonowanego gen. Auchinlecka, dowódcą wojsk na Środkowym Wschodzie i w Afryce mianowano gen. H. Alexandra, zaś dowódcą 8 armii — gen. B. Montgomery'ego. Początkowo na dowódcę 8 armii był przewidziany generał Henry Gott, lecz 7 sierpnia zginął w samolocie zestrzelonym przez Niemców.

Wydarzenia, które wkrótce rozegrały się na północnoafrykańskim teatrze działań wojennych, a zwłaszcza słynna bitwa pod El Alamein, były niejednokrotnie opisywane i ich przebieg jest dość dokładnie znany również czytelnikowi polskiemu. Toteż wydaje się, iż bardziej interesujące byłoby pokazanie kulis całej operacji od strony decyzji i działań podejmowanych w trakcie trwania kampanii przez generałów Alexandra i Montgomery'ego. Stosunki między tymi dwoma oficerami, jak też ich role w tej krytycznej fazie wojny, były zawsze zagadką. Dzięki wspomnianej na wstępie książce mamy możność bliższego ich poznania, co ułatwia zrozumienie wielu faktów, jakie wówczas miały miejsce. Istniała bowiem i nadal jeszcze istnieje na Zachodzie tendencja do wyolbrzymiania znaczenia bitwy pod El Alamein, którą określa się często jako punkt zwrotny wojny, porównując z radzieckim zwycięstwem pod Stalingradem. Mit, jaki wokół niej narósł, łatwo pryska, jeśli przypatrzyć się dokładniej działaniom brytyjskiego dowództwa, a zwłaszcza gen. Montgomery'ego.

* ☆ *

Wieczorem, 10 sierpnia 1942 roku, Alexander spotkał się w Kairze z Churchillem. Pod koniec rozmowy Churchill napisał na niebieskiej kartce z nadrukiem brytyjskiej ambasady:

„Dyrektywa dla generała Alexandra, naczelnego dowódcy na Środkowym Wschodzie:

1. Głównym obowiązkiem pana jest zniszczenie wojsk niemieckich i włoskich dowodzonych przez marszałka Rommla. Dotyczy to również posiadanych przez te wojska baz zaopatrzeniowych w Egipcie i Libii.

2. Zrezygnuje pan z wszelkich innych obowiązków, które mogłyby kolidować z wymienionym wyżej zadaniem. Jest ono uznane za mające najwyższe znaczenie dla Brytyjskiej Korony.

W.S.C. 10.8.42"

Tego samego wieczora Churchill odleciał na spotkanie ze Stalinem, a w dwa dni później przybył do Kairu Montgomery. Gen. Auchinleck był jeszcze formalnie dowódcą wojsk Środkowego Wschodu. On i jego szef sztabu, gen. Corbett, mieli przekazać swe funkcje 15 sierpnia. Montgomery uzgodniwszy z Alexandrem, iż nie może być mowy o wycofaniu się z El Alamein, wysunął projekt utworzenia z jednostek 8 armii odwodowego korpusu pancernego i zaproponował przedyskutowanie tej sprawy z zastępcą szefa sztabu sił zbrojnych Środkowego Wschodu.

Generał major John Harding, zastępca szefa sztabu, tak oto relacjonuje swe pierwsze spotkanie z obu wymienionymi dowódcami:

„O zmianach personalnych na szczeblu dowodzenia dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy mój adiutant zameldował: „Naczelny Dowódca chce z Panem rozmawiać". W gabinecie dowódcy zastałem taki oto widok: za biurkiem siedział Monty, na biurku, machający niefrasobliwie nogami, Alex. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, jakie są ich służbowe stanowiska.

Monty, który pamiętał mnie z Akademii Sztabu w Camberley, gdzie był moim wykładowcą, przedstawił mnie Alexowi: „Zna Pan generała Alexandra?". Widziałem go wtedy pierwszy raz w życiu, ale oczywiście znałem go dobrze ze słyszenia.

„John — powiedział Monty — jest Pan tutaj już dość długo. Niech Pan nam opowie wszystko o aktualnej sytuacji".

Następnie zostałem poddany czemuś, co można by określić jako przepuszczenie przez wyżymaczkę. Alex w gruncie rzeczy nie uczestniczył w tej rozmowie. W końcu padło pytanie: „Czy może Pan zorganizować dwie dywizje pancerne, doświadczone w walkach na pustyni oraz jedną zmotoryzowaną dywizję piechoty?".

„A do tego zabezpieczyć front" — wtrąciłem. „Tak jest, oczywiście" — podchwycił Monty. — „Sądzę, że mogę to zrobić" — oświadczyłem.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, Harding przedstawił plan operacyjny oparty na koncepcji, jaką wysunął Montgomery. Zaproponował w związku z tym utworzenie X korpusu pancernego złożonego z trzech dywizji pancernych i jednej zmotoryzowanej. Montgomery nie ukrywał, że poczuł się mocno w siodle. Charakterystyczny jest przy tym pewien fakt, który w przyszłości cechował całą dalszą współpracę Monty'ego z Alexem. Odpowiednie decyzje zapadały wprawdzie w obecności Alexandra, ale bez jego wyraźnej ingerencji. W ten sposób ukształtował się między obu dowódcami taki stosunek, który, jak zauważa Nigel Nicolson, **„najzupełniej im odpowiadał"**, dodajmy — a na pewno Montgomery'emu.

W swoich pamiętnikach Montgomery podkreśla ogromną wagę decyzji obrony El Alamein, stawiając tym samym w niekorzystnym świetle plany gen. Auchinlecka i zarazem eksponując doskonałość własnych koncepcji. Pisze on, że plan operacyjny Auchinlecka opierał się na założeniu, iż:

„8 armię za wszelką cenę trzeba oszczędzać i nie wolno jej narażać na wyniszczenie w bitwie. Jeśli Rommel uderzy pełną siłą, czego się wkrótce spodziewano, 8 armia wycofa się w rejon delty Nilu, a gdyby ani tego rejonu, ani Kairu nie można było utrzymać — odejdzie na południe w górę Nilu. Alternatywę stanowił odwrót do Palestyny. Obecnie planowano przerzucenie dowództwa 8 armii w górę Nilu".

„Słuchałem tego zdumiony" — dodaje Montgomery. O tym jednak, iż rzeczywiście wierzył w taką naciągniętą interpretację faktów, świadczy jego notatka sporządzona tuż przed bitwą o El Alamein:

„Istniało założenie, że jeśli Rommel zaatakuje, nastąpi odwrót... Odpowiednie rozkazy zostały wydane... Gdyby w początkach sierpnia nie nastąpiły zmiany na szczeblu dowodzenia, straciłibyśmy Egipt... Zmieniłem te plany w sposób zasadniczy, w konsekwencji czego Rommel został odparty".

W rzeczywistości nie było żadnych takich rozkazów. Nie było też **„zasadniczej zmiany planów".** Claude Auchinleck zamierzał dokonać odwrotu jedynie w ostateczności, w celu uratowania swej armii po ewentualnie przegranej bitwie. Bynajmniej nie leżało w jego zamiarach wycofanie się już na samą wiadomość o ataku Rommla. Oczywiście, wzniesione zostały fortyfikacje w delcie Nilu na wypadek, gdyby Rommlowi udało się dokonać wyłomu. Alexander nie tylko zaakceptował budowę tych fortyfikacji, ale wręcz przyśpieszał ich wykończenie. Było rzeczą zrozumiałą, że zarówno Auchinleck, jak i Alexander poczynili takie przygotowania. Jednakże nie świadczyło to wcale o tym, iż którykolwiek z nich zakładał z góry nieuniknionym odwrót.

Oto, co w gruncie rzeczy głosi Auchinleck:

„8 armia będzie walczyć tak długo, jak będzie to możliwe na linii Alamein. Jednakże w razie powstania krytycznej sytuacji nie pozwoli się ona wyniszczyć w walkach na pustyni, lecz cofnie się, celem połączenia z siłami zajmującymi stanowiska w Delcie".

Z kolei plan Alexandra i Montgomery'ego przewidywał, jak podaje N. Nicolson, iż:

„8 armia w żadnym razie nie cofnie się spod Alamein. Jeśli zostanie tam pokonana, to system obrony w Delcie może być dla niej tymczasową linią oporu, lecz sytuacja tego rodzaju będzie równoznaczna z przegraniem kampanii. Zwycięzcą będzie w takim wypadku Rommel. Dlatego też El Alamein musi być bronione do końca. Trzeba sobie jasno uświadomić, że jest to nasza ostateczna linia oporu".

Mniej głośne, ale bardziej zacięte niż polemiki wokół „rozkazu odwrotu" są kontrowersje związane z akcją w rejonie Alam el Halfa. Istnieje mianowicie teoria, że Montgomery przypisał sobie autorstwo planu gen. Auchinlecka, który zakładał stworzenie tam głównego punktu obrony. Otóż zarówno Auchinleck jak i później Montgomery słusznie przypuszczali, że Rommel zechce zaatakować właśnie w tym rejonie. Obaj zdawali też sobie sprawę ze znaczenia tego górującego nad pustynną płaszczyzną rejonu.

Auchinleck skierował tam brygadę, a Montgomery całą dywizję. Na tym kończy się podobieństwo obu koncepcji. W dniu 30 lipca generał Auchinleck oświadczył, że istotą jego planu jest elastyczność i ruchliwość działania, co oczywiście implikowało ewentualność odwrotu. Natomiast Montgomery stał na stanowisku, że o odwrocie nie może być mowy i że Alam Halfa musi być traktowana jako główna twierdza, a nie jako jeden z punktów defensywnego manewru.

„Sposób, w jaki bitwa pod Alam Halfa została przeprowadzona i wygrana, został zaplanowany przez Montgomery'ego. Zwycięstwo było niewątpliwie jego zasługą" — stwierdza autor książki „Alex".

Nikt oczywiście nie kwestionuje, iż bitwy pod Alam el Halfa i El Alamein były bitwami Montgomery'ego. Podkreślał to także przy różnych okazjach gen. Alexander. Zachodzi jednak pytanie, czy Alexander nie mógł mocniej kontrolować dowódcy 8 armii. Przecież, zgodnie z brytyjskimi ocenami strategicznymi, o których już wspomniano wcześniej, walka o Egipt była czymś znacznie więcej niż tylko bitwą o drogę wodną.

Jest sprawą bezsporną, iż zakres zadań Alexandra na całym Środkowym Wschodzie, zarówno z geograficznego jak i militarnego punktu widzenia, był ogromny. Jednakże walki na pustyni miały dla Wielkiej Brytanii tak wielkie znaczenie, że Churchill skłonny był pozostawić wszelkie inne działania „kwatermistrzom" i ministrowi stanu, Caseyowi. (N. Nicolson). Generał Brooke z wielkim trudem zdołał odwieść Churchilla od powierzenia Alexandrowi bezpośredniego dowództwa nad kampanią na pustyni. Wiedział bowiem doskonale, że gdyby Alexander objął osobiście dowództwo nad kampanią, jego stosunki z Montgomerym stałyby się nie do zniesienia. Brooke przewidywał, nawiasem mówiąc, że Alexander nie będzie się wtrącał nadmiernie w działalność Monty'ego, i m. in. z tego właśnie powodu gorąco popierał jego nominację na miejsce gen. Auchinlecka. Zdawał on sobie sprawę, że duet Auchinleck — Montgomery byłby klęską.

Generał Alexander — jak pisze Nicolson — widział swą rolę całkiem jasno. Po uzgodnieniu z Montgomerym planów defensywy i następnie kontrofensywy pozostawił mu ich szczegółowe wykonanie. Sam zajął się zabezpieczeniem zaplecza Monty'ego, początkowo w sensie wojskowym, a następnie administracyjnym i politycznym.

Opanował dość szybko specyfikę środkowowschodniego rejonu operacyjnego i dokonując licznych, osobistych inspekcji, dbał o jak najlepsze wyposażenie oraz wyszkolenie wojsk, jak też o przygotowanie całego zaplecza dla decydującej bitwy, a następnie — blisko tysiącmilowego pościgu za przeciwnikiem.

Głównym powodem dymisji Auchinlecka było jego oświadczenie, że **„nie można będzie podjąć kontrofensywy przed połową września".** Ale oto teraz Alexander musiał przekonać Churchilla, iż kontrofensywę trzeba odroczyć do końca października. Twierdził on, iż napływających wojsk i sprzętu nie można rzucić natychmiast z okrętów na front. W okresie od 1 sierpnia do 23 października 1942 r. 8 armia wzmocniona została przez dodatkowe 41 tysięcy ludzi i 300 czołgów typu „Sherman". Zarówno żołnierzy jak i sprzęt trzeba było przygotować do walki.

Churchill, acz z niechęcią, zaakceptował w końcu nowy termin podjęcia kampanii. **„W ten sposób** — jak stwierdza Nicolson — **wszystko wzajemnie zazębiło się: strategia, administracja, wymaganie taktyczne oraz milczące porozumienie między dwoma ludźmi, na których ciążyła największa odpowiedzialność — między Alexandrem i Montgomerym, twórcą i reżyserem największego z dramatów pustyni".**

(dokończenie nastąpi)

U PRZYJACIÓŁ

PRAWDA O WYMIANIE KULTURALNEJ. Wybitny radziecki reżyser i aktor Sergiusz Bondarczuk opublikował w dzienniku „Izwiestia" obszerny artykuł, który jest odpowiedzią na zarzuty niektórych kół na Zachodzie, oskarżających Związek Radziecki o nieprzestrzeganie postanowień helsińskich odnośnie „trzeciego koszyka". Na wstępie Bondarczuk wyjaśnia dlaczego postanowił zabrać głos w tej sprawie: — „Fala antyradzieckich wystąpień podjęta ostatnio przez propagandę burżuazyjną, która wciągnęła w ten wir także niektórych znanych przedstawicieli literatury i sztuki na Zachodzie, zmusiła mnie do zajęcia stanowiska wobec zarzutów wysuwanych pod adresem mego kraju. Nigdy bowiem nie traktowałem siebie wyłącznie jako filmowca, zawód reżysera i aktora łączy się ściśle z działalnością społeczną".

Następnie autor artykułu przypomina, że w ciągu ostatnich 60 lat radziecka literatura i sztuka stworzyły wartości nieprzemijające, powszechnie uznawane nawet przez przeciwników ustroju socjalistycznego. Dorobek ten powinien zasługiwać na większą uwagę i bardziej obiektywną ocenę... W trakcie rozmów jakie prowadziłem kilkakrotnie w USA — pisze Bondarczuk — słyszałem często z ust naszych oponentów wzniosłe słowa na temat wolności w Ameryce, braku cenzury itp. Przypomniałem im wówczas casus Johna Reeda prześladowanego za to, że napisał prawdę o Związku Radzieckim, o „polowaniach na czarownice", o prześladowaniach intelektualistów przez Komisję Mc Carthy'ego, o oburzającej kampanii przeciw Chaplinowi, Brechtowi i innym. Zresztą o istnieniu cenzury amerykańskiej mogliśmy się przekonać na własnej skórze. Film Jurija Ozierowa „Wyzwolenie", zakupiony przez stronę amerykańską, wszedł na ekrany w okrojonej i odpowiednio „zredagowanej" wersji. Wyrzucono z niego tak dużo scen absolutnie niezbędnych i istotnych, że musieliśmy złożyć protest.

Działacze kultury ZSRR pragnęliby szczerze rozwijać normalne kontakty ze Stanami Zjednoczonymi — stwierdza S. Bondarczuk — jednakże wymiana kulturalna pojmowana jest tam jednostronnie. Świadczą o tym wymownie liczne fakty. Np. co roku zakupujemy ok. 60 filmów zachodnich, które wchodzą na ekrany we wszystkich republikach, są omawiane w prasie, zaś filmy radzieckie zakupione przez kraje zachodnie — z wyjątkiem jednego czy dwóch — nie zostają dopuszczone do szerokiego rozpowszechniania. Burżuazyjna prasa pomija je całkowitym milczeniem. Nasze filmy „Jak tu cicho o zmierzchu", „Sto dni po dzieciństwie" i wiele innych, nie weszły na ekrany kin w USA, mimo że podczas festiwali usłyszeliśmy dużo pochlebnych opinii na temat ich wartości humanistycznych i artystycznych. Natomiast szeroko propaguje się na Zachodzie filmy o zdecydowanej antyradzieckiej wymowie.

☆ ★ ☆

MONOGRAFIA SERGIUSZA RACHMANINOWA. W 35 rocznicę śmierci wybitnego radzieckiego kompozytora, dyrygenta i pianisty Sergiusza Rachmaninowa ukazała się obszerna monografia poświęcona jego życiu i twórczości. Autorką jest Wiera Briancewa, znany muzykolog. Z tej okazji recenzenci gazet przypominają sylwetkę wielkiego muzyka, podkreślając stale rosnące zainteresowanie jego dorobkiem. Utwory Rachmaninowa rozbrzmiewają w całym świecie, wchodzą do programów licznych międzynarodowych festiwali i konkursów, pojawiają się nowe nagrania płytowe. Również wielu wznowień doczekały się dotychczas opublikowane książki o Rachmaninowie.

☆ ★ ☆

TROSKA O ZABYTKI ARCHITEKTURY. W Związku Radzieckim pod opieką państwa znajduje się obecnie ok. 150 tys. zabytków architektury i sztuki. Ogłoszona ostatnio „ustawa o ochronie i wykorzystaniu zabytków historii i kultury" przewiduje rozszerzenie prac konserwatorskich prowadzonych w Moskwie i innych starych miastach rosyjskich. Tylko w stolicy ZSRR przeznaczono w obecnej pięciolatce na restaurację zabytków ok. 100 milionów rubli. Np. obecnie trwają prace konserwatorskie w zespole pałacowo-parkowym Kuskowo pod Moskwą (dawna rezydencja hrabiów Szeremietiewów) jednym z najcenniejszych zabytków architektury rosyjskiej XVIII wieku, zwanym „podmoskiewskim Wersalem". Koszt zakrojonej na szeroką skalę renowacji wyniesie ok. 7,5 mln rubli.

OD PISTOLETÓW PO KOMPUTERY...

Chociaż w 1974 roku Kongres Stanów Zjednoczonych podjął uchwałę zabraniającą udzielania jakiejkolwiek pomocy organom bezpieczeństwa wewnętrznego w innych krajach, USA nadal uzbrajają i udzielają konsultacji zagranicznym organom policyjnym, głównie za pośrednictwem kanałów handlowych. Działalność na tym polu rozwijają również Departament Stanu i ministerstwo sprawiedliwości za pośrednictwem Międzynarodowej Organizacji do Walki z Handlem Narkotykami.

I chociaż eksportu broni dla potrzeb policji nie można porównywać w sensie handlowym, z objętością handlu bronią dla celów wojskowych, to jednak wywiera on dużo większy wpływ na codzienne życie prostych ludzi, przede wszystkim w krajach z reżimami dyktatorskimi, gdzie policja odgrywa główną rolę w dławieniu wszelkiej opozycji. Z dokumentów w posiadaniu nowojorskiego tygodnika „Nation" wynika, że tylko w okresie minionych trzech lat producenci broni w USA sprzedali zagranicznej policji ponad 50 tysięcy pistoletów, 10 tysięcy pistoletów automatycznych i karabinów, 155 tysięcy granatów z gazem łzawiącym, 296 samochodów opancerzonych ze specjalnym oprzyrządowaniem, 6600 kanistrów płynnego gazu „meis" używanego do rozpędzania demonstrantów i in.

Nie zaniedbano także szkolenia kadr policyjnych. Na przykład kompania „Smith and Wesson" szkoli zagranicznych policjantów we własnej akademii w Springfield, w stanie Massachusetts, a „Federal Laboratory Incorporated" zorganizowała seminarium, na którym oficerów z zagranicznej służby wewnętrznej naucza się obchodzenia z bronią chemiczną. Chociaż Kongres USA wprowadził niedawno dalsze ograniczenia w sprzedaży sprzętu wojskowego za granicę, to jednak nie dotyczą one eksportu broni dla potrzeb policji, bowiem dostawy te jakoby rzadko przewyższają ustalone przez Kongres minimum poszczególnych transakcji wynoszące 7 milionów dolarów (transakcje powyżej tej sumy podlegają głosowaniu w odpowiedniej komisji kongresowej).

Wbrew postanowieniom Kongresu o zakazie udzielania pomocy wojskowej i ekonomicznej krajom, których rządy „stale i świadomie naruszają elementarne prawa człowieka", departament stanu i min. obrony USA nadal pomagają siłom policyjnym w Południowej Korei, Indonezji i innych krajach, w których naruszanie praw człowieka praktykuje się na szeroką skalę. Stany Zjednoczone zaczęły uzbrajać zagraniczne siły policyjne w roku 1954. Pierwszym krajem któremu okazano taką pomoc była Indonezja. Później analogiczną działalność rozwinęły USA w Południowym Wietnamie, gdzie operacyjni agenci CIA, pod etykietką grupy badawczej uniwersytetu w Michigan, wzięli na siebie zadanie zorganizowania aparatu policyjnego. Do 1962 roku amerykańskie Biuro Rozwoju Międzynarodowego (BRM) pomagało siłom policyjnym w 39 krajach. A prezydent Kennedy, dążąc do dalszego rozszerzenia tej działalności, powołał do życia tzw. Agencję Bezpieczeństwa Publicznego (ABP). Skierowała ona do 40 krajów świata ponad 400 tzw. „doradców do spraw bezpieczeństwa publicznego". Roczny budżet agencji wynosił ponad 50 milionów dolarów. ABP dostarczała zagranicznym organom policyjnym specjalny sprzęt wojskowy, szkoliła oficerów policji, zarówno w Waszyngtońskiej Międzynarodowej Akademii Policyjnej, jak i w innych ośrodkach szkoleniowych w USA, a także bezpośrednio w zainteresowanych krajach na specjalnych kursach przygotowawczych, pozostających pod kierownictwem amerykańskich specjalistów. Do 1975 roku, kiedy to ABP została zlikwidowana, zdążyła ona wyeksportować specjalne uzbrojenie dla policji na sumę ponad 200 milionów dolarów oraz wyszkolić w amerykańskich ośrodkach ponad 10 tysięcy oficerów policji, a „na miejscu", to jest na terytorium zainteresowanych krajów — co najmniej milion szeregowych policjantów.

Oficjalnym celem programu agencji było działanie na rzecz zwiększenia operatywności policji w zakresie utrzymywania porządku publicznego i poszanowania prawa. Ale to w teorii. W praktyce zaś był on ukierunkowany na walkę z siłami postępu oraz ruchami rewolucyjnymi za granicą. I tak, na przykład, oficjalne osobistości agencji wypowiedziały się za wykorzystaniem budżetu ABP do wzmocnienia sił bezpieczeństwa w krajach Trzeciego Świata. Oświadczono otwarcie, iż chodzi tu o zwiększenie ich efektywności w „wykrywaniu przestępstw, tłumieniu antypaństwowych wystąpień poszczególnych obywateli i organizacji oraz likwidowaniu w zarodku ich działalności". Dolary przeznaczano także do tłumienia wojowniczych wystąpień wszelkiego rodzaju: demonstracji, siania zamętu, a nawet drobnych partyzanckich operacji. Nic więc dziwnego, iż główną część środków agencji skierowano do krajów, w których proamerykańskie reżimy odczuwały szczególnie silny nacisk miejscowych sił rewolucyjnych, a więc do Południowego Wietnamu, do Syjamu, do Filipin, Gwatemali, Urugwaju i Brazylii. Tam agencja skoncentrowała uwagę na doskonaleniu bazy materialnej tzw. sił porządkowych. W Syjamie, na przykład, agencja zbudowała dla potrzeb miejscowej policji rozgałęziony system łączności telewizyjnej, w Brazylii zaś zmontowała scentralizowaną sieć komputerów. Ze szczególną skrupulatnością realizowano program bezpieczeństwa wewnętrznego w Południowym Wietnamie, gdzie agencja budowała więzienia, finansowała tajne służby policyjne, kierowała akcjami pacyfikacyjnymi.

Trzymanie tego „programu policyjnego" w tajemnicy stało się wreszcie niemożliwe. Byli pracownicy agencji i zdymisjonowani oficerowie armii USA musieli pod przysięgą opowiedzieć o torturach i zabójstwach dokonanych w Południowym Wietnamie. Zdymisjonowane osobistości oficjalne wiążą działalność ABP w Urugwaju z haniebnymi akcjami terrorystycznymi „batalionów śmierci". Grupa kongresmanów, wysłana do Dominikany i Gwatemali z zadaniem skontrolowania działalności agencji, doszła do wniosku, że jej program „przynosi poważne szkody polityczne Stanom Zjednoczonym, ponieważ w krajach tych politykę Waszyngtonu zaczęto utożsamiać z policyjnym terrorem". Ostatecznie, w wyniku rosnącego nacisku organizacji walki o prawa człowieka, w grudniu 1973 roku Kongres USA przyjął uchwałę zakazującą agencji wszelkich akcji szkoleniowych, a po wykryciu innych ciemnych spraw ABP — uchwalił wniosek o zaniechanie realizacji jakichkolwiek programów agencji.

Ale nawet późniejsze rozwiązanie agencji nie przeszkodziło działalności USA w rozwijaniu i umacnianiu represyjnej siły aparatów policyjnych w wielu krajach Trzeciego Świata. Pod szyldem międzynarodowego programu walki z handlem narkotykami, departament stanu dostarcza nadal policji broń i inny sprzęt wojskowy, jak również szkoli kadry aparatu policyjnego w większości tych krajów, które już wcześniej otrzymały pomoc w ramach programu agencji. Wielkość tej pomocy rosnie. Mało tego, służba kontroli handlu narkotykami ministerstwa sprawiedliwości opracowała szczegółowy program planu szkolenia zagranicznych policjantów, a min. obrony nadal udziela pomocy materiałowej zmilitaryzowanym pododdziałom zagranicznych służb porządkowych.

Od 1971 roku departament stanu przekazał za pośrednictwem Biura Międzynarodowego Rozwoju około 150 milionów dolarów przeróżnym organizacjom do walki z narkotykami. Jednakże większą część tych środków użyto do zaopatrzenia w broń i amunicję siły policyjne w niektórych krajach Trzeciego Świata, a głównie w Syjamie. Dostawy te motywowano tym, że policja syjamska prowadziła rzekomo szeroko zakrojone operacje przeciwko kontrabandzie narkotykami. Jest to wyraźnie kłamliwe oświadczenie w odniesieniu do kraju, którego policję doradcy USA przekształcili w zmilitaryzowaną siłę antyrewolucyjną. Większość syjamskich oficerów policji granicznej odbyło studia w uczelniach wojskowych, gdzie wykładowcami są instruktorzy ze specjalnych pododdziałów wojsk USA.

Wespół z urzędem do walki z narkotykami oraz służbą celną USA, departament stanu szkoli pracowników policji zagranicznej w zakresie techniki wykrywania narkotyków. Program tej pomocy uzupełnia się działalnością 409 agentów-doradców w 45 krajach świata, którzy okazują „pomoc miejscowej policji w zakresie ekspertyz i techniki". Chociaż zakłada się, że powinna się ona ograniczyć wyłącznie do walki z narkotykami, w rzeczywistości doradcy działają w ścisłym kontakcie z CIA i FBI; do ich funkcji należy badanie przeróżnych spraw z politycznymi włącznie.

W ten sposób programu walki z handlem narkotykami można używać jako parawanu w udzielaniu pomocy miejscowej policji. Takie machinacje, na które zebrano dowody w Syjamie, mają z pewnością miejsce i w innych krajach. I jeśli Kongres nawet zamknie ten sklepik — pisze komentator „Nation" — to natrafi natychmiast na inny skomplikowany problem: użytkowania środków Programu Pomocy Wojskowej, finansującego zagraniczne formacje wojskowe, które występują tu i ówdzie w charakterze... sił ochrony porządku publicznego. Na przykład w Ameryce Łacińskiej program ten jest obliczony na pomoc dla „wojska i sił parlamentarnych, które łącznie z policją powinny zapewniać bezpieczeństwo wewnętrzne". Niebezpieczeństwo wynikające z tej amerykańskiej „pomocy" jest szczególnie widoczne w krajach, w których rządzą wojskowi lub reżimy dyktatorskie i gdzie dla zapewnienia porządku używa się wojska. Warto jeszcze dodać, iż w liczbie głównych odbiorców tej „pomocy" USA w roku budżetowym 1976-77 figurują: Tajwan — 36 milionów dolarów, Indonezja — 46 mln, Południowa Korea — 286 mln, Filipiny — 41 mln i Brazylia — 61 milionów dolarów. Do tych krajów kieruje się 68 procent ogólnej sumy programowej, przeznaczonej na uzbrojenie sił policyjnych krajów Trzeciego Świata.

JERZY CZECH

ZALUDNIENIE NASZEJ PLANETY

Zgodnie z informacją „Rocznika demograficznego ONZ", który dopiero co ukazał się w Nowym Jorku, liczba ludzi zamieszkujących naszą planetę, według stanu na półrocze 1975 roku, wynosiła 3.967 milionów ludzi, zwiększając się w porównaniu z rokiem poprzednim o 77 milionów. Jeśli się utrzyma taki roczny przyrost, liczba ludności Ziemi podwoi się w przeciągu 37 lat.

Najbardziej zaludnioną częścią świata jest Azja, którą zamieszkuje 56.9 procent ludności naszej planety (bez terytorium ZSRR, na które przypada 6,4 proc. ludności). W Europie (bez ZSRR) żyje 11,9 proc. mieszkańców Ziemi, w Afryce — 10,1 proc., w Ameryce Łacińskiej — 8,2 proc., w Ameryce Północnej — 6 proc. i w Australii i Oceanii — 0,5 proc.

Najwyższe tempo rocznego przyrostu ludności utrzymuje się w Afryce — ponad 2 proc. Spośród 37 krajów europejskich, w 21 krajach tempo przyrostu rocznego utrzymuje się poniżej 1 proc.

Jak wynika z „Rocznika demograficznego ONZ", do najbardziej zaludnionych miast (bez okręgów podmiejskich) należą: Szanghaj — 10.820.000 mieszkańców, Tokio — 8.640.000, Mexico — 8.591.750, Nowy Jork — 7.646.818. Za nimi idą: Pekin, Londyn, Moskwa, Bombaj, Kair, Seul, San Paulo, Dżakarta.

Jak podaje „Information UNESCO" o ile w dorewolucyjnej Rosji średnia długość życia wynosiła zaledwie 37 lat, o tyle teraz linia życia przedłużyła się do 70—72 lat. Związek Radziecki coraz wyraźniej przekształca się w kraj ludzi długowiecznych. W całym szeregu republik takich jak np. Azerbejdżan, Gruzja, Armenia, ludzie 80-letni, i starsi, stanowią coraz bardziej widoczną i zwiększającą się warstwę ludności. Proces ten jest charakterystycznym zjawiskiem naszych dni. I jeżeli, jak wskazują na to dane Wydziału Zaludnienia ONZ, do 2000 roku liczba mieszkańców Ziemi zwiększy się o 80 procent, to liczba ludzi starszych wzrośnie o całe 100 procent.

(C.)

★ ZWYCIĘSTWO JANATY I CO DALEJ?
★ POROZUMIENIE BEZ PRECEDENSU

Można powiedzieć, że ostatnie dni na świecie minęły pod znakiem niespodzianek. Nie oczekiwano przecież przegranej Indiry Gandhi i jej Kongresowej Partii w wyborach powszechnych, nikt nie przypuszczał, że brytyjski rząd Callaghana uratuje przed upadkiem (za wysoką cenę) partia liberalna, a rząd holenderski poda się do dymisji. Wszystko to zdarzyło się prawie w tym samym czasie, chociaż bezpośrednie powody każdego z tych zdarzeń są inne.

Omówmy szczegółowiej dwa pierwsze fakty, gdyż te przede wszystkim brzemienne będą w następstwa.

Znamy już ostateczne **wyniki wyborów w Indiach** i podział mandatów w parlamencie. **Wyszedł z nich zwycięsko blok Janata,** w skład którego wchodzą cztery główne partie: Jana Sangh, Kongres Opozycyjny, Indyjska Partia Ludowa i Partia Socjalistyczna. W następstwie złożyła urząd Indira Gandhi i jej ministrowie. **Premierem został 81-letni Morarji Desai,** który przez wiele lat był wicepremierem rządu, ale w 1969 roku, w czasie rozłamu w Partii Kongresowej, przeszedł do opozycji. Mówi się o nim, że to człowiek o żelaznej dyscyplinie w życiu politycznym i osobistym. Stoi on na prawo od dotychczasowego kursu Indii. **Jego wybór na szefa gabinetu** już poróżnił partie taktycznego bloku wyborczego i — jak się twierdzi — **nie rokuje stabilizacji rządów.**

Sam Desai jest „człowiekiem nienowoczesnym" i wręcz ekscentrykiem. To, że jest jaroszem, nie wypił w swym długim życiu kropli alkoholu i codziennie rano ćwiczy jogę — do powyższego stwierdzenia jeszcze nie upoważnia. Ale obrazu sylwetki dopełnia to, że nie uznaje żadnych medykamentów i odmawia poddawania się szczepieniom ochronnym. Któryś z zagranicznych komentatorów postawił w związku z tym pytanie: czy tak nienowoczesny człowiek może być nowoczesnym politykiem i zapewnić swemu krajowi nowoczesność?

Pozostawmy to pytanie bez odpowiedzi, aby choć krótko odpowiedzieć na inne: **dlaczego przegrała partia Indiry Gandhi?** Otóż przede wszystkim dlatego, że wielomiesięczny okres stanu wyjątkowego zaznaczył się poza stolicą pewnymi wypaczeniami, które w dużej mierze zaważyły na opinii wyborców. W ciągu 11 lat pozostawania przy władzy Indiry Gandhi kraj osiągnął widoczny postęp. Jest on zauważalny dla wszystkich. Wynikami wyborów zakwestionowano więc nie program Partii Kongresowej, lecz sposób sprawowania władzy przez 18 miesięcy stanu wyjątkowego.

A co teraz czeka Indie?

Niespójna koalicja rozpadnie się zapewne przy lada okazji. Na widowni nie pojawił się też żaden młodszy wiekiem i dostatecznie energiczny polityk, który zdolny byłby uporać się z wewnętrznymi problemami. Z pewnością więc **w niedalekiej przyszłości nastąpi jeszcze jeden etap.**

Dziś jednak przede wszystkim interesuje nas, **jaką politykę zagraniczną będzie prowadził nowy rząd?** Ogólnikowość oświadczeń Desaia: dobrych stosunków z wszystkimi — nie pozwala na jednoznaczne stwierdzenie. Dodajmy tylko, że prasa amerykańska wyraża nadzieje na ociepleni stosunków Indii z USA.

* * *

A teraz — o drugiej niespodziance.

W brytyjskiej Izbie Gmin doszło do głosowania nad wnioskiem konserwatywnej opozycji. Gdyby przeszedł — rząd Callaghana musiałby ustąpić. Wniosek został jednak odrzucony. Zdecydowało o tym 13 głosów posłów partii liberalnej. Cena wsparcia labourzystów jest jednak wysoka. Po raz pierwszy od 60 lat partia liberalna będzie teraz miała głos w sprawach rządowych.

Porozumienie zawarte między Callaghanem a przywódcą brytyjskich liberałów — Steelem przewiduje utworzenie wspólnego komitetu konsultacyjnego obu partii w sprawie systemu, jaki będzie zastosowany w wyborach do „parlamentu zachodnioeuropejskiego", porozumiewanie się w sprawach legislacyjnych oraz odblokowanie ustawy o uprawnieniach samorządowych dla Szkocji i Walii. Zresztą szczegóły nie są tutaj najistotniejsze. Najważniejsze jest to, że odtąd „być albo nie być" rządu Callaghana jest w rękach liberałów. Trzeba zatem w tym miejscu postawić jeszcze jedno w dzisiejszym komentarzu pytanie: czy to bezprecedensowe w dziejach polityki brytyjskiej porozumienie z partią opozycyjną pozwoli przetrwać rządowi Callaghana?

Być może. Wielu labourzystowskich posłów nie pochwala premiera za inicjatywę porozumienia. Jeśli mimo to nie wyłamią się z partyjnej dyscypliny — będzie to świadczyć, że widzą niebezpieczeństwo zwycięstwa wyborczego konserwatystów.

A wszystkiemu w Anglii winna jest sytuacja gospodarcza — wciąż trudna i nie rokująca nadziei na szybką poprawę.

W. SŁAWSKI

SPORT

KILKA GŁUPICH INCYDENTÓW

W Sierra Nevada ścigali się w slalomie narciarze, a na naszych piłkarskich boiskach toczyła się walka o pozycje w ligowej tabeli. I chociaż to tylko piąta kolejka wiosennej rundy, na niespodzianki i emocje kibice nie mogli narzekać. Warszawska Legia rozegrała znakomity mecz z mielecką Stalą i po zwycięstwie przesunęła się na szóstą pozycję. Krakowska Wisła przegrała w Poznaniu z Lechem, zajmującym 16 pozycję w tabeli, a rybnicki ROW i GKS Tychy zremisowały, co nie zmieniło ich pozycji na końcu tabeli. Pytania: kto będzie mistrzem ligi i kto spadnie? — są nadal aktualne. Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Sobotnie i niedzielne mecze pokazały, że istotnie jeszcze wszystko może się zdarzyć. Oto w Szczecinie zdarzyło się Zbigniewowi Bońkowi zdobyć „czerwoną kartkę", co odsuwa w przyszłość jego najbliższe występy na boisku i stawia pod znakiem zapytania jego kandydaturę do narodowej reprezentacji. Trudno wszakże nie wierzyć Bogusławowi Kukuciowi z „Głosu Robotniczego", który nie tylko cały incydent widział, ale przeprowadził rozmowy z innymi, dając tym pełny i obiektywny obraz tego, co zdarzyło się na stadionie szczecińskiej Pogoni.

Nawet trener szczecińskiej Pogoni — B. Hajdas przyznał, że bramka padła ze spalonego, ale decyzja sędziego jest niepodważalna. I tu powstaje dylemat: czy lepiej było „wziąć twarz w kubeł" i postarać się odrobić straconą bramkę, czy też „pyskować ile wlezie" i osłabić drużynę? Gdzie bardziej przydatny jest Zbigniew Boniek, na boisku, czy na ławce rezerwowych? Wszyscy zgodni są co do tego, że Widzew grał dobrze i w dziesiątkę potrafił obronić się przed dalszymi golami, choć już nie potrafił wyrównać.

Te pytania może i wydają się teoretyczne, bo faktów nie można odwrócić, ale warto chyba zastanowić się, co jest ważniejsze w drużynie: racje osobiste, niepohamowany temperament i „niewyparzona gęba" czy też interes całej drużyny? A pytanie to można skierować zarówno pod adresem Zbigniewa Bońka, jak i Jana Tomaszewskiego. Wiadomo bowiem, że w meczu ze Stalą w Mielcu Jan Tomaszewski nie bronił w drugiej połowie, chociaż wiadomo, że Jan Tomaszewski w bramce jest o wiele bardziej wartościowy od Jana Tomaszewskiego, siedzącego na ławce rezerwowej.

Dlaczego w Mielcu Jan Tomaszewski zszedł z boiska?

— Miałem już dość jego zachowania — powiedział Zygmuntowi Lenkiewiczowi z „Piłki Nożnej" trener ŁKS Leszek Jezierski. — Zupełnie rozłożył mi zespół. Puszcza głupią bramkę, która pada po łatwej do wyłapania centrze, ale winni — jego zdaniem — są wszyscy, tylko nie on... Już na kilka dni przed meczem opowiadał wszystkim, że nas interesuje tylko liga, że w Mielcu powinniśmy wystawić z pięciu juniorów, że co tam Puchar...

We Wrocławiu, w hotelu „Europejskim" Krzysztof Wągrodzki ze „Sportowca" jadł śniadanie razem z Janem Tomaszewskim.

— Trochę się wygłupiłem — powiedział Jan Tomaszewski dziennikarzowi „Sportowca". — W szatni podkręciłem obrońców...

— I trener zdjął pana z boiska? — zapytał K. Wągrodzki.

— Nie — na to Jan Tomaszewski. — Była awantura, od słowa do słowa powiedzieli mi, że jak nie chcę, to mogę nie grać. I na drugą połowę wyszedł Klepczyński.

— I dlatego miał pan kłopoty... — indagował dalej K. Wągrodzki.

— Właśnie. Na szczęście wszystko jakoś wróciło do normy. Przeprosiłem kolegów...

Przegrana w Mielcu pozostaje jednak faktem, a w sobotę, 26 marca 1977 roku warszawska Legia pokazała, że mielecka Stal jest do pokonania. ŁKS pożegnał się więc z marzeniem o Pucharze Polski, ale pytanie: co ważniejsze, interes drużyny, czy ambicje poszczególnych zawodników z niepohamowanym temperamentem i „niewyparzoną gębą"? — warto jeszcze raz przypomnieć.

Warszawski mecz między Legią i Stalą z Mielca był niewątpliwie najlepszym meczem piątej kolejki. Ale i tu nie obeszło się bez incydentów. Była i żółta kartka dla zawodnika Stali i była butelka na boisku. Mogli ją dokładnie obejrzeć telewidzowie. Jeśli do tego dodać chamskie potraktowanie Kazimierza Deyny na stadionie w Chorzowie przez tamtejszą publiczność, to warto się i nad tym zastanowić.

W niedzielę, 27 marca 1977 roku, późnym wieczorem Jan Ciszewski zamierzał skomentować grę kandydatów do reprezentacji Polski. Pokazał dobrą grę Kazimierza Deyny i Henryka Kasperczaka, wspomniał o powracającym do formy Stanisławie Terleckim. Ale zabrakło mu czasu, żeby powiedzieć o słabszej formie Andrzeja Szarmacha i przede wszystkim Grzegorza Lato. Sprawiedliwie byłoby dodać, że również Jan Tomaszewski znajduje się teraz w bardzo dobrej formie. Kontuzja Kukli stworzyła chyba pewne problemy.

W sobotę, 26 marca 1977 roku mogliśmy obejrzeć trzy czwarte meczu eliminacyjnego do mistrzostw świata między reprezentacjami Holandii i Belgii. Oglądając ten mecz niejeden kibic pomyślał sobie zapewne, że szczęście nam dopisało iż na swej drodze nie spotkaliśmy tych doskonałych Holendrów. Ile jeszcze trzeba się będzie naszym napracować, aby mogli im dorównać?!

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (6)

WACŁAW BILIŃSKI

WRÓCIĆ DO SIEBIE

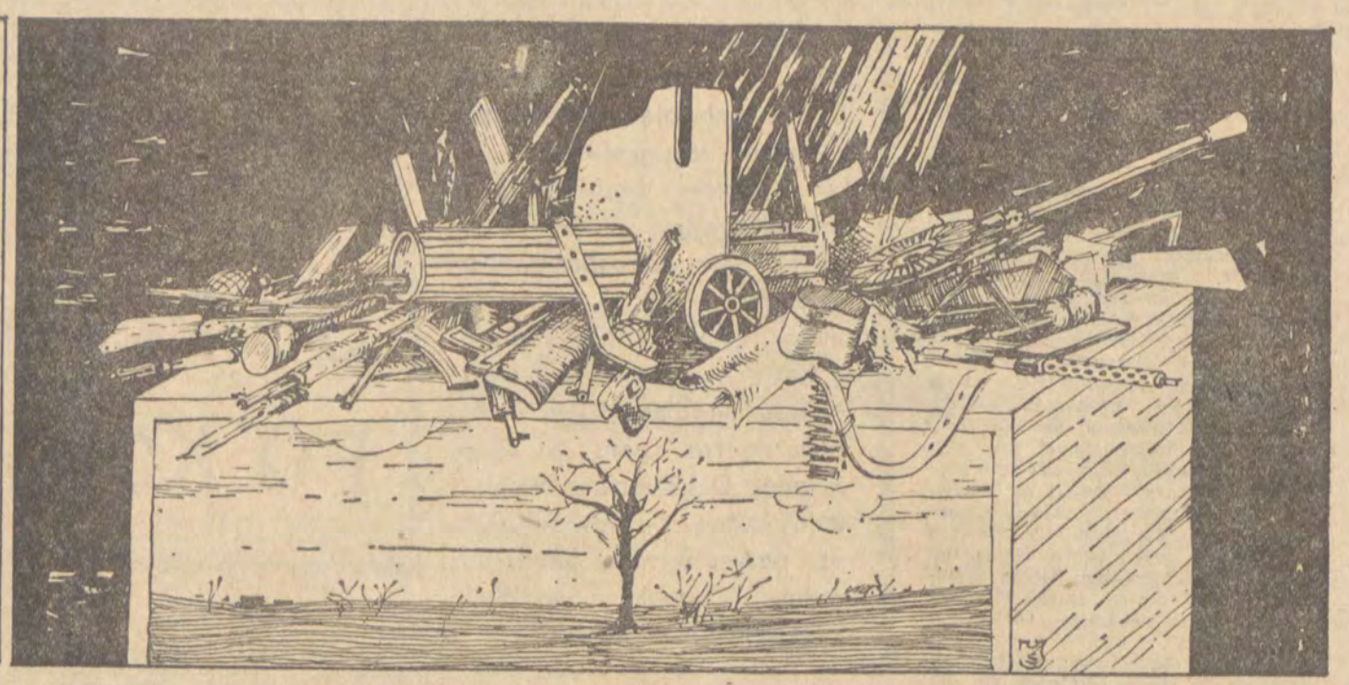

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Reflektory willysa omiotły podwórko, półkolem przemknęła czarno-biała defilada ogrodzenia, ścian, okien i drzwi. Łanowiecki ustawił wóz obok dodge'a, zgasił światła, wyłączył motor. — Co za historia! — powiedział głośno. — Pobojowisko!

Miasteczko w ciemnościach spało. Cisza pełna szelestów i cykania świerszczy, tak różna od ciszy wielkiego miasta, działa kojąco. Idąc ku drzwiom schował kluczyk od wozu do portmonetki, przypomniał sobie, że trzeba zamknąć bramę, przystanął niezdecydowany. Wtedy usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Nie zdążył się odwrócić, bo już zabrzmiał tuż za nim ściszony głos. Jednocześnie w plecy lekko uderzył go twardy przedmiot.

— Ręce do góry. I bardzo proszę, ani kroku...

Wykonał rozkaz. Nie wyczuł niebezpieczeństwa, chyba dlatego, że słowa wypowiedziane były po polsku. Pomyślał nawet, że to jakiś kawał Wróbla.

— Nie chciałbym pana zabić — szeptał głos. — Proszę wykonywać moje rozkazy.

— Czego pan chce?

— Proszę stanąć twarzą do ściany. Ręce wysoko... — powiedział człowiek za plecami. Rozkaz poparty był kolejnym niezbyt silnym uderzeniem w plecy.

Poznał ten głos: to sympatyczny pan Łoś, taki zawsze uprzejmy, tak dobrze wychowany! Ale gracz, pomyślał z uznaniem, ale aktor. Pistolet i elegancka uprzejmość napastnika mogły zapowiadać śmierć. Pan Łoś budził respekt. Tak oto sprawa Fedorkiewicza nieoczekiwanie może mieć jego, Łanowieckiego, osobisty finał. Przypadkowa śmierć od skrytobójczej, niejako zabłąkanej kuli, tego trzeba uniknąć. Wykonał rozkaz.

— Naprawdę byłoby mi niewymownie przykro — powiedział tamten łagodnie — gdybym musiał pana zabić.

Tymczasem napastnik napierając pistoletem obmacywał jego kieszenie, kabura pod pachą nie od razu została odkryta i Łanowiecki już się łudził, że zostanie przeoczona, gdy tamten jednak trafił i na nią, zręcznie wyłuskał spod marynarki pistolet. Od razu ucisk lufy na plecach zelżał.

— A teraz usilnie proszę do samochodu — grzecznie komenderował Łoś. — Do willysa.

— Czego pan jeszcze chce?

— Potrzebuję samochodu, pojedziemy, jeśli łaska, na małą wycieczkę. Niestety, nie umiem prowadzić, inaczej bym pana nie śmiał fatygować. Tylko bardzo proszę nie zapalać świateł.

— No, no, nie podejrzewałem pana o taki wigor... — powiedział Łanowiecki.

— Jestem zmuszony uprzejmie prosić pana o milczenie — mruknął Łoś. Posapując sadowił się z tyłu, za siedzeniem kierowcy. Łanowiecki włączył motor. Wyjeżdżając na ulicę zaczął się śmiać. Motor zagłuszał jego głos.

— Ty skurwysynie! — powiedział szeptem. — Ty uprzejmy, elegancki skurwysynie!

— Pan coś mówił? — krzyknął nad uchem pan Łoś.

Łanowiecki nie odpowiedział, tamten nie powtórzył pytania.

— Teraz skręcimy — rozkazał. Jego przyspieszony oddech zdradzał wzburzenie. — Dobrze! I na szosę gorzowską. Szybciej. Tu już może pan włączyć światła.

Okna śpiących domów były ciemne, jezdnia pusta. Nagle wyskoczyła z tej nocy w światła reflektorów sylwetka mężczyzny: biel twarzy, szeroko rozpostarte dłonie, zlewająca się z nocą czerń garnituru. Łanowiecki odruchowo przyhamował.

— Jechać, jechać! — warknął Łoś i przypomniał o swoim rewolwerze, ale już delikatnie; chłód metalu na spoconym karku.

Człowiek na jezdni w ostatniej chwili uskoczył, coś zakrzyknął, znikając w ciemnościach zamachał rękami. Łanowiecki poznał go, to Mularz, jak zawsze pijany. Willys ruszył przed siebie w bryzgach kałuż. Miasto zostało za nimi, wjechali na szosę wiodącą na południe. Domki przedmieścia coraz rzadziej błyskały bielą murów i zaraz znikły w ciemnościach.

— Proszę zatrzymać — rzucił Łoś.

Stanęli przed doszczętnie wypaloną willą. Łanowiecki wyłączył motor. Wydawało mu się, że słyszy przyspieszone bicie własnego serca. Siedzieli chwilę bez ruchu, oczy przywykły do ciemności, noc zaroiła się od nierozpoznawalnych kształtów. Łoś wysiadł z wozu i błysnął latarką, złowił Łanowieckiego w klin jej światła.

— Reflektory zgasić. Proszę, niech pan wysiądzie.

Ta pusta, wypalona willa nadawała się na miejsce egzekucji. Ale po co Łoś miałby to zrobić?

— Proszę, niech pan wysiądzie — powtórzył Łoś. — Proszę iść przede mną. I bez sztuczek. Zastrzelę, jeśli tylko...

— Dobrze, dobrze. Prowadź pan.

Ucisk pistoletu skierował go ku pogorzelisku. Przeszli mostek nad przydrożnym rowem, minęli bramę. Kroczyli w plamie światła, czarny cień Łanowieckiego kładł się na ścieżkę, między tym cieniem a idącymi zjawił się ruchliwy rój srebrnych muszek. Wchodzili pod mur willi, plama światła dobywała z ciemności wyrazisty rysunek popękanego tynku.

— Ktoś na nas niecierpliwe czeka — powiedział Łoś.

Skręcili za węgieł. Dwa kamienne stopnie, wypalona sień, smród kału.

— W prawo — głos Łosia stężał. — Januszu! Jesteś tam?

Odpowiedział mu jęk. Wnętrze rudery było przerażające, wydawało się, że cuchnie tu śmiercią. Łoś naparł lufą pistoletu i powtórzył:

— Wchodzimy?

Za wypaloną framugą była duża izba rozgrodzona nadwęglonymi belkami zawalonej powały. W kącie pogorzeliska oparty, plecami o ścianę siedział człowiek.

— Widzisz Januszku, powiedziałem, że przyjadę — oznajmił głośno Łoś. — I jesteśmy. Zawsze dotrzymuję słowa. Ten pan jest naszym kierowcą.

Zaśmiał się z przymusem. Latarka rzucała szeroki krąg światła i starczyło jej blasku, by rozjaśnić całe to wnętrze. Łanowiecki z uwagą przyjrzał się temu, który siedział pod murem, z głową pochyloną nad kolanami. I jego znał dobrze, sam go przecież tu, do Pobojowiska, przywiózł.

Z chłopcem było źle. Łanowiecki dostrzegł na jego twarzy mękę umierania.

— Ze mną... ze mną koniec — wycharczał chłopak.

— Ech, co za głupstwa! — powiedział niefrasobliwie Łoś. — Jak twój opatrunek?

Janusz wyciągnął w ich stronę dłoń o rozcapierzonych, czarno poplamionych palcach.

— Przecieka...

— Zaraz poprawimy — powiedział spokojnie Łoś. — Najpierw mała prośba — było to skierowane do Łanowieckiego. — Usiąść w tamtym kącie. Nogi w kolanach wyprostowane. Sam pan widzi, że bez pańskiego auta nie dalibyśmy sobie rady. A ja, niestety, nie umiem kierować — powtórzył to wyznanie z pewnym zażenowaniem.

— Rób pan swoje — burknął Łanowiecki i posłusznie usiadł we wskazanym kącie.

— Mam nadzieję, że zrozumie pan naszą sytuację i nie palnie jakiegoś głupstwa — mówi pojednawczo Łoś.

Ostrożnie położył latarkę na zwalonej belce, tak że i chłopak, i Łanowiecki siedzieli w zasięgu jej światła. Przykucnął obok Janusza, pistolet wciąż trzymał w prawej ręce, lewą zręcznie poprawił opatrunek na piersi rannego. Dopiero teraz Łanowiecki dostrzegł, że chłopak trzyma kurczowo jakiś przedmiot. Łoś chciał mu to wyjąć z rąk, ale ranny zaprotestował: — Nie, nie! — i w jego głosie zabrzmiało przerażenie.

— Dobrze, dobrze, trzymaj to sobie — bąknął półgłosem Łoś. — Jeszcze mi nie ufasz?

Przełożył broń do lewej ręki i znów się wziął za bandaże. Z kieszeni dobył wojskowy opatrunek indywidualny. Otworzył go pomagając sobie zębami. Sprawnie poutykał tampony gazy pod nasiąkłym krwią bandażem. Celnie strzela ten Wróbel — pomyślał Łanowiecki.

— Drobiazg — oznajmił Łoś. — Byłem dwukrotnie ranny w pierś. Dziesięć dni i człowiek czuje się jak anioł. Mam na myśli — poprawił się spiesznie — że wraca do pełni sił. Oczywiście w twoim wieku. Dziś, taki staruch jak ja musiałby się wylizywać co najmniej przez dwa tygodnie.

Zaśmiał się nieprzyjemnie. Znowu wydało się Łanowieckiemu, że tu, w tej zrujnowanej izbie, cuchnie trupem.

Łoś dźwignął się ciężko. Chwilę stał nieruchomy i zamyślony z pistoletem w jednej i latarką w drugiej ręce, ogromna, powiększona swym własnym cieniem, sylwetka.

— No, jak, mój drogi? Będziesz mógł się ruszyć?

Chłopak pod ścianą jęknął. Łoś westchnął i wskazując go Łanowieckiemu powiedział:

— Proszę, niech pan pomoże mu przejść do auta. — Nagle z wściekłością: — No, ruszże się pan!

Janusz nie mógł ustać o własnych siłach, trzeba go było niemal wlec. W samochodzie, zgodnie z poleceniem pana Łosia, Łanowiecki posadził chłopca na tylnym siedzeniu. Ranny już nie jęczał, z jego płuc dobywał się świszczący charkot, chwilami wydawało się, że jest nieprzytomny, ale było inaczej. Strzegł owego, przyciskanego do brzucha, przedmiotu — metalowej kasety.

— Teraz niech pan siada za kierownicą! — rozkazał Łoś. Czujnie obmacywał Łanowieckiego światłem latarki. Sam usadowił się obok rannego, za plecami kierowcy.

— Musisz być bardziej cierpliwy — mówił łagodnie, tonem perswazji. W ciemnościach zabulgotało. To Janusz pił z butelki, a Łoś zachęcał:

— No, no... jeszcze parę łyków. To ci dobrze zrobi. — Potem latarka zgasła. Łanowiecki miał jeszcze nadzieję, że światło zwabi milicjantów. Że coś się zdarzy. Nic się nie zdarzyło.

— Jedziemy! — zakomenderował Łoś. — Pan będzie łaskaw. Na razie prosto. Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, jeśli można prosić. Niech pan zapali światła.

Szosa była wyboista, zniszczona przez czołgi, biegła przez las, wyboje zjawiały się tuż przed wozem, willys rzucał na nich i trząsł, a Łanowiecki zaciskał zęby, bo jęki rannego wydawały się nie do zniesienia.

— Szybciej, bardzo proszę, szybciej Teraz skręcamy na północ. W lewo... warknął Łoś.

Przejechali parę kilometrów leśnym duktem, drogą gruntową, wreszcie las się skończył. Wyjechali na lepiej utrzymaną szosę. Stękanie rannego przycichło. Łoś uznał, że jest on w stanie rozmawiać, a ponieważ chłopak nie odpowiadał na pytania, wygłosił swego rodzaju monolog:

— Właściwie możemy uznać, że się udało, prawda, Januszku? Wyliżesz się, synu, szybciutko. Dobrze, żeś na mnie trafił. Inaczej rodzinka Fedorkiewiczów by się obłowiła. Należało im się. Nawet jeśli to nie oni zasypali tego twojego Taraszkę... Inna sprawa że mogłeś to tak załatwić, żeby nie podnieśli alarmu.

W odpowiedzi ranny tylko jęknął.

— Widzisz, synu: albo wilk gryzie, albo wilka gryzą. Jakbyś go... tego starego, znaczy... No i diabli zwabili na rynek tego parobka z milicji. I tak dobrze, żem go miał na oku. Na wszelki wypadek trzymałem się niedaleko. Ocaliłem ci życie... nie wypominając!

Willys mknął pustą szosą przez upiorny krajobraz. Łoś podawał wojskowym sposobem marszrutę i Łanowiecki zorientował się, że ma ją świetnie opracowaną.

— A teraz my to mamy! Cóż by miało za sens, rozprawiać się z familią Fedorkiewiczów — ciągnął Łoś. — I wzgardzać... Nie czas na romantyczne fanaberie. Im kara. Tobie forsa. Tobie i mnie. I pora nam w świat!

PAMIĘTNIKI LAUZUNA

Dla tych, którzy zaczytują się we wszelkiego rodzaju pamiętnikach, a już szczególnie dla tych, którzy szukają tam przede wszystkim pikantnych plotek, pamiętniki Armanda — Louis de Gontaut de Biron, znanego jako diuk de Lauzun, będą gratką nie lada. Ten potomek starej arystokratycznej rodziny francuskiej, żołnierz, który w pogoni za sławą walczył w powstaniu o niepodległość kolonii brytyjskiej w Ameryce, później zaś jako obywatel generał Biron brał udział w rewolucji francuskiej 1789 roku, by w roku 1794 tragicznie skończyć na szafocie, był — jak pisał Szymon Askenazy — „niezaprzeczalnie najświetniejszym kawalerem dworu wersalskiego, a zatem i świata, dyktatorem mody, poprzedzonym sławą zdobywcy serc niewieścich". Owych — wyrażając się eleganko — serc niewieścich de Lauzun zdobył wiele. „Największą sławę zyskał jednak — pisze we wstępie Stefan Meller — nie jako amant pięknych Angielek, pań Sary Bunbury i Marianny Harland, nie jako amant pań z socjety paryskiej, nie jako, wreszcie, kochanek tak bardzo intrygującej Polki, Izabeli Czartoryskiej. Otóż sławę najwyższą zyskał dzięki enigmatycznemu flirtowi z Marią Antoniną, nieszczęsną heroiną tak wielu urojonych skandali swej epoki".

Pamiętniki de Lauzuna, pisane dla markizy de Coigny, jego ostatniej wielkiej miłości, kończą się w roku 1783, kiedy to ich autor powrócił z kampanii amerykańskiej. Ich pierwsze wydanie narobiło wiele zamieszania. Lauzun nietaktownie bowiem odsłania szczegóły swoich alkowianych przeżyć, zainteresowane damy protestują, a Czartoryscy wykupują znaczną część nakładu, jako że jedna z bohaterek pamiętników, dokładnie i bardzo niedyskretnie przez Lauzuna opisana, Izabela Czartoryska jeszcze żyje.

Oczywiście pamiętniki de Lauzuna nabierają szczególnej pikanterii dzięki niefrasobliwym opisom kolejnych romansów, ale przede wszystkim mają wartość rzetelnego dokumentu historycznego. Dają przecież barwny i wyrazisty obraz, więcej niż swobodnego, życia dworu francuskiego i arystokracji w przededniu niemal wybuchu rewolucji jakobińskiej.

Duc de Lauzun — „Pamiętniki", przekład, wstęp i przypisy S. Meller, PIW, Warszawa 1976, str. 224, cena zł 60.

BRYK DO DZIEJÓW ŚWIATA

Słowo „bryk" — znane każdemu uczniowi — pochodzi od niemieckiego „Eselsbrücke", co znaczy dosłownie: „Oślí most", a co oznacza, w powszechnym, użyciu książki stanowiące ułatwienie dla uczniów, streszczenia lektur szkolnych, rozwiązania zadań zawartych w podręcznikach. Słowo „bryk" ma więc znaczenie ujemne, ale w tym wypadku zostało użyte w braku innego określenia, które oddawałoby sens publikacji Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Ukazało się bowiem drugie już — uzupełnione — wydanie „Dziejów świata". Podtytuł tej opasłej książki wyraźnie i dobitnie wyjaśnia, że nie jest to zarys historii, a jedynie: „Chronologiczny przegląd ważniejszych wydarzeń". To określenie „ważniejszych" sprawiło wiele kłopotu autorom opracowania, musieli bowiem dokonać wielkiej selekcji i oceny różnych wydarzeń, aby wybrać z nich „ważniejsze". Uporali się z tym jakoś, a Wydawca tłumaczy we wstępie, jakie stosowali kryteria.

Dzieje świata przedstawiono więc w podziale na okresy historyczne, a więc w podziale na „Dzieje starożytne", „Dzieje średniowiecza", „Dzieje nowożytne — od XVI do schyłku XVIII w.", „Dzieje nowożytne — 1789—1918" oraz „Dzieje najnowsze", w których wyodrębniono dwa okresy: od Rewolucji Październikowej do drugiej wojny światowej i drugą wojnę światową.

Powstała publikacja niewątpliwie potrzebna, pożyteczna, ułatwiająca poszukiwanie różnych faktów historycznych, ale jest tylko książką pomocniczą, której nie należy mylić z historią świata, gdyż do takiej rangi nie pretenduje. Dla ułatwienia poszukiwań należy korzystać z indeksów, których książka posiada dwa: „Indeks osób" i „Indeks nazw geograficznych i etnicznych".

Autorzy sami zastrzegają, że zgromadzone fakty dotyczą głównie tych rejonów świata, których dzieje są dokładniej zbadane, a więc Europy przede wszystkim, później Ameryki Północnej i Południowej oraz Azji. Jeśli chodzi o Afrykę to sprezentowano wiele faktów z dziejów jej północnej części, pomijając resztę, jako że dzieje te są u nas — i nie tylko u nas — mniej znane.

Mimo tych braków książka stanowić będzie znaczną pomoc dla tych wszystkich, którzy interesują się historią, a którzy w swoich poszukiwaniach traktować ją będą li tylko jako „chronologiczny przewodnik" po dziejach świata.

Stanisław Arnold, Władysław Kurkiewicz, Adam Tomir, Wiesław Żurawski — „Dzieje świata, chronologiczny przegląd ważniejszych wydarzeń". Wydanie drugie uzupełnione, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, str. 952, cena zł 150.

WYRZECZYSKO

Trójka autorów — Tadeusz Maciej Ciołek, Jacek Olędzki i Anna Zadrożyńska opublikowało książkę „Wyrzeczysko", której podtytuł — „O świętowaniu w Polsce" — objaśnia w pewnym stopniu jej zawartość. Ale cóż to takiego owo tytułowe „wyrzeczysko"? Otóż jest to nazwa bardzo ciekawego zwyczaju wsi kurpiowskich, wywodzącego się jeszcze z XIX w. i związanego z obchodzeniem Świąt Wielkanocnych. Stół świąteczny, tzw. „święcone" musiał obfitować nie tylko w jadło, ale i alkohol. Dużo go chyba musiało być i był przez Kurpiów nadużywany, jak piszą autorzy książki — „wśród ludności tamtejszych wsi spożycie alkoholu wzrosło najprawdopodobniej do rozmiarów grożących powszechnym chyba nałogiem". I oto w roku 1858 Kurpiowie złożyli w kościołach przysięgę wyrzeczenia się picia alkoholu w nadmiernych ilościach. Publiczne „wyrzeczysko" miało miejsce w Wielki Piątek i co roku odnawiane było na wsiach kurpiowskich aż do czasów pierwszej wojny światowej. Trudno tutaj nie pokusić się o refleksję, okazuje się, że działalność profilaktyczna nie jest niczym nowym. Szkoda tylko, że nie ma bliższych danych o tym, na ile owa przysięga była skuteczna.

Nieprzypadkiem tyle miejsca poświęciliśmy temu tytułowemu zwyczajowi kurpiowskiemu, godnemu zainteresowania i dzisiaj, a wyszperanemu z zapomnienia przez autorów książki. Wiele bowiem zwyczajów, obrzędów i obyczajów związanych z poszczególnymi naszymi świętami autorzy opisują. O jednych wiemy więcej, niektórych w ogóle bliżej nie znaliśmy. „Wyrzeczysko" omawia jednak nie tylko uroczystości, święta i obyczaje tradycyjne, ale także i współczesne.

Całość uzupełniają szkice o gestach ludzkich. „Często nie zwraca się na nie uwagi, tak są zwyczajne i powszechne. Często zaskakują swoją niezwykłością, nagłą wymową i siłą wypowiedzi. Tu chcemy dzięki nim poszerzyć horyzont opisywanych uroczystości, utworzyć między nimi uniwersalny pomost, osadzić je w ogólnoludzkiej możliwości bezsłownego porozumienia" — piszą autorzy „Wyrzeczyska".

T. M. Ciołek, J. Olędzki, A. Zadrożyńska — „Wyrzeczysko. O świętowaniu w Polsce". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 308. Cena zł 55,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ULICE STARE I NOWE

Któż dziś pamięta dawne nazwy łódzkich ulic? No i trudno, skoro zmiany się dokonały, bo tak chce Historia i mijający czas. Nikt rozsądny nie jest oczywiście zwolennikiem niekontrolowanej radosnej twórczości w dziedzinie nazewnictwa ulic, ale przecież wiadomo, że pewne zmiany dokonywać się muszą. Tylko po co te dziesiątki ulic Nowoprojektowanych, Nowoprzemysłowych, lub — co gorsza — Nowożeromskiego czy Nowokilińskiego. Za te ostatnie to bym projektodawcę podał do sądu. Z paragrafu za sianie publicznego zgorszenia, bo za głupotę jeszcze u nas nie karzą sądownie. A szkoda.

Nie powinno zmieniać się nazw, które w jakiś sposób utrwaliły się w tradycji, piśmiennictwie, historii... Nawet jeśli tradycja nieraz jest dość podejrzanej konduity. Słynna była kiedyś w Łodzi ulica **Kamienna**, ulica lumpów i prostytutek. Pamięć o tej ulicy trwa ciągle, bo przecież jeszcze w latach pięćdziesiątych Agnieszka Osiecka napisała słynny przebój **„Kochankowie z ulicy Kamiennej"**. Wówczas Kamienna nazywała się już inaczej; czas jakiś nosiła miano... **Granitowej**, dziś nazywa się **Włókiennicza**. Dawno już straciła swój lumpowski charakter.

Któż dziś pamięta, że ulica **Pańska** to dzisiejsza **Żeromskiego**? Pańska zresztą jest również — krótka uliczka w Rudzie Pabianickiej, między **Przestrzenną a Ekonomiczną**. Któż pamięta, że dzisiejsza **Wigury** to kiedyś **Pusta**, a **Curie-Skłodowskiej** to dawniej **Podleśna**...

Oczywiście wszyscy wiedzą, że **ul. Moniuszki** to dawny **Pasaż Majera** — ale kto wie, że dzisiejsza **Pierwszego Maja** to dawny **Pasaż Szulca?**

Tylko **Andrzeja** pozostała od dziesiątków lat ta sama, chociaż dotyczy zupełnie innego Andrzeja. Była to bowiem ulica **Świętego Andrzeja** i dopiero w 1937 przemianowano ją na... **Andrzeja Struga.** Jest to przykład bardzo mądrej i dowcipnej decyzji. Łodzianie zawsze mówili na tę ulicę po prostu Andrzeja, więc czy to święty czy Strug nikomu różnicy nie robi, ą tradycji nie narusza.

Niestety takich mądrych decyzji w sprawie nazewnictwa ulic nie było zbyt wiele.

Były dwie ulice — **Przejazd i Nawrot.** Prowadziły do lasu miejskiego — **Przejazdem** w jedną stronę — **Nawrotem** z powrotem. Nazwy stare, logiczne, historycznie uzasadnione. Dziś jest Nawrot, ale bez Przejazdu, który nosi imię Tuwima. Myślę, że sam Tuwim nie byłby zachwycony faktem, że się go czci naruszając tradycje historyczne miasta.

Dzisiejsza **Roosevelta** nazywała się kiedyś **Ewangelicka** — a potem (w dwudziestoleciu) **Pierackiego.** Obecna **Próchnika** to kiedyś **Zawadzka, Wojska Polskiego** — to dawna **Brzezińska, Jaracza — Cegielniana, Długa — Gdańska, Konstantynowska — Obr. Stalingradu, Wschodnia** nazywała się przed wojną **Piłsudskiego,** aby dziś znów wrócić do starej nazwy. **Nowotki** nazywała się **Pomorska. Abramowskiego** była **Gubernatorską...**

Niegdysiejszy **Nowy Rynek** — dziś **Plac Wolności** — znajdował się w centrum prostokątu ulic o nazwach **Wschodnia, Zachodnia, Północna i Południowa.** Dziś Południowa nazywa się **Rewolucji 1905 roku.**

Otwieram „Dziennik Zarządu m. Łodzi", numer specjalny z kwietnia 1925 roku, poświęcony działalności Zarządu w roku 1924. Między stronami 162—163 plan m. Łodzi, obrazujący roboty brukarskie za miniony rok.

Wodzę palcem po planie i kojarzę sobie stare nazwy ulic z nowymi. Niektórych ulic dziwnie trzymają się daty — dawna **6 Sierpnia** dziś nosi nazwę **22 Lipca.** Ale jeszcze wcześniej nazywała się **Benedykta.**

Oglądam plan przy pomocy szkła powiększającego i odkrywam na Bałutach ulicę **Wrześniewską.** Dzisiejsza **Wrześnieńska.** Dlaczego? Bóg raczy wiedzieć. Przypuszczam, że Wrześniewska pochodzi od nazwiska Wrześniewskich, tak jak **Drewnowska** od **Drewnowiczów,** ale kogo dziś obchodzą stare łódzkie rody?

W okresie międzywojennym ktoś wpadł na niezły pomysł nazywania całych zespołów ulic w sposób jednorodny. I tak na przykład na Stokach mamy cały zakopiański rejon z ulicami o nazwach: **Poronińska, Górska, Giewont, Halna, Przełęcz, Gazdy, Żlebowa, Graniowa, Morskie Oko, Tatrnicza,** a nawet... **Krupówki i Strążyska.**

Podobny rejon jest na Julianowie, gdzie mamy kwiaty i drzewa: **Bukowa, Olszowa, Bzowa, Jodłowa, Modrzewiowa, Wiązowa, Kasztanowa** oraz **Daliowa, Tulipanowa, Zawilcowa, Czeremchy, Mimozy, Malwowa...** Na Nowym Złotnie — w prawo i lewo od ulicy **Podchorążych** mamy z kolei wojsko: **Artylerzystów, Fizylierów, Husarską, Zbrojną, Szańcową, Zwiadowców, Mundurową...**

Pomysł zespołów ulic o jednorodnych tematycznie nazwach był sporym ułatwieniem dla mieszkańców miasta. Nikt przecież nie jest w stanie zapamiętać położenia paru tysięcy ulic, można jednak zapamiętać określone rejony. Niestety — pomysł z lat międzywojennych nie znalazł po wojnie uznania. W starych „kwiatowych", „zakopiańskich" czy „wojskowych" rejonach zaczęto dokonywać zmian lokując nazwy z zupełnie innych parafii i jednorodność diabli wzięli.

WIDOK

LEWYM OKIEM

MAŁPIE REMINISCENCJE

W świetnej, bardzo intelektualnej a zdaje się że nie wznawianej po roku 1945 powieści Aldousa Huxley'a pt.: „Po wielu latach" występuje stary lord milioner, który w oparciu o odkrycie fantastycznych właściwości flory jelitowej, pozwalającej niektórym rybom żyć i żyć, sam przedłuża życie sobie i swej małżonce. Co z tego wynikło?

Okazało się, że gdyby człowiek miał czas, to jego ewolucja postępowałaby nadal, nie kończąc się na etapie zgrzybiałego staruszka. Po kilkudziesięciu latach zgrzybiałości i ruiny fizycznej poczęłaby się — powtarzam oczywiście za Huxleyem — wykształcać nowa jakość, przystosowana do nowych warunków bytu, nowy nieomal gatunek ssaka, i to... coraz bardziej przypominający małpę! Nawet z jej sprośnymi odruchami i nieustanną chęcią do spółkowania z równie zmałpiałą połowicą. Po wielu latach trzechsetletni lord siedzi sobie w klatce ze swą żoną, karmią go surowizną okraszoną różnymi glonami, są oboje szczęśliwi szczęściem zdrowego, sytego i bezpiecznego zwierzęcia.

To była mózgowa igraszka wyrafinowanego pisarza, który ani przez chwilę nie brał jej przecież poważnie. A oto w „Miesięczniku Literackim" czytaliśmy niedawno o hipotezie, wysuniętej przez niektórych uczonych radzieckich, że małpy człekokształtne to nie protoplaści gatunku ludzkiego, tylko właśnie odwrotnie: zdegenerowane „późne wnuki" naszego dumnego rodu; późny owoc ewolucji, zakłóconej jakimś kataklizmem, na przykład totalną katastrofą atomową.

Czytam też w „Polityce" felieton Macieja Iłowieckiego o małpach, które uczą się mówić i rozmawiają z ludźmi za pomocą specjalnego obrazkowego szyfru. Stara małpa mówi na przykład wieczorem: „Dziś rano byłam smutna i płakałam". Zdumiewająca rzecz! Bo ona nie tylko mówi, ale także musi wiedzieć co to znaczy „dziś", co znaczy „rano" i „smutna", wie co to płacz i że łączy się on ze smutkiem, pamięta wieczorem, co się zdarzyło rano.

Aż wierzyć się nie chce. Czyżby rację mieli starożytni filozofowie z Platonem na czele, twierdzący, że uczenie się jest właśnie tylko procesem przypominania sobie rzeczy i idei, oglądanych przed urodzeniem, na innym, idealnym świecie? Może te smutne i płaczące małpy przy pomocy amerykańskich uczonych przypominają sobie zakodowane głęboko w genach informacje z innej epoki, kiedy ich praprababcie uczestniczyły w wysoko rozwiniętej, ludzkiej cywilizacji? A przecież musiała być wysoko rozwinięta, skoro wynalazła broń atomową. Może znany u nas amerykański film fantastyczno-naukowy „Planeta małp" wcale nie jest taki fantastyczny? Kończy się ten film jak wiadomo niespodziewanym ujawnieniem, że dziwna planeta jest właśnie naszą Ziemią, a małpy doszły na niej do głosu właśnie po atomowej wojnie.

Wynika z tego wszystkiego, że niedługo w ogóle nie będziemy mogli wymyślić nic fantastycznego, bo wszystko znajdzie taką czy inną sankcję nauk najściślejszych ze ścisłych. Jeżeli mówią mi, że w tym samym czasie i w tym samym miejscu mogą istnieć dwa a może więcej światów, kilka rzeczywistości — tyle że każda w innych wymiarach, to ja tego nie rozumiem i nie zrozumiem. Pomęczę się chwilę, ponękam i pójdę do dyskoteki, bo modnie. I tylko mimochodem przypomnę sobie jeszcze wzmiankę w prasie, że na siedemnaście tysięcy czynnych w kraju dyskotek mamy 77 zawodowych licencjonowanych prezenterów, czyli po polsku „disc-jockeyów" (?), z których ponoć znaczna część przy zdawaniu egzaminu celem otrzymania licencji nie wiedziała, kto napisał „Pana Tadeusza" i kto skomponował „Jezioro łabędzie"! Aż strach pomyśleć, czego nie wiedzą prezenterzy nie licencjonowani...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

POWTÓRKA Z HISTORII

Zaangażowani we współczesność nie bardzo mamy czas na oglądanie się w przeszłość, chociaż trudno byłoby powiedzieć, że przeszłość nas nie interesuje. Gdyby tak było, to jak wytłumaczyć wielki popyt na wszelkie opracowania historyczne, pamiętniki, monografie, filmy traktujące o naszej przeszłości? Człowiek nie może żyć tylko chwilą bieżącą. Musi być świadomy swojej przeszłości, tak jak i chce być pewien swojej przyszłości. Przeszłość daje mu podstawy dla jego współczesnego działania, utwierdza go w słuszności postępowania lub uczy go, jakich błędów powinien się wystrzegać. Patrzenie w przyszłość pozwala określać cele, do których zmierza.

Historia zawsze odgrywała wielką rolę w życiu narodów i będzie ją nadal odgrywała. My, Polacy jesteśmy szczególnie wrażliwi na historię, jako że mieliśmy ją tragiczną i niełatwą. Ale nasza historia to nie tylko dzieje walki, to również dzieje pracy, dzieje myśli, dzieje narodowych dążeń i aspiracji. Potrafimy jednakże być wrażliwi wobec przeszłości i... nonszalanccy.

Tak się złożyło, że znalazłem się na spotkaniach byłych działaczy ruchu młodzieżowego w Łodzi. Na spotkaniu tym byli między innymi ludzie siwi, sterani życiem, ale też pełni młodzieżowego zapału, zapatrzeni w przeszłość, która była ich przeszłością, którą współtworzyli. Przyszli na to spotkanie, bo chcieli swoje przeżycia przekazać młodszym, bo chcieli podzielić się nimi z tymi, którzy mogliby te przeżycia uogólnić, przetworzyć, opisać, utrwalić, zachować dla przyszłości. Miało to być spotkanie ze środowiskami twórczymi, ale tak się dziwnie złożyło, że sam te środowiska reprezentowałem, choć nie było to ani moim zamiarem, ani nie miałem do tego prawa, ani też na moje skromne siły. Po prostu przypadek. Ale czy tylko?

Z konieczności musiałem wysłuchać bardzo dużo gorzkich słów pod adresem środowisk twórczych, które — również z konieczności — padły pod moim adresem. Bo — jak to ktoś słusznie zauważył — gorzkich słów pod adresem nieobecnych wysłuchuje obecny. Więc słuchałem. I nie mogłem odmówić im racji.

Nie będę cytował poszczególnych wypowiedzi. Ale ogólny ich ton był mniej więcej taki:

— Był czas, kiedy nie szczędziliśmy sił dla kraju, dla Polski. Nie mieliśmy czasu na naukę, na życie rodzinne, na wychowanie dzieci. Nie zawsze dostępowaliśmy zaszczytów, bywało, że stawaliśmy się natrętami, dopominając się spełnienia danych nam kiedyś obietnic, bo chcieliśmy też iść z życiem, uczyć się, choć kolejne krzyżyki wchodziły nam na kark. Ale praca, której kiedyś poświęciliśmy życie, która nas wciągnęła bez reszty, nauczyła nas nieustannego zaangażowania, społecznikostw, czucia się ludźmi potrzebnymi. I teraz chcielibyśmy, aby to co wiemy, co pamiętamy, zostało zapisane, nie zginęło, aby mogło służyć wychowaniu następnych pokoleń. Ale — niestety — widzimy, że tym się nikt nie interesuje, że historię naszego pokolenia pisze się głównie w nekrologach.

To nieudane spotkanie pozostawiło mi uczucie niesmaku, żalu, być może, że inni, którzy z racji swego zawodu powinni byli się nimi zainteresować, nie znaleźli na to czasu. Poczuli się nagle na marginesie współczesności, jako nikomu niepotrzebne relikty przeszłości.

Piszę o tym jednakże nie ze współczucia, nie dlatego, że zrobiło mi się żal tych ludzi, czy dlatego, że poczułem się niesprawiedliwie i niezasłużenie zaatakowany gorzkimi wyrzutami. Nic z tych rzeczy. Ani się nie poczułem niesprawiedliwie zaatakowany, ani też nie było we mnie współczucia. Wspominam o tym z zupełnie innych powodów.

Przede wszystkim sam nieraz już bolałem nad tym, że wiele cennych dokumentów, faktów i wspomnień o naszej przeszłości zbyt łatwo i bez większej troski o to po prostu ginie, zaciera się w pamięci, odchodzi wraz z ich nosicielami. I to często odchodzi bez możliwości odtworzenia tego, bo ludzkiej pamięci nikt już nie odtworzy. I dlatego jestem wielkim zwolennikiem wszelkiego gromadzenia różnych materiałów dokumentów, notatek i wspomnień nawet wtedy, kiedy ich przydatność okazuje się doraźnie bezużyteczna. Ale przecież za kilka lat musi się tym ktoś zainteresować. Dla tych przyszłych badaczy, dla historii, dla utrwalenia prawdy o naszej przeszłości trzeba je chronić.

Przy Federacji ZSMP w Łodzi powstała Komisja Historyczna. Skupia ona właśnie byłych działaczy ruchu młodzieżowego. Myślę, że jej rola powinna koncentrować się przede wszystkim na gromadzeniu różnych materiałów, dokumentów, wspomnień dotyczących dziejów organizacji młodzieżowych w Łodzi i Polsce. Uważam, że jeśli nawet chwilowo zainteresowanie pracą tej komisji nie jest wielkie, to nie należy się tym zrażać. Jej główne zadanie powinno polegać na gromadzeniu materiału na uchronieniu przed zapomnieniem wszystkiego, co dla przeszłości organizacji młodzieżowych jest cenne. Propaganda przeszłości — to sprawa, przynajmniej na razie, drugorzędna. Komisja ta przygotowuje sesję popularnonaukową na koniec 1977 roku.

A przy okazji zachęcam wszystkich, którzy interesują się przeszłością do spotkania się z tymi ciekawymi ludźmi.

MARCIN RODAK

magazyn

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

BYĆ POETĄ...

Ludzie pióra, przynajmniej niektórzy, słyną z dowcipu i krytycyzmu. A nawet z samokrytycyzmu, ale jest to grono mniej liczne. Można wszakże zebrać ciete i dowcipne refleksje poświęcone twórczości własnej i innych, czy pewnym mechanizmom życia literackiego. Posłużmy się nimi, by zilustrować niełatwe dzieje statystycznego poety.

Oto młody człowiek odkrywa w sobie pewnej natchnionej chwili niezmierzone pokłady talentu poetyckiego. Nie je, nie śpi, tylko tworzy i powierza swe dzieła cierpliwemu papierowi. Ma już stosy zapisanych kart, wypełnione dwa zeszyty, nimb jego sławy zatacza coraz szersze kręgi, dojrzewa więc w nim tajony z dawna głód druku. Jest tak silny, że zaćmił wrodzoną nieśmiałość i skutecznie przytłumił obawę o gorzki smak nieuzasadnionej odmowy. Przekracza więc nasz poeta próg redakcji poczytnego tygodnika lub udaje się od razu do wydawnictwa. A tam już czyha nań sfora redaktorów. Jeden z nich tak wspomina owo spotkanie:

Miał na sobie niemodny żakiet
panamę i płócienne pantofle,
był zlękniony i śmieszny,
przyniósł mi pakiet wierszy —
tak na oko, paręset strofek.
„Piszę — powiada — od dawna,
pracuję — powiada — nad formą,
mam zaufanie do pana
i prośbę pokorną:
niech pan przeczytać raczy choćby
ten jeden kajet
i niech pan orzeknie, czy ja w ogóle
mam talent?".
Patrzę mu w tępe oczy,
licho wie — rybie czy sowie?
I widzę: tu nic nie pomoże,
stracony człowiek!
Więc rzekłem: „Szanowny panie,
obaj jesteśmy grafomanami...".
Uśmiechnął się, wzrokiem mnie
zmierzył
i połowicznie uwierzył,
bo zwijając rękopis odparł
grzecznie i skromnie:
„Każdy sądzi po sobie. Co do mnie,
uważam, że nieźle piszę".
I wyszedł.

Nasz bohater ciężko przeżył tę skandaliczną odmowę. Nie załamał się jednak. Ktoś poradził mu, aby poczytał Irzykowskiego. Dopiero ta lektura pozwoliła w pełni zrozumieć mechanizm debiutu i startu literackiego:

„Musisz być bardzo ostrożny ze swym debiutem, żeby go nie zmarnować tak jak panny dzisiejsze. Inscenizuj się umiejętnie, swoje służące, wybierze sobie ciebie, chłopczyku, i opisze swoje stosunki z tobą a la Joyce. Uważaj, czy pod poduszką nie ma — nie rewolweru, to stara moda, lecz notesu z ołówkiem. A może zostaniesz tylko jej doradcą literackim i będziesz fałszował literaturę?".

Po takich wskazówkach debiutancki tomik był już zwykłą formalnością, dziecinną igraszką. Jednakże nie koniec niebezpieczeństw. Oto na książkę rzucają się wygłodniali krytycy, nieustannie oczekujący objawień i wieszczów, poszeptują koledzy — poeci. I powstaje w ten sposób cały rejetr recenzji:

Po pierwsze
złe wiersze

Po drugie
za długie

Po trzecie
hańba takiemu poecie

Po czwarte
nie nie warte...

Po szóste
puste

Po siódme
nudne

Po ósme
rozpustne

Po dziewiąte
czytaliśmy piąte przez dziesiąte

Po dziesiąte
vide — dziewiąte

Po jedenaste
pisane przez pederastę

Po dwunaste do dziewiętnastego
nie czytaliśmy nigdy nic gorszego

Po dwudzieste
trącał wiersze pies te.

Ale i te złe siły nie są w stanie zniszczyć prawdziwego talentu. Nasz poeta okrzepł w literackich bojach. Jest teraz autorem znanym, wydał wiele książek. Czas więc na nagrodę literacką. Zawistnych wszakże nie brakuje. Nic tedy dziwnego, że nagrodę przyznano mu dopiero po burzliwej dyskusji:

— Cidąbski musi dostać, kolego Mól,
to powiadam wam po raz trzeci!
— No tak, ale jako poeta to zero, nul...
— No tak, ale, widzicie, on ma troje dzieci...

Jak po pierwszym tomiku szybko pojawiły się kolejne książki, tak i po pierwszej nagrodzie przyszły następne. Nasz poeta zdobył międzynarodowy rozgłos. Stał się chlubą literatury. Po jego śmierci pojawiły się liczne prace naukowe o nim. Ale nawet historycy literaury nie dają mu spokoju. Oto treść pomnikowej monografii:

Tu spoczął człowiek, który
Za życia miał dwie córy:
Sławę i Mądrość: Obie
Legły przed ojcem w grobie.

Czy w takich warunkach warto być poetą? Oczywiście tym statystycznym.

Przypis: dla stworzenia obrazu poety statystycznego wykorzystałem teksty **Tadeusza Łopalewskiego, Karola Irzykowskiego, Władysława Broniewskiego, Zuzanny Ginczanki, Pawła Hertza, Tadeusza Hollendra, Andrzeja Nowickiego, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Wincentego Rzymowskiego.**

Dobór mecenasów! Tu powstaje kwestia, czy i w jakiej mierze przyda ci się pomoc kobiet. Za czasów Maupassanta Bel Ami przepychał się do literatury dzięki kobietom. Teraz nie możesz na to liczyć, one same dla siebie mają swoje — dobrze zbudowane — łokcie. Ale możesz na przykład z którą z nich zawrzeć spółkę literacką, to się praktykuje. W takim razie jednak pilnuj się, bo możesz się doczekać nieśmiertelności w inny sposób. Wśród tych czarujących istot kwitnie bowiem ekshibicostwo. Taka orliczka nie perliczka, opisawszy już swoich mężów, swoje ciotki,

Foto: Archiwum

POWIĘKSZENIA

WSPOMNIENIA

W lutowym numerze **„Miesięcznika Literackiego"** znajdujemy ciekawe wspomnienie **Mariana Piechala o prof. Janie Zygmuncie Jakubowskim.**

Niestety — jak to często ze wspomnieniami bywa — autor myli nieco faktografię. Pisze na przykład o Profesorze: **„zainicjował w 1937 roku i redagował aż do wybuchu wojny poświęconą specjalnie literaturze współczesnej cotygodniową kolumnę literacką w „Dzienniku Łódzkim".**

Niemożliwe, bo **„Dziennik Łódzki"** przestał się ukazywać w roku 1933.

A w ogóle to aJn Zygmunt Jakubowski redagował Kolumnę Literacką w „Kurierze Łódzkim" od roku 1938.

GŁOS ROBOTNICZY

ŁÓDŹ ● PIOTRKÓW TRYB. SIERADZ ● SKIERNIEWICE
CENA 50 GROSZY

EXPRESS ilustrowany 14

DZIENNIK POPULARNY

KĄCIK MŁODYCH czyli trening szarych komórek

ZGADYWANKA DLA SPOSTRZEGAWCZYCH

Na podstawie rysunku odgadnijcie o jakim to stworzeniu mówi popularne powiedzenie **„ślimak, ślimak, wystaw rogi, dam ci sera na pierogi".** Dla ułatwienia dodajmy że chodzi tu o stworzenie, które nosi na swym grzbiecie zwiniętą spiralnie muszlę.

Rozwiązanie nadeślijcie na adres „GR". Czekają na was cenne nagrody.

ZGADYWANKA DLA NAJSTARSZYCH

„Jeśli w tramwaju ustępuje wam miejsca młody chłopak czy dziewczyna to znaczy że:
a) od okna wieje,
b) ma odciski na siedzeniu,
c) jest dobrze wychowany(a)
Dla ułatwienia dodajmy jeszcze czwartą ewentualność:
d) już wysiada.
I to jest właśnie prawidłowa odpowiedź.
Za tydzień następny odcinek naszej rubryki. Po tym treningu szarych komórek możecie spokojnie zasiąść przed telewizorami.

bazar zbieraczy

CIEKAWE BANKNOTY

Ciekawe banknoty pokazały się ostatnio na łódzkim bazarze. Mają one niewielki format, w całej emisji występuje dużo nominałów — od 1 do 1000, kolor zielony. Poszczególne nominały różnią się wizerunkami przedstawiającymi mężczyzn.

Wśród łódzkich zbieraczy obserwuje się duże zainteresowanie ową „zieloną emisją". Niestety pojawiły się na rynku kolekcjonerskim tzw. fałszerstwa na szkodę zbieraczy. Nie brakuje jednak i oryginalnych okazów. Początkującym zbieraczom proponujemy na założenie kolekcji egzemplarze z wizerunkiem siwowłosego mężczyzny i podpisem „George Washington". Są one stosunkowo tanie, lecz mogą być ozdobą każdego zbioru.

PROŚBA BIBLIOFILA

Pewien łódzki bibliofil specjalizujący się w klasyce poszukuje do swojej kolekcji następujących książek:

1) „Żywoty pań swawolnych". Autor — Brantome.
2) „Jak Nana swą córkę Pippę na kurtyzanę kształciła" Autor — Aretino.
3) „Życie seksualne dzikich". Autor — Malinowski.
4) „Sztuka obłapiania". Autor — Fredro.

Za wyżej wymienione pozycje bibliofil odda komplet magazynów ilustrowanych (duńskich!) oraz kolekcję zdjęć publikowanych w tygodniku „Odgłosy".

AMATORZY STAROCI!

Andrzej Nowak odstąpi zbieraczom staroci i ciekawostek technicznych gramofon elektryczny z drugiej połowy XX wieku o nazwie „Party Hit". Urządzenie to po włączeniu do sieci wydaje charakterystyczne buczenie.

NOWE ZNACZKI

Ukazała się nowa seria znaczków. Na białym tle mają one wyobrażone żółte koło oraz zieloną cyfrę „2".

W AUSTRALII UPAŁY!

Foto: Archiwum

CO DZIEŃ NIESIE

W 91 dniu roku słońce wzejdzie rano, zajdzie zaś wieczorem.

IMIENINY OBCHODZĄ

Dziś:
Paul, Paley, Paula, Pauli, Paulie, Pavel, Paval, Pola, Paju, Paszko, Pavle, Pavia.

Jutro:
Pauline, Paulette, Pablo, Povilas, Palus, Polika, Palko, Paulaczka, Paolo, Poli.

DYŻURNY SYNOPTYK

W dniu dzisiejszym zgodnie z przewidywaniami będzie pogodnie lub dość pogodnie, wiatry silne lub słabe z kierunków zmiennych. Możliwe deszcze przelotne bądź ciągłe, niewykluczony opad śniegu. Ciśnienie normalne — 120/70. Temperatura 36 z kreskami.

WAŻNIEJSZE ROCZNICE

1753 — Karol Andegaweński opuszcza Andegawenię.
1132 — Hans Mayer wynalazł wykałaczkę.

TAKA SOBIE MYŚL

Dobrze jest jak jest.

UŚMIECHNIJ SIĘ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762.
Zam. 646, W-10